

Roald Dahl

CUDA

I DZIWKI

Przełożył Andrzej Grabowski

Tytuł oryginału

Switch Bitch

Copyright © Roald Dahl 1965, 1974

Redaktor merytoryczny Robert Ginalski

Projekt okładki Edward Karowicz

Ilustracja Antoni Chodorowski

Redaktor techniczna Iwona Wysocka

for the Polish edition

Copyright © 1990

Wydawnictwo GiG, R Ginalski i s-ka

For the cover art

Copyright © 1990 by

Edward Karowicz

ISBN 83-85G85-U-4

Wydawnictwo GiG, R Ginalski i s-ka,

Warszawa 1990

Wydanie I, ark wyd 7,8, ark druk 7

Nakład 50 000 egz

Skład Zakład Poligraficzny „Fototype”, Milanówek, ul Sportowa 3
Druk Drukarnia Wydawnicza im W L Anczyca w Krakowie
zam 1559/90

GOŚĆ

Nie tak dawno poczta kolejowa dostarczyła mi pod drzwi domu drewnianą skrzynię. Był to niezwykle mocny, solidnie wykonany przedmiot z twardego ciemnoczerwonego drewna, podobnego nieco do mahoni. Z wielkim trudem przeniosłem skrzynię na stół w ogrodzie i dokładnie ją obejrzałem. Odbity przez szablon napis na jednym z jej boków informował, że nadano ją w Hajfie na statek motorowy „Gwiazda Waverley”, ale nie znalazłem ani nazwiska nadawcy, ani adresu. Próbowałem wyszperać w pamięci kogoś z

Hajfy lub jej okolic, kto zechciałby mi przesłać jakiś wspaniały prezent. Nikt taki jednak me przyszedł mi na myśl. Nie przestając rozmyślać nad tą zagadkową sprawą, wolno poszedłem do szopy i wróciłem z młotkiem i śrubokrętem. Delikatnie zacząłem podważać wieko skrzyni.

Nie do wiary, ale wypełniały ją książki! Niezwykłe książki! Po kolei wyjąłem je wszystkie i nie zaglądając do żadnej, ułożyłem na stole w trzech stosach. Było tego dwadzieścia osiem tomów, i to bardzo pięknych. Każdy identycznie luksusowo oprawiony w soczystozielony marokin z wytłoczonymi na grzbiecie złotymi inicjałami O.H.C. i rzymską numeracją (od I do XXVIII).

Wziąłem pierwszy z brzegu tom, numer XVI, i otworzyłem. Białe nieliniowane strony pokryte były schludnym, drobnym pismem utrwalonym czarnym atramentem. Na stronie tytułowej położono datę „1934”. Nic więcej. Wziąłem drugi tom, XXI. Był to również rękopis, sporządzony tą samą ręką, ale na stronie tytułowej widniała data „1939”. Odłożyłem go i wyciągnąłem pierwszy tom w nadziei, że znajdę tam jakiś wstęp, a być może również nazwisko autora. Tymczasem pod okładką znalazłem jedynie kopertę. Była zaadresowana do mnie! Wyjąłem z niej list i prędko spojrzałem na podpis. Brzmiał on: Oswald Hendryks Cornelius.

A więc nadawcą był wuj Oswald!

Nikt z naszej rodziny od ponad trzydziestu lat nie miał od niego wiadomości. List nosił datę 10 marca 1964 i do jego nadejścia mogliśmy się jedynie domyślać, że wuj nadal żyje. Właściwie wiedzieliśmy o nim tylko tyle, że mieszkał we Francji, mnóstwo podróżował i że był bogatym kawalerem o

skandalicznych, acz czarujących narowach, stanowczo wyrzekającym się wszelkich kontaktów z krewniakami. Wieści o nim były bez wyjątku plotkami i pogłoskami. Te pierwsze odznaczały się taką wspaniałością, te drugie zaś taką egzotyką, że Oswald już od dawna uchodził w naszych oczach za legendarnego i świetlanego bohatera. *Mój drogi chłopcze — zaczął się list. — O ile wiem, ty i twoje trzy siostry jesteście moimi najbliższymi krewnymi, a więc także moimi prawowitymi spadkobiercami, którym po mojej śmierci przypadnie — jako że nie sporządziłem testamentu — wszystko, co po mnie Zostanie. Niestety, nie zostanie nic. Miałem wprawdzie spory majątek, niemniej ostatnimi czasy rozporządziłem nim według własnego uznania, tobie nic do tego. Jednakże na pocieszenie przesyłam ci moje poufne dzienniki. Te bowiem, moim zdaniem, powinny zostać w rodzinie. Obejmują najlepsze lata mojego życia i nic ci nie zaszkodzi, jeśli je przeczytasz- Gdybyś jednak zaczął się z nimi afiszować i pożyczać je obcym, to bardzo się narazisz. W przypadku ich opublikowania byłby to, jak sądzę, koniec zarówno twój, jak wydawcy. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że tysiące bohaterek, które wymieniam w tych dziennikach, to nadal tylko pół-truchła i gdybyś był tak niemądry, żeby splamić ich śnieżnobiałe opinie drukowanym błotem, to w równo dwie sekundy położą głowę na tacy, a na dobitkę jeszcze upieką ją w piecyku. Więc lepiej uważaj - Spotkałem cię tylko raz w życiu. Wiele lat temu, w roku 1921, kiedy twoja rodzina mieszkała w dużym brzydkim domu w Południowej Walii. Ja byłem twoim dużym wujem, a ty bardzo małym chłopcem, mniej więcej pięcioletnim. Wątpię, czy pamiętasz swoją ówczesną młodą norweską nianię.*

Była to nadzwyczaj czysta, dorodna dziewczyna, rozkosznie kształtna nawet w uniformie z tym nedorzecznym wykrochmalonym gorseem skrywającym jej śliczne piersi. Tego popołudnia, kiedy tam byłem, właśnie nabierała cię na spacer do lasu, żeby nagrywać dzwonek, więc spytałem, czy też mogę pójść. A. kiedy na dobre zagłębiliśmy się w las, obiecałem ci, że jeżeli sam trafisz do domu, to dostaniesz czekoladę. I trafiłeś (patrz t. III). Byłeś rozgarniętym malcem. Żegnaj — Oswald Hendryks Cornelius.

Nieoczekiwane nadejście dzienników wuja ogromnie podnieciło naszą rodzinę, która rzuciła się do ich czytania. I nie zawiedliśmy się. Była to nadzwyczajna lektura — wesoła, dowcipna, ekscytująca, a w dodatku nierzadko wzruszająca. Wuj był wulkanem energii. Ciągłe w ruchu, z miasta do miasta, z kraju do kraju, od kobiety do kobiety, a po drodze od jednej do drugiej szukał pajaków w Kaszmirze albo tropił w Nankinie wazę z niebieskiej porcelany. Jednak panie były u niego zawsze na pierwszym miejscu. Dokądkolwiek podążał, nieodmiennie pozostawiał za sobą nie kończący się szlak usłany kobietami, kobietami wymaglowanymi i zwyobracanymi ponad wszelki wyraz, ale mruczącymi jak kotki.

Dwadzieścia osiem tomów, po bite trzysta stron każdy, to mnóstwo czytania i jest diablo niewielu pisarzy, którzy potrafiliby przykuć czytelników do lektury tak obszernej. A jednak Oswald tego dokonał. Jego narracja zawsze była smakowita, a tempo jej rzadko kiedy spadało i prawie każdy rozdział, bez wyjątku, długi czy krótki, na obojętnie jaki temat, stawał się wspaniałym, osobnym małym skończonym opowiadaniem, a kiedy człowiek wreszcie

przeczytał ostatnią stronę ostatniego tomu, z zapartym tchem uzmysławiał sobie, że zapewne obcował z jednym z największych dzieł autobiograficznych naszych czasów.

Gdyby dzienniki te traktować li tylko jako kronikę przygód miłosnych, to bez wątplenia nie mają one sobie równych. Przy nich *Pamiętniki Casanovy* czyta się jak „Gazetę Parafialną”, natomiast ów słynny kochanek wygląda w zestawieniu z moim wujem na seksualnego wstrzemięźliwca.

Każda strona dzienników zawierała towarzyski dynamit. Co do tego Oswald miał rację. Ale z pewnością był w błędzie sądząc, że wybuchy spowodują wyłącznie kobiety. A co z ich mężami, upokorzonymi raptusami-rogaczami? Urażony rogacz to doprawdy ogromnie zawzięty zwierz, więc gdyby pamiętniki wuja Corneliusa ujrzały światło dzienne w nie okrojonej postaci za życia tych ludzi, to tysiącami zaczęłyby wypadać z mateczników. Dlatego też publikacja dzienników wuja była wykluczona.

Szkoda. Szkoda, prawdę mówiąc, na tyle wielka, że postanowiłem coś z tym zrobić. Usiadłem zatem i powtórnie przeczytałem dzienniki od deski do deski w nadziei, że odnajdę w nich przynajmniej jeden pełny ustęp, który można podać do druku i opublikować bez narażania wydawcy i siebie na poważny proces o zniesławienie. Ku mojej radości znalazłem co najmniej sześć takich fragmentów.

Przedstawiłem je prawnikowi. Oświadczył, że według niego są one zapewne bezpieczne, ale że za to nie ręczy. Dodał, iż jeden z nich, „Epizod na pustyni synajskiej”, wydaje mu się „bezpieczniejszy” od pozostałych.

Tak więc postanowiłem, że zacznę od niego i zaproponuję wydrukowanie go

tuż po niniejszym krótkim wstępie. A jeżeli zostanie dobrze przyjęty i nie wyniknie stąd nic złego, wówczas być może opublikuję parę dalszych.

Rozdział o Synaju pochodzi z ostatniego, XXVIII tomu dzienników wuja i nosi datę 24 sierpnia 1946 roku. W rzeczy samej jest to ostatni zapis w tym ostatnim tomie, ostatnie słowa zanotowane przez Oswalda i nie wiadomo dokąd się udał ani co robił po tej dacie. Możemy się tylko domyślać. Za chwilę poznacie Państwo ów fragment w całości, co do słowa, pozwólcie jednak, że najpierw, wówczas bowiem łatwiej wam będzie zrozumieć sens słów i postępowanie mojego wuja, opowiem wam co nieco o nim samym. Z masy wyznań i poglądów zawartych w tych dwudziestu ośmiu tomach wyłania się całkiem wyraźny obraz tej postaci.

W czasie epizodu na Synaju Oswald Hendryks Cornelius miał lat pięćdziesiąt jeden i naturalnie był zaprzysięgłym kawalerem. „Niestety — zwykł powtarzać — zostałem obdarzony, czy też raczej obciążony, nader wybredną naturą.”

Do pewnego stopnia odpowiadało to prawdzie, lecz jeśli chodzi o małżeństwo, wyznanie to było jej dokładnym przeciwieństwem.

W rzeczywistości Oswald stronił od ożenku z tej prostej przyczyny, że organicznie nie był w stanie zalecać się do jednej kobiety dłużej, niż zabierał mu jej podbój. Kiedy już tego dokonał, przestawał się nią interesować i rozglądał się za następną zdobyczą.

Przeciętny mężczyzna z trudem uznałby to za wystarczający powód do zaprzysięgłego kawalerstwa, ale Oswald nie był przeciętny. Nie należał nawet do zwykłych poligamistów. Był natomiast, szczerze mówiąc, tak

wielkim rozpustnikiem i tak niepoprawnym kobieciarzem, iż żadna narzeczona na świecie nie wytrzymałaby z nim dłużej niż kilka dni — nie wspominając o miodowym miesiącu — choć, Bóg świadkiem, nie brakowało chętnych, gotowych tego spróbować.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną, w którym wyczuwało się delikatną naturę estety. Głos miał cichy, maniery wytworne i na pierwszy rzut oka przypominał raczej królewskiego dworaka, niż słynnego hukają. Nigdy nie rozmawiał z innymi mężczyznami o swoich miłosnych podbojach, a ci, którzy go nie znali, choćby spędzili na pogawędce z nim cały wieczór, nie dopatrzyliby się w jego niewinnych oczach cienia fałszu czy podstęp. W rzeczywistości Oswald należał do tych mężczyzn, którym ojcowie najczęściej powierzają odprowadzenie swoich córek do domu.

Jednakże wystarczyło posadzić go przy kobiecie — kobiecie, którą się zainteresował — a natychmiast jego oczy zmieniały wyraz, kiedy zaś na nią patrzył, z wolna, w samym środku ich źrenic zaczynały tańczyć malutkie niebezpieczne iskierki. Potem zaś rozwijał całą swoją elokwencję, mówiąc do niej szybko, mądrze i niemal na pewno dowcipniej, niż ktokolwiek przed nim. Taki już miał dar, jedyny w sobie niepowtarzalny talent, a kiedy się postarał, to tak umiał oplatać słowami słuchaczkę, że w końcu poddawała się jego łagodnemu hipnotycznemu urokowi.

Ale nie tylko jego swada i spojrzenia fascynowały kobiety. Także jego nos. (W t. XIV z nieukrywaną przyjemnością cytuje liścik pewnej pani, w którym opisuje ona te sprawy bardzo szczegółowo). Zdaje się, że w chwilach podniecenia coś dziwnego działo się z jego nozdrzami, których brzegi

kurczyły się, a ich widoczne drżenie powiększało mu dziurki w nosie, odsłaniając całe powierzchnie jaskrawoczerwonej skóry wewnątrz. Dawało to wrażenie dziwności, dzikości, zwierzęcości i choć w opisie nie wygląda zbyt ponętnie, na panie miało wpływ piorunujący.

Kobiety lgnęły do Oswalda niemal bez wyjątku. Przede wszystkim był mężczyzną, który za żadne skarby nie chciał należeć do żadnej i już samo to czyniło go pożądanym. Dorzućcie, Państwo, do tej kombinacji cech wybitny intelekt, nadmiar osobistego uroku i opinię niepohamowanego rozpustnika, a otrzymacie skuteczną receptę na sukces.

Z drugiej strony — odkładając na chwilę niesławny i swawolny aspekt tej historii — nie wolno pominąć innych zaskakujących cech charakteru mojego wuja, które same w sobie czynią zeń osobę interesującą. Na przykład, wiedział nieomal wszystko o dziewiętnastowiecznej operze włoskiej i napisał ciekawy podręcznik na temat trzech kompozytorów: Donizettiego, Verdiego i Ponchielliego. Wyliczył w nim wszystkie ważniejsze kochanki owych twórców, które mieli w ciągu całego życia, i w jak najbardziej poważny sposób zanalizował zależność pasji twórczej i cielesnej oraz ich wzajemnego wpływu, zwłaszcza w odniesieniu do dzieł tych kompozytorów.

Oswald interesował się również chińską porcelaną i uchodził poniekąd za międzynarodowy autorytet w tej dziedzinie. Wyjątkową miłością darzył niebieskie wazy z epoki Ts'in-Hoa i posiadał małą, lecz wyborną ich kolekcję.

Poza tym zbierał także pająki i laski.

Jego kolekcja pajaków, a dokładniej, pajęczaków, zbierał bowiem skorpiony

i spawęki, prawdopodobnie nie miała sobie równych poza muzeami, a jego wiedza o setkach ich rodzajów i gatunków była imponująca. Mimochodem i zapewne nie bez słuszności twierdził, że jedwab pajęczy przewyższa swą jakością przędzę jedwabników, i nosił wyłącznie krawaty utkane z tego materiału. W sumie miał ich ze czterdzieści, a pragnąc co roku uzupełniać swą garderobę o dwa nowe, żeby je sobie zapewnić, musiał trzymać tysiące egzemplarzy gatunków *Arana* i *Epeira diademata* (zwyczajnych angielskich pajaków ogrodowych) w starej cieplarni w ogrodzie swojego wiejskiego domu pod Paryżem, gdzie płodziły się i mnożyły mniej więcej w tym samym tempie, z jakim się nawzajem pożerały. Własnoręcznie podbierał im surową przędzę — nikt inny nie odważyłby się bowiem wejść do tej upiornej szklarni — i posyłał ją do Avignonu, gdzie nawijano ją na szpule, myto, farbowano i tkano. Z Avignonu pajęczą tkaninę dostarczano wprost do Sulki, który był tym zachwycony i z największą przyjemnością projektował krawaty z tak rzadkiej i wspaniałej materii.

— Doprawdy, przecież ty nie możesz lubić pajaków! — wykrzykiwały do Oswalda odwiedzające go panie, kiedy demonstrował im swoją kolekcję.

— Ależ ja je uwielbiam — odpowiadał. — A zwłaszcza samice. Tak bardzo przypominają mi niektóre znajome. Przypominają mi kobiety, jakie lubię najbardziej.

— Głupstwa pleciesz, kochanie

— Głupstwa? W żadnym razie.

— Ależ to zniewaga.

— Przeciwnie, moja droga, trudno o większy komplement z moich ust. Czy

wiesz, na przykład, że samica pająka zachowuje się w trakcie aktu miłosnego tak okrutnie, że samiec ma doprawdy wielkie szczęście, jeżeli po wszystkim ujdzie z życiem? Ucieknie cały i zdrow tylko wówczas, jeśli będzie nadzwyczaj zręczny i zdumiewająco sprytny.

— Ależ Oswaldzie! Co też ty wygadujesz!

— No, a samica pająka bokochoda, moja pupilka, malusieńka tyciusieńka bokochódka, jest tak niebezpiecznie namiętna, że jej kochanek, zanim ośmieli się ją objąć, musi ją wprzód omotać zawilými pętlícami i węzłami z własnej nici.

— Och, przestań, Oswaldzie, natychmiast! — wykrzykiwały z błyszczącymi oczami odwiedzające go panie.

Natomiast zbiór lasek Oswalda to całkiem osobny rozdział. Wszystkie bez wyjątku należały do wybitnych bądź odrażających osobistości, a Oswald przechowywał je w swoim paryskim mieszkaniu, wystawione w dwóch długich stojakach biegnących wzdłuż ścian korytarza, choć może trafniej byłoby powiedzieć — gościńca, wiodącego z salonu do sypialni. Nad wszystkimi wisiały tabliczki z kości słoniowej, zaopatrzone w napisy: Sibelius, Milton, Król Faruk, Dickens, Robespierre, Puccini, Oscar Wilde, Franklin Roosevelt, Goebbels, Królowa Wiktoria, Toulouse-Lautrec, Hindenburg, Tołstoj, Lavwał, Sara Bernhardt, Goethe, Woroszyłow, Cezanne, Toho... Na pewno było ich tam w sumie ponad sto, niektóre bardzo piękne, niektóre całkiem zwyczajne, inne ze złotymi i srebrnymi gałkami, a jeszcze inne z zagiętymi rączkami.

— Weź łaskę Tołstoja — mówił Oswald do pięknego gościa. — Proszę, weź

ją... dobrze... a teraz... teraz delikatnie potrzyj rączkę, wyświeconą dłonią tego wielkiego człowieka. Czyż to nie cudowne uczucie, kiedy twoja skóra styka się z tym przedmiotem?

— Tak, rzeczywiście.

— A teraz weź laskę Goebbelsa i zrób to samo. Ale przyłóż się do tego! Mocno ściśnij rączkę... tak... a teraz oprzyj się na niej całym ciężarem, oprzyj mocno, dokładnie tak, jak kiedyś ten mały chromy doktor... proszę... o, tak... a teraz przez chwilę stój, jak stoisz, a potem powiesz mi, czy czujesz, jak cienka lodowata strużka wpełza ci po ręce i dociera do piersi?

— To przerażające!

— No pewnie. Niektórzy mdleją. Z miejsca walą się z nóg.

Nikt się nigdy nie nudził w towarzystwie Oswalda i być może na tym właśnie przede wszystkim polegała tajemnica jego powodzenia.

Dochodzimy już do epizodu na Synaju. Tego miesiąca Oswald uprzyjemniał sobie czas jazdą w całkiem relaksowym tempie z Chartumu do Kairu. Podróżował ekskluzywną przedwojenną lagondą, którą w czasie wojny pieczołowicie przechowywał w Szwajcarii i która, jak możecie sobie Państwo wyobrazić, była wyposażona we wszelkie możliwe udogodnienia pod słońcem. W dniu poprzedzającym zdarzenia na pustyni synajskiej (23 sierpnia 1946 roku) wuj przebywał w Kairze, gdzie mieszkał w hotelu Shepherda, i tamtego wieczoru, po szeregu zuchwałych forteli udało mu się dostać w swoje ręce pewną mauretańską damę imieniem Izabela, przypuszczalnie z arystokratycznej rodziny. Traf chciał, że jak się okazało, była ona zazdrośnie strzeżoną kochanką ni mniej, ni więcej tylko

pewnej znanej, cierpiącej na niestrawność Królewskiej Osobistości (w owym czasie w Egipcie wciąż istniała monarchia). Zagranie to było typowe dla Oswalda.

Ale na tym nie koniec. O północy zawiózł ową panią do Gizy i namówił do wspólnego wejścia przy świetle księżyca na sam szczyt wielkiej piramidy Cheopsa.

Nie ma bardziej bezpiecznego i bardziej romantycznego miejsca, niż wierzchołek piramidy w ciepłą noc przy pełni księżyca — zapisał w swoich dziennikach. — Namiętności wzbierają tam w człowieku nie tylko pod wpływem wspaniałych widoków, ale także dzięki osobliwemu uczuciu potęgi, które wzmaga się w ciele patrzącego na świat z wielkiej wysokości. Co zaś do bezpieczeństwa, to piramida ta liczy dokładnie 481 stóp wysokości, czyli o 115 stóp więcej niż kopuła katedry Świętego Pawła, a z jej szczytu bez trudności można obserwować wszystkie prowadzące do niej drogi. Żaden inny buduar na świecie nie zapewnia takich udogodnień. Żaden nie ma również tylu wyjść awaryjnych, jeśli zatem zdarzy się, że jakaś złowroga postać zechce wspinać się w pościgu za kimś z jednej strony piramidy, wystarczy spokojnie i po cichu zejść w dół po jej drugiej stronie...

Okazało się, że tej nocy Oswald doprawdy tylko o mały włos uniknął nieszczęścia. Do pałacu najwidoczniej przedostała się jakoś wieść o romansiku wuja, bo ze swojego wyniosłego, skapanego w świetle księżyca szczytu piramidy dostrzegł on nie jedną, lecz aż trzy złowrogie postacie, zbliżające się z trzech stron i przystępujące do wspinaczki. Na jego szczęście piramida Cheopsa ma cztery boki, więc zanim arabscy zbójcy dotarli na

wierzchołek, dwójka kochanków znalazła się już na dole i wsiadała do samochodu.

Zapis z 24 sierpnia podejmuje opowieść wuja w tym właśnie momencie. Odtworzona jest ona słowo w słowo, przecinek po przecinku, tak jak ją zapisał Oswald. Nic nie zostało zmienione, dodane ani ujęte.

24 sierpnia 1946

— Jeśli teraz złapie Izabelę, utnie jej głowę — oświadczyła Izabela.

— Bzdury — odparłem, choć podejrzewałem, że się nie myli.

— Oswaldowi też utnie głowę — zapewniła.

— Nie mnie, szanowna pani. O świcie będę już daleko stąd. Natychmiast odjeżdżam prosto z biegiem Nilu do Luksoru.

Oddaliliśmy się szybko od piramid. Było około wpół do trzeciej w nocy.

— Do Luksoru? — zapytała.

— Tak.

— To Izabela jedzie z tobą.

— Nie — odparłem na to.

— Tak!

— Podróżowanie z damą jest wbrew moim zasadom — oświadczyłem.

W przedzie zamajaczyły przed nami skąpe światła. Pochodziły ze stojącego niedaleko piramid hotelu Mena Hose, w którym zatrzymywali się turyści na pustyni. Podjechałem bliżej i zatrzymałem wóz.

— Tu cię wysadzę — powiedziałem. — Zabawiliśmy się wspaniale.

— A więc nie zabierzesz Izabeli do Luksoru?

— Niestety nie — odparłem. — No, dalej, wysiadaj.

Zabierała się już do wysiadania, kiedy nagle znieruchomiała z nogą opuszczoną na drogę, obróciła się zniechęcona w moją stronę i wylała na mnie kubeł pomyj tak plugawych, a przy tym tak potoczystych, że nic podobnego nie słyszałem z ust kobiety od roku 1931, kiedy to w Marakeszu ta łakoma stara księżna Glasgow wsadziła rękę do pudełka czekoladek i została ukąszona przez skorpiona, którego zbiegiem okoliczności tam schowałem (t. XIII, 5 czerwca 1931).

— Jesteś niesmaczna — powiedziałem.

Izabela wyskoczyła i trzasnęła drzwiczkami tak mocno, że samochód aż podskoczył na kołach. Odjechałem stamtąd w te pędy. Bogu dzięki, że się jej pozbyłem. Nie znoszę grubiaństwa u pięknych kobiet.

Odjeżdżając, nie odrywałem oczu od lusterka, ale na razie nie było widać, aby ktoś mnie gonił. Dojechawszy na przedmieścia Kairu, zacząłem przedzierać się bocznymi uliczkami, omijając centrum miasta. Nie przejmowałem się zanadto sytuacją. Niepodobna, żeby królewscy cerberzy poświęcili mojej sprawie wiele więcej czasu. Niemniej powrót do hotelu Shepharda byłby w tej chwili przesadną brawurą. Zresztą nie był konieczny, bo nie licząc małej walizki, cały mój bagaż miałem ze sobą w samochodzie. Nigdy nie zostawiam walizek w pokojach hotelowych, kiedy wieczorem wychodzę zabawić się w obcym mieście. Lubię mieć swobodę ruchu.

Oczywiście ani przez chwilę nie myślałem jechać do Luksoru. Pragnąłem tylko jednego — wynieść się z Egiptu. Ten kraj wcale mi się nie podobał. W

gruncie rzeczy, nie podobał mi się nigdy. Czuję się w nim bardzo nieswojo. Myślę, że z powodu wszechobecnego tam brudu i obrzydliwych zapachów. No, ale fakt faktem, jest to naprawdę brudny i niechlujny kraj i choć bardzo przykro mi to mówić, żywię bardzo silne podejrzenie, iż Egipcjanie myją się najmniej dokładnie ze wszystkich znanych mi narodów świata — może jeszcze tylko z wyjątkiem Mongołów. A już na pewno nie myją naczyń tak, by zadowolić moje wymagania w tym względzie. Chcecie to wierzyć, chcecie, nie wierzyć, ale na wrąbku filiżanki, którą podano mi wczoraj przy śniadaniu, odkryłem długi zaschnięty kawowego koloru ślad po ustach. Fui! Co za ohyda! Wpatrywałem się weń jak urzeczony, zastanawiając się, czyja to zaśliniona dolna warga go tam zostawiła.

Jechałem właśnie wąskimi brudnymi ulicami wschodnich przedmieść Kairu. Wiedziałem dokładnie, dokąd zmierzam. Decyzję tę podjąłem jeszcze przed dotarciem z Izabelą do połowy piramidy Cheopsa, kiedy schodziliśmy. Zmierzałem do Jerozolimy. Nie było to zbyt daleko, mnie zaś zawsze podobało się to miasto. A co więcej, był to najszybszy sposób na opuszczenie Egiptu: Moja trasa wyglądała następująco:

1. Z Kairu do Ismailii. Około trzech godzin jazdy. Po drodze, jak zwykle, śpiewanie arii operowych. Przyjazd do Ismailii szósta, siódma rano. Wynajęcie pokoju i dwie godziny snu. Następnie prysznic, golenie, śniadanie.

2. O dziesiątej przejazd przez Kanał Sueski po moście Ismailskim i droga przez Synaj do granicy Palestyny. *En route* poszukiwanie skorpionów na pustyni synajskiej. Czas dotarcia do granicy palestyńskiej — po około

czterech godzinach jazdy — druga po południu.

3. Stamtąd dalsza podróż prosto do Jerozolimy przez Beer-Szebę i przyjazd do hotelu Króla Dawida w porze koktajłów i kolacji.

Od czasu gdy podróżowałem tą samą drogą, minęło kilka ładnych lat, ale dobrze pamiętałem, że pustynia synajska to wyśmienite miejsce do łowów na skorpiony. Bardzo pragnąłem mieć jeszcze jedną samicę *opisthophthalmusa* — i to dużą. Tej, którą posiadałem, brakowało piątego członu na odwłoku, więc się jej wstydziłem.

Odszukanie głównej szosy do Ismailii nie zajęło mi dużo czasu i w chwilę po wjechaniu na nią rozpędziłem swoją lagondę do stałej prędkości sześćdziesięciu mil na godzinę. Droga ta była wąska, ale miała gładką nawierzchnię i nic nią nie jechało. Wokół mnie w świetle księżyca rozciągał się przygnębiający i posępny krajobraz delty Nilu — płaskie bezdrzewne pola, przecinające je rowy i wszędzie jak okiem sięgnąć czarna gleba. Niewymownie ponury widok.

To mnie jednak nie martwiło. Nie należałem do tej krainy. Byłem od niej całkowicie odizolowany w mojej własnej luksusowej skorupie, schowany przytulnie jak krab pustelnik, ale przemieszczając się *znacznie* szybciej od niego. Och, jakże ja uwielbiam tak podróżować, mknąć na spotkanie nowych ludzi i nowych miejsc, stare zostawiając daleko w tyle! To dla mnie największa frajda w życiu. Jakże pogardzam przeciętnym szarym osobnikiem, który osiada na maleńkim skraweczku ziemi z jedną niemądrą kobietą, żeby rozmnażać się, kisić i gnić w tym stanie aż do śmierci. I w dodatku ciągle z tym samym babskiem! Nie wyobrażam sobie, żeby

jakikolwiek mężczyzna przy zdrowych zmysłach mógł wytrzymać z jedną i tą samą samiczką dzień w dzień, rok po roku. Niektórzy oczywiście wytrzymują. Ale miliony udają, że jest inaczej.

Ja sam nigdy, przenigdy nie pozwoliłem sobie na dłuższą niż pół doby cielesną zażyłość z kobietą. Tej granicy za nic nie przekraczam. Nawet osiem godzin to, moim zdaniem, przeciąganie struny. Proszę spojrzeć, co zdarzyło się, na przykład z Izabelą. Dopóki przebywaliśmy na szczycie piramidy, była niezwykle gracką młodą damą, powolną i swawolną jak szczeniátko, toteż gdybym zostawił ją tam na łaskę trzech arabskich zbójów i zwiął sam, wszystko byłoby jak należy. Jednakże głupio pozwoliłem jej przyczepić się do mnie, skutkiem czego ta śliczna dama przemieniła się w ordynarną rozwrzeszczaną dziewczkę, na którą przykro patrzeć.

Na jakim świecie żyjemy! Rycerskość nie znajduje już podzięki.

Lagonda gładko sunęła wśród nocy. Pomyślałem, że czas na operę. Co zaśpiewać tym razem? Byłem w nastroju na Verdiego. Może coś z Aidy? Naturalnie! Jasne, że z Aidy — opery o Egipcie! Aida była najstosowniejsza. Zacząłem śpiewać. Tej nocy byłem wyjątkowo przy głosie. Co za rozkosz! Przejeżdżając przez małą mięscinę Bilbeis wcieliłem się w samą Aidę, śpiewając *Numei pięta*, piękny pasaż kończący pierwszą scenę.

W pół godziny potem, w Zagazig, byłem Amonasrem, błagającym króla Egiptu o ocalenie dwustu etiopskich brańców w arii *Ma tu, re, tu signore possente*.

Przejeżdżając przez El Abassę, stałem się Radamesem, wykonującym *Fuggiam gli adori nospiti*; otworzyłem już wszystkie okna w samochodzie,

żeby ta niezrównana pieśń miłosna dosięgła uszu fellachów chrapiących w swoich przydrożnych lepiankach, a być *może* przeniknęła do ich snów.

Kiedy dotarłem do Ismailii, była szósta rano i słońce już się wspięło na mlecznobłękitne niebo, ja jednakże siedziałem z Aidą w straszliwym, zapieczętowanym lochu śpiewając *O, terra, addio; addio valle di pianti!*

Jakże szybko zleciała mi ta podróż. Zajechałem do hotelu. Obsługa zaczęła właśnie otrząsać się ze snu. Rozruszałem ich tam jeszcze bardziej i dostałem najlepszy wolny pokój. Prześcieradła i pledy na łóżku wyglądały tak, jakby spało w nich dwudziestu pięciu niemytych Egipcjan przez dwadzieścia pięć nocy z rzędu, więc zerwałem je własnymi rękami (które natychmiast potem wyszorowałem odkażającym mydłem) i zastąpiłem swoją pościelą. Potem nastawiłem budzik i przespałem smacznie dwie godziny.

Na śniadanie zamówiłem jajko w koszulce i grzanekę. Kiedy przyniesiono mi to danie — a słowo wam daję, że nawet od samego pisania o tym kurczy mi się żołądek — żółtko mojego jajka przecinał na skos *błyszczący*, kręcony, kruczoczarny włos ludzki! Tego już było za wiele. Odskoczyłem od stołu i wypadłem z jadalni. — *Addio!* — zawołałem, w przelocie rzucając kasjerowi pieniądze: *addio, valli di pianti!* I tyle mnie tam widzieli.

Pora na pustynię synajską. Cóż za miła i pożądana odmiana. Prawdziwa pustynia to jedno z najmniej zanieczyszczonych miejsc na świecie, Synaj zaś nie jest tu wyjątkiem. Biegnąca przezeń szosa była wąskim, mniej więcej stu pięćdziesięciomilowym pasem smołowanego tłucznia, z jedyną stacją benzynową i gromadą bud przy znaku oznaczającym połowę trasy, w miejscowości o nazwie B'ir Rawd Salim. Poza tym przez całą drogę nie było

tam nic oprócz szczerzej, nie zamieszkaney pustyni. O tej porze foku panował tam z pewnością wielki upał, więc na wypadek awarii samochodu trzeba mieć było z sobą wodę pitną. Dlatego też na głównej ulicy Ismailii zajechałem, żeby napęlnić swój awaryjny pojemnik, pod coś, co udawało sklep wielobranżowy.

Wszedłem do środka i przemówiłem do właściciela. Człowiek ten cierpiał na ciężki przypadek jaglicy. Jej ziarna były tak napęczniałe, że powieki tego nieszczęśnika odstawały mu od gałek ocznych — zgroza patrzeć! Zapytałem, czy sprzeda mi galon przegotowanej wody. Wziął mnie za wariata, tym bardziej szalonego, kiedy uparłem się, żeby pójść z nim do kapiącej od brudu kuchni i upewnić się, czy wszystkiego dopilnował. Napęlnił czajnik wodą z kranu i postawił go na naftowym piecyku. Piecyk palił się maleńkimi żółtymi dymnymi płomyczkami. Właściciel był chyba nadzwyczaj dumny zarówno z niego, jak i z jego wydajności, bo stał, podziwiając go z przekrzywioną głową. Po chwili zapytał mnie, czy nie wolałbym wyjść i zaczekać w sklepie. Zapewnił, że przyniesie mi wodę, kiedy się zagotuje. Odmówiłem opuszczenia kuchni. Stałem tam, wpatrując się w czajnik jak lew i czekając na zagotowanie się wody. W trakcie tego oczekiwania zaś nagle zaczęła mi się wyłaniać przed oczami w całej swej potworności scena ze śniadania — jajko, żółtko i włos! Do kogo należał kłak wbity w śliskie żółtko mojego śniadaniowego jajka w brudnej koszulce? Niewątpliwie do kucharza. A kiedyż to, jeśli łaska, ów kucharz mył ostatnio głowę? Prawdopodobnie nigdy w życiu. Ano właśnie! Włos był na pewno zawszony. To jednak samo w sobie nie spowodowałoby jego wypadnięcia. Co więc sprawiło, że włos

kucharza wpadł do mojego jaja tego ranka, kiedy ten prznosił je z patelni na talerz? Wszystko ma swoją przyczynę, a w tym przypadku była ona oczywista. Głowę kucharza pokrywał ropiejący łojotokowy liszajec. A sam włos, długi czarny włos, który, gdybym był mniej czujny, ani chybi bym połknął, roił się od milionów milusich chorobotwórczych ziarenkowców, których dokładna naukowa nazwa wyleciała mi, na szczęście, z głowy.

Zapytacie, czy mogę być w stu procentach pewien, że ów kucharz miał ropiejący liszajec łojotokowy? Nie, nie w stu procentach. Lecz jeżeli nie miał liszajca, to z pewnością grzybicę strzygącą. A co to oznaczało, wiedziałem aż za dobrze. Znaczyło to, że dziesięć milionów mikrozarodnikowych grzybów przywarło i rozrastało się kępami na tym strasznym włosie, tylko czekając, żeby mi wejść do ust.

Zrobiło mi się niedobrze.

— Woda wrze! — oznajmił triumfalnie właściciel sklepu.

— Niech wrze — odparłem. — Niech gotuje się przez osiem minut. Czym pan chce mnie zarazić... tyfusem?

Jeśli mogę, to nigdy nie piję samej wody, niechby nie wiem jak czystej. Zwykła woda nie ma smaku i zapachu. Naturalnie pijam ją w postaci herbaty czy kawy, ale nawet wówczas do ich zaparzenia staram się zdobyć butelkowaną wodę Vichy lub Malvemska. Unikam wody z kranu. Woda z kranu to straszne paskudztwo. Często są to ni mniej, ni więcej tylko przefiltrowane nieczystości.

— Ta woda wkrótce się wygotuje i wyparuje — powiedział właściciel sklepu, szczerząc do mnie w uśmiechu zielonkawę zęby.

Sam zdjąłem czajnik z ognia i przelałem jego zawartość do pojemnika.

Znalazłszy się z powrotem w sklepie, kupiłem pół tuzina pomarańczy, małego arbuza i tabliczkę szczelnie zapakowanej angielskiej czekolady. A potem wróciłem do lagondy. Nareszcie stamtąd odjechałem.

W kilka minut przejechałem po zwodzonym moście na Kanale Sueskim, tuż za jeziorem Timsah, mając przed sobą płaską, buchającą żarem pustynię i wąską drogę ze smołowanego tłucznia, rozwidlającą się przede mną niczym czarna wstęga aż po horyzont. Rozpędziłem lagondę do zwykłej, stałej prędkości sześćdziesięciu pięciu mil i otworzyłem szeroko okna. Powietrze, które wpadło do środka, było jak podmuch z gorącego pieca. Zbliżało się południe, a rozżarzone słońce padało wprost na dach mojego samochodu. Termometr w środku wskazywał 41 stopni C. Ale jak wiecie, gorąco mi nie przeszkadza, o ile siedzę bez ruchu i jestem odpowiednio ubrany, a w tym przypadku miałem na sobie kremowe lniane spodnie, białą przewiewną koszulę i krawat z pajęczego jedwabiu o barwie prześlicznego, soczyście zielonego mchu. Czułem się błogo na ciele i duszy.

Krótko rozważałem myśl, czy *en route* nie odśpiewać jeszcze jednej opery — byłem w nastroju na *La Giocondę* — ale po zanuceniu kilku taktów z otwierającego ją chóru, odrobinę się zadyszałem, zadzwoniłem tedy na spuszczenie kurtyny i zamiast śpiewać, zapaliłem papierosa.

Jechałem właśnie przez najbardziej obfitującą w skorpiony krainę na świecie i miałem ogromną ochotę, żeby przed dotarciem do znajdującej się w połowie trasy stacji benzynowej w B'ir Rawd Salim przystanąć na poszukiwania. Do tej pory, choć z Ismailii wyjechałem przed godziną, nie

spotkałem żadnego pojazdu i nie zobaczyłem żywego stworzenia. To mi dogadzało. Synaj jest najprawdziwszą pustynią. Zjechałem na pobocze drogi i zgasilem silnik. Poczulem łaknienie, więc zjadłem pomarańczę. Potem włożyłem na głowę hełm tropikalny i wolno wysiadłem z samochodu — mojej wygodnej skorupy kraba pustelnika — na słońce. Przez całą minutę stałem bez jednego ruchu na środku szosy, mrużąc oczy na widok jaskrawego otoczenia.

Nad głową miałem buchające żarem słońce i gorący bezmiar niebios, w dole zaś otaczało mnie zewsząd ogromne blade morze żółtych piasków, które było nie całkiem z tego świata. W oddali, na południe od szosy, wznosiły się góry, nagie, blado-brązowe, czerwono-kasztanowe góry szklące się delikatnie błękitem i fioletem, wyrastające z nienacka z pustyni i rozplywające się na tle nieba w mgiełce upału. Panowała przytłaczająca cisza. Nie było słyhać nic — znikąd głosu ptaka ni owada, co wprawiało mnie w dziwnie boski stan, kiedy stałem tam samotnie pośród wspaniałego, gorącego, nieludzkiego krajobrazu, jakbym znajdował się na całkiem innej planecie, Marsie lub Jowiszu, bądź w jakimś odległym i wciąż bezludnym miejscu, gdzie w ogóle nie rośnie trawa, a chmury nie czerwienieją.

Podszedłem do bagażnika samochodu i wyjąłem pudełko do uśmiercania zdobyczy, siatkę oraz rydel. A potem zstąpiłem z drogi na miękkie, rozpalony piach. Przemierzyłem wolno ze sto jardów w głąb pustyni, przypatrując się uważnie gruntowi. Nie szukałem skorpionów, lecz ich jam. Skorpion to nocne, żyjące w ukryciu stworzenie, które chowa się przez cały dzień pod kamieniem albo w jamie, zależnie od gatunku.

Dopiero wyłącznie po zachodzie słońca wychodzi na żer.

Ten, którego pragnąłem schwytać, opisthophthalmus, był jamowcem, dlatego nie zaprzętałem sobie głowy odwracaniem kamieni. Szukałem tylko jam. W ciągu dziesięciu czy piętnastu minut poszukiwań nie znalazłem ani jednej, ponieważ jednak upał zdążył mi już mocno dopiec, z bólem serca postanowiłem wrócić do samochodu. Wracalem bardzo wolno, nadal nie odrywając wzroku od ziemi, i kiedy dotarłem do drogi, stawiając już na niej nogę, naraz w przydrożnym piachu, najwyżej stopę od jej skraju, dojrzałem jamę skorpiona.

Odłożyłem na ziemię obok pudełko eksterminatora wraz z siatką i zacząłem ostrożnie odgarniać rydelkiem piasek wokół dziury. Czynność ta nieodmiennie mnie fascynuje. Przypomina mi szukanie skarbu, które zawiera w sobie akurat tyle niebezpieczeństwa, żeby wzburzyć w człowieku krew. Czułem, jak serce wali mi w piersi, kiedy coraz głębiej i głębiej wkopywałem się w piach.

I nagle... zobaczyłem ją!

Boże Świąty, cóż za kolos! Była to olbrzymia samica, ale nie opisthophthalmusa, jak rozpoznałem iii natychmiast, lecz pandinusa, innego afrykańskiego jamowca. Do jej grzbietu zaś przyczepiony był — cud prawdziwy! — żwawy rój. składający się z jednego, dwóch, trzech, czterech... w sumie czternastu małych skorpioniątek! Matka miała co najmniej sześć cali długości, a jej dzieci były wielkości małych kul rewolwerowych! Dojrzała już mnie, pierwszego człowieka, jakiego widziała na oczy, szeroko rozwarła szczypce, a zagięty jak znak zapytania odwłok

wzniosła wysoko ponad grzbiet, gotowa do zadania ciosu. Wziąłem siatkę, szybko podsunąłem ją pod skorpionicę i poderwałem w górę. Moja branka zwijała się i skręcała, bijąc dziko na wszystkie strony końcem odwłoka. Zobaczyłem, że przez oczka siatki skapują na piasek duże krople jadu. Szybko przeniosłem skorpionicę wraz z potomstwem do eksterminatora i zamknąłem wieczko. Następnie wydobyłem z samochodu eter i zacząłem go wlewać w mały zasłonięty gazą otwór na wierzchu pudełka, aż wyściółka w środku dobrze nasiąknęła.

Pomyślałem, że będzie to zaiste wspaniała ozdoba mojej kolekcji. Dzieci po śmierci naturalnie odpadną od matki, ale przykleję je potem do niej w mniej więcej tych samych miejscach. A wówczas stanę się dumnym posiadaczem dużej samicy pandinusa z czternaściorgiem małych na grzbiecie! Byłem ogromnie zadowolony. Podniosłem eksterminator czując, jak moja zdobycz miota się wściekle w środku, i schowałem go wraz z siatką i rydelkiem do bagażnika. Potem wróciłem na fotel w samochodzie, zapaliłem papierosa i odjechałem.

Im bardziej jestem z siebie rad, tym wolniej jadę.

Jechałem więc teraz całkiem wolno i dotarcie do stacji benzynowej w B'ir Rawd Salim zajęło mi ani chybi blisko godzinę. Po jednej stronie drogi stała samotna pompa benzynowa i drewniana buda. Na prawo jeszcze trzy budy, wszystkie wielkości komórek. Reszta była pustynią. W zasięgu wzroku ani widu żywej duszy. Brakowało dwudziestu minut do drugiej po południu, a temperatura w samochodzie wynosiła 41 stopni Celsjusza.

Z powodu moich nedorzecznych starań o zdobycie przed wyjazdem z

Ismailii przegotowanej wody, całkiem zapomniałem o zatankowaniu benzyny i wskaźnik paliwa pokazywał, że zostało mi jej mniej niż dwa galony. Dojechałem tu na ostatnich litrach — ale co tam. Zatrzymałem się przy pompie i czekałem. Nikt się nie pojawił. Nacisnąłem klakson i cztery zestrojone trąbki odegrały na pustyni wspaniałą melodię *Som gia mille e tre!* Nikt się nie pojawił. Jeszcze raz nacisnąłem klakson - zaśpiewały trąbki. Mozartowska fraza zabrzmiała cudownie w tym otoczeniu. Ale i tak nikt się nie pojawił. Mieszkańcy B'ir Rawd Salim mieli najwidoczniej gdzieś mojego przyjaciela Don Juana i tysiąc trzy niewiasty, które w Hiszpanii pozbawił dziewictwa.

Wreszcie, kiedy zdążyłem zagrać na trąbkach przynajmniej pół tuzina razy, drzwi budy za pompą benzynową otworzyły się, ze środka wyłonił się wysokawy drab i stanął w progu, oburącz zapinając guziki. Nie śpieszyło mu się i dopiero kiedy skończył się zapinać, podniósł wzrok na lagondę. Odwzajemniłem mu spojrzenie przez otwarte okno. Zobaczyłem, jak robi krok w moją stronę... a zrobił to bardzo, bardzo powoli... potem zaś drugi krok...

Chryste Panie! — pomyślałem natychmiast. — Dopadły go krętki blade!

Poruszał się wolno i chwiejnie, wysoko i niezdarnie podnosząc nogi, jakby cierpiał na niezbornosć ruchów. Przy każdym kroku wysoko zadzierał stopę i stawiał ją gwałtownie na ziemi, jak gdyby zadeptywał niebezpiecznego robaka.

Pomyślałem, że najlepiej będzie się stąd wynieść. Włączyć silnik i uciec gdzie pieprz rośnie, zanim do mnie dotrze. Wiedziałem jednak, że nie mogę

tego zrobić. Musiałem zdobyć benzynę. Siedziałem więc w samochodzie, wpatrując się w tego przerażającego osobnika, jak z mozołem ciężko stąpa przez piach. Na pewno cierpiał na swoją odrażającą przypadłość od wielu lat, bo inaczej nie rozwinęłyby się w tę niezborną ruchów. W kołach fachowych zwą ją *tabes dor salts*, co z punktu widzenia patologii oznacza, że ofiara cierpi na zwyrodnienie powrózków tylnych rdzenia. Ale, och, wrodzy moi, i ach, moje przyjaciół, jest to coś znacznie gorszego! — to powolne i bezlitosne zżeranie samych włókien nerwowych przez syfilityczne trucizny. Człowiek ów — nazwę go Arabem — podszedł wprost do drzwiczek samochodu po mojej stronie i zajrzał przez otwarte okno. Odchyliłem się od niego, modląc się, aby nie przysunął się już ani o cal. Bez wątplenia należał on do najbardziej wyniszczonych ludzi, jakich spotkałem. Twarz miał pożłobioną i powyżeraną jak stara drewniana rzeźba stoczona przez robaki, tak że jej wygląd zmusił mnie do rozważań, na ile jeszcze chorób oprócz kiły cierpi ten człowiek.

— Salaam — wymamrotał.

— Napełnij bak — poleciłem mu.

Nie poruszył się. Z wielkim zainteresowaniem lustrował wnętrze lagondy. Bił od niego przerażający gnilny odór.

— Rusz się! — dodałem ostrzejszym tonem. — Chcę trochę benzyny!

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Był to nie tyle uśmiech, co łypnięcie, bezczelne kpiarskie łypnięcie, zdające się mówić: „To ja jestem panem stacji benzynowej w B’ir Rawd Salim! Spróbuj tylko mnie tknąć!” W kącie oka usiadła mu mucha. Nie zrobił nic, żeby ją odgonić.

— Pan chce benzyny? — spytał urągliwie.

Już miałem go skłąć, ale powstrzymałem się w samą porę i odpowiedziałem grzecznie.

— Tak, proszę, byłbym bardzo wdzięczny za nalanie.

Przypatrywał mi się chytrze kilka chwil, żeby się upewnić, czy z niego nie kpię, wreszcie skinął głową tak, jakby moje zachowanie zadowoliło go. Odwrócił się i ruszył wolno ku tyłowi samochodu. Sięgnąłem do kieszeni na drzwiach po butelkę Glenmorangie. Nalałem sobie dużą porcję i zacząłem popijać. Twarz Araba znajdowała się najwyżej jard od mojej, do samochodu wpadał jego cuchnący oddech, a wraz z nim wlatywało Bóg wie ile miliardów wirusów. W takich razach świetnie robi odkażanie sobie gardła i ust łykiem szkockiej górskiej whisky. W dodatku działa ona kojąco. Opróżniłem szklankę i napełniłem ją ponownie. Wkrótce mój strach zelżał. Na siedzeniu obok spostrzegłem leżący arbuz. Uznałem, że zjedzenie w tej chwili kawałka tego owocu odświeży mnie. Wyjąłem nóż z futerału i wyciąłem grubą część arbuza, a potem czubkiem noża starannie wydłubałem ‘wszystkie czarne pestki, resztę owocu przeznaczając na śmietniczkę.

Siedziałem tedy pijąc whisky i jedząc arbuza. Jedno i drugie pyszne.

— Benzyna wlana — oznajmił przerażający Arab, pojawiając się przy oknie.

— Teraz sprawdzę wodę i olej.

Wolałbym, żeby w ogóle nie dotykał lagondy, ale nie chcąc narazić się na kłótnię, milczałem. Ciężko kłapiąc, poszedł na przód samochodu, a jego chód skojarzył mi się ze spowolnionymi ruchami pijanego hitlerowskiego żołnierza oddziałów szturmowych, maszerującego krokiem defiladowym

Tabes dorsalis, żebym tak był zdrow!

Jeszcze tylko jedna choroba objawia się takim dziwnym chodem, odznaczającym się wysokim podnoszeniem nóg — jest nią chroniczne beri-beri. Cóż, na nią też prawdopodobnie chorował. Od-kroilem następny kawałek arbuza i na mniej więcej minutę zająłem się wydłubywaniem nożem pestek. Kiedy znowu podniosłem wzrok, zobaczyłem, że Arab otworzył na prawą stronę maskę lagondy i pochyla się nad silnikiem. Nie widziałem jego głowy i ramion, ani jego rąk. Co, u licha, tam majstrował? Wskaźnik poziomemu oleju znajdował się z drugiej strony. Zapukałem w przednią szybę. Jakby tego nie słyszał. Wystawiłem głowę przez okno i krzyknąłem:

— Hej! Wyłaź stamtąd!

Powoli wyprostował się, a kiedy wyjął prawą rękę z silnika, ujrzałem, że trzyma w palcach coś długiego, czarnego, zwinętego i bardzo cienkiego.

Wielki Boże! — pomyślałem. — Znalazł tam węża!

Podszedł do okna szczerząc do mnie zęby i wyciągnął ów przedmiot przed siebie, żebym go obejrzał. Dopiero po bliższych oględzinach pojąłem, że to wcale nie wąż — był to pasek klinowy do wentylatora mojej lagondy!!!

Kiedy tak siedziałem gapiąc się osłupiały na ten pas, nagle runął na mnie strumień wszystkich straszliwych następstw utknięcia na tym bezludziu w towarzystwie tego odrażającego osobnika.

— Widzi pan — mówił do mnie Arab — to wisiało tylko na jednej nitce. Dobrze, że zauważyłem.

Wziąłem od niego pasek i dokładnie go obejrzałem.

— Przeciąłeś go! — krzyknąłem.

— Przeciąłem? — odparł cicho. — Po co miałbym go przecinać?

Szczerze mówiąc, nie byłem w stanie orzec, czy go przeciął, czy nie. Jeżeli przeciął, to w takim razie musiał też zadać sobie trud wystrzępienia przeciętych końców tak, żeby wyglądało to na zwyczajne zerwanie. Mimo to byłem jednak przekonany, iż go przeciął, a jeżeli się co do tego nie myliłem, to groziło mi niebezpieczeństwo większe niż kiedykolwiek.

— Chyba rozumiesz, że bez paska nie mogę jechać dalej — powiedziałem.

Znów się uśmiechnął straszliwie okaleczonymi ustami, odsłaniając owrzodzone dziąsła.

— Jeżeli pan odjedzie, to zagotuje się pan w trzy minuty — odrzekł.

— Co więc proponujesz?

— Sprowadzę panu drugi pasek do wentylatora.

— Sprowadzisz?

— Oczywiście. Tutaj jest telefon, więc jeżeli zapłaci pan za rozmowę, zadzwonię do Ismailii. A jeżeli nie mają takiego w Ismailii, to zadzwonię do Kairu. Nie ma sprawy.

— Nie ma sprawy?! — krzyknąłem, wysiadając z samochodu, — A kiedyż to, łaskawco, ten pasek dotrze w to zakazane miejsce?

— Co rano, około dziesiątej, przejeżdża tędy wóz pocztowy. Dostałby go pan jutro.

Ten typ miał na wszystko gotową odpowiedź. Nie musiał się nawet nad nią zastanawiać.

Przyszło mi na myśl, że ten łajdak w przeszłości na pewno już przecinał paski wentylatorowe.

Wzmogłem czujność, bardzo pilnie go obserwując.

— W Ismailii nie będą mieli paska do samochodu tej marki — powiedziałem. — Musieliby go sprowadzić z przedstawicielstwa firmy w Kairze. Sam do nich zadzwonię — oznajmiłem. Pocieszyłem się tym, że jest tu telefon. Telefoniczne słupy towarzyszyły drodze przez całą pustynię, a zauważyłem, że od najbliższego z nich do chaty biegną dwa druty. — Poproszę filię w Kairze o wysłanie tu natychmiast specjalnego pojazdu — dodałem.

— A kto zechce jechać tu sześć godzin i sześć godzin z powrotem, żeby przywieźć pasek do wentylatora! — rzekł. — Poczta zjawi się tu w tym samym czasie.

— Zaprowadź mnie do telefonu — poleciłem, ruszając w stronę budy. Nagle jednak uderzyła mnie paskudna myśl i przystanąłem.

Jakże w ogóle mógłbym dzwonić z zakażonego aparatu tego typu?! Musiałbym przecież przycisnąć do ucha słuchawkę, a mikrofon prawie na pewno dotknąłby moich ust. Guzik mnie obchodziło, co mówią lekarze o niemożliwości zarażenia się kiłą na odległość. Syfilityczny mikrofon był syfilitycznym mikrofonem i niedoczekanie, żebym kiedykolwiek zbliżył coś takiego do ust, o nie, serdeczne dzięki. Nie miałem zamiaru nawet wchodzić do jego budy.

Stałem więc w skwierczącym żarze popołudnia i wpatrywałem się w Araba o potwornej, zjedzonej chorobą twarzy, on zaś wpatrywał się we mnie z absolutnie niewzruszonym spokojem.

— Chce pan telefon? — zapytał.

— Nie — odparłem. — Umiesz czytać po angielsku?

— O, tak.

— Doskonale. Napiszę ci nazwę przedstawicielstwa, nazwę tego samochodu, a także moje nazwisko. Znają mnie tam. Powiesz im, co jest potrzebne. I posłuchaj uważnie... każ im natychmiast wysłać na mój koszt specjalny wóz. Dobrze im zapłacę. A jeżeli tego nie zrobią, to każ im koniecznie dostarczyć pasek do Ismailii na czas, tak żeby zdążył na ten wóz pocztowy, rozumiesz?

— Nie ma sprawy — odrzekł Arab.

Tak więc zapisałem na kartce papieru, czego potrzebuję, i podałem mu ją. Oddalił się wolno i ciężko, znikając w budzie. Zamknąłem maskę samochodu. A potem wróciłem i usiadłem na fotelu za kierownicą, chcąc wszystko przemyśleć.

Nalałem sobie znowu whisky i zapaliłem papierosa. Byłem pewien, że tą drogą musi coś jeździć.

Ktoś na pewno przejedzie przed zmrokiem. Ale czy to zmieni moją sytuację? Nie, nie zmieni — chyba że będę gotów dosiąść się, a lagondę wraz z całym bagażem zostawić na wątpliwą łaskę Araba. Czy byłem gotów to zrobić? Tego nie wiedziałem. Zapewne tak. Gdyby przyszło mi tu zanoć, to zamknąłbym się w wozie i czuwał tak długo, jak zdołam. Pod żadnym warunkiem nie wszedłbym do budy zamieszkaanej przez tę kreaturę. Ani też nie tknąłbym jego jedzenia. Miałem whisky i wodę, a ponadto pół arbuza i tabliczkę czekolady. To mi w zupełności wystarczało.

Upał był okropny. Termometr w samochodzie wskazywał około 40 stopni. Na zewnątrz, w słońcu, było jeszcze goręcej. Obficie się pociłem. Mój Boże,

żeby utknąć w takim miejscu! I to w takim towarzystwie.

Po mniej więcej kwadransie Arab wyszedł z budy. Nie spuszczałem go z oka, kiedy zbliżał się do samochodu.

— Rozmawiałem z tym garażem w Kairze — powiedział, wpychając twarz w okno. — Pasek do wentylatora przywiozą jutro wozem pocztowym. Wszystko załatwione.

— Poprosiłeś, żeby go wysłali natychmiast?

— Powiedzieli, że to niemożliwe — odparł.

— A na pewno prosiłeś?

Przechylił głowę na bok i posłał mi przebiegły, bezczelny uśmiech. Odwróciłem się i czekałem, aż odejdzie. Nie ruszył się z miejsca.

— Mamy tu dom dla gości — rzekł. — Może się pan tam dobrze wyspać. Żona przyszykuje jedzenie, ale musi pan zapłacić.

— A kto jeszcze mieszka tu oprócz ciebie i żony?

— Drugi taki — odparł.

Skinął ręką w kierunku trzech bud po drugiej stronie szosy, a kiedy odwróciłem się, zobaczyłem niskiego, krępego mężczyznę w brudnych spodniach khaki i koszuli, który stał w drzwiach środkowej, z luźno zwieszonymi rękami. Tkwił nieruchomo jak posąg w ocienionym progu. Patrzył na mnie.

— Co to za jeden? — spytałem.

— Saleh.

— Czym się zajmuje?

— Pomaga.

— Przenocuję w samochodzie — oświadczyłem. — A poza tym twoja żona

nie musi szykować jedzenia. Mam własne.

Arab wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł do budy z telefonem. Zostałem w samochodzie. Cóż innego mogłem zrobić? Dopiero co minęło wpół do trzeciej. Za trzy, cztery godziny miało się trochę ochłodzić. Mógłbym wtedy przejść się i być może upolować kilka skorpionów. Na razie musiałem wyciągnąć z zaistniałej sytuacji co się da. Sięgnąłem na tył samochodu, gdzie trzymałem kuferek z książkami, i nie patrząc wziąłem pierwszą z brzegu. Kuferek zawierał trzydzieści najlepszych książek świata i wszystkie można było czytać ze sto razy, a co więcej, po każdej następnej lekturze tylko zyskiwały. Wybór był zatem bez znaczenia. Okazało się, że tym razem trafiłem na *Przyrodę Selborne*. Otworzyłem ją na chybił trafił.

“Przed ponad dwudziestu laty mieliśmy w tej wiosce chłopca-idiotę, którego dobrze pamiętam, a który w dzieciństwie wykazywał silny pociąg do pszczół. Były mu one pożywieniem, rozrywką i jedynym zajęciem. A ponieważ ludzie takiego pokroju rzadko mają więcej nad jeden punkt widzenia, przeto wszystkie skromne zdolności tego chłopca ześrodkowały się na tym jednym jedynym przedmiocie. Zimą przesypiał przy piecu w ojcowskiej chałupie, zapadając w jako wyś zimowy letarg i rzadko opuszczając zapiecek. Za to w lecie bardzo się ożywiał i uganiał się za zdobyczą tak po polach, jak i osłonecznionych brzegach rzeki. Miodne pszczoły, trzmiele, osy — bez wyjątku padały jego pastwą, gdziekolwiek je zobaczył. Ich żądła miał za nic, za to ścisnął je *nudis manibus*, w jednej chwili pozbawiając je tej broni, i wysysał ich ciała z racji torebek miodowych. Bywało, że wypełniał sobie pazuchę koszuli pewną liczbą schwytanych owadów, a czasem zamykał je w

butelkach. Sam był jak *merops apiaster*, czyli żoła, i ogromnie szkodził pszczelarzom. Zakradał się bowiem do ich pasiek i przysiadłszy przed kłodami-stojakami stukał palcami w ule, tem sposobem wybierając z nich pszczoły w miarę wychodzenia. Znany był z tego, że aby dobrać się do miodu, za którym wprost przepadał, przewracał ule. Tam gdzie wyrabiano miód korzenny, plątał się przy beczkach i kadziach, zebrząc o miarkę napoju, który nazywał pszczelim winem. A kiedy tak sobie biegał, to zwykle buczał, na podobieństwo brzęczenia pszczół...”

Podniosłem wzrok znad książki i rozejrzałem się. Nieruchomo stojący mężczyzna po drugiej stronie drogi skrył się. Nie było widać nikogo. Panowała niesamowita cisza, a absolutny spokój i pustka tego miejsca były aż dręczące. Wiedziałem, że mnie obserwują. Że najmniejszy mój ruch, każdy łyk whisky i każde wydmuchnięcie dymu z papierosa jest skrzętnie odnotowane. Nie cierpię przemocy, więc nigdy nie noszę broni. Ale w tej chwili chętnie zrobiłbym z niej użytek. Krótką chwilę rozważałem w myślach, czy nie uruchomić samochodu i nie pojechać przed siebie tą drogą, aż do zagotowania się silnika. Tylko jak daleko bym zajechał? W tym upale i bez paska — niedaleko. Być może milę, najwyżej dwie...

Nie, to na nic. Postanowiłem, że zostanę tutaj i przeczytam książkę.

Chyba w godzinę potem spostrzegłem bardzo daleko na drodze sunącą w moją stronę ciemną plamę, która zbliżała się od Jerozolimy. Nie odrywając od niej wzroku, odłożyłem książkę. Rosła w oczach. Pędziła z ogromną prędkością, doprawdy zdumiewającą. Wysiadłem z lagondy, pośpieszyłem na skraj drogi i stanąłem tam, gotów dać znak nadjeżdżającemu kierowcy, żeby

się zatrzymał

Samochód był coraz bliżej, a kiedy znalazł się ćwierć mili ode mnie, zaczął zwalniać. Raptem zauważyłem kształt jego chłodnicy. To był rolls-royce!!! Podniosłem rękę i trzymałem ją w górze, a wielki zielony samochód, prowadzony przez mężczyznę, zjechał z drogi i zatrzymał się przy mojej lagondzie.

Uradowałem się ponad miarę. Gdyby to był ford lub morris, byłbym bardzo zadowolony, lecz nie uradowany. Ale ponieważ był to rolls — podobnie zareagowałbym na bentleya, a również na isottę bądź inną lagondę — miałem całkowitą gwarancję, że otrzymam wszelką żadaną pomoc. Trzeba wam bowiem wiedzieć, jeśli tego nie wiecie, że pomiędzy właścicielami drogich samochodów istnieją bardzo silne więzy braterstwa. Instynktownie darzą się oni nawzajem szacunkiem, a powód owej wzajemnej uwagi jest po prostu taki, że bogaty szanuje bogatego. W rzeczy samej wielki bogacz nikogo w świecie nie szanuje tak, jak drugiego wielkiego bogacza, i dlatego też, rzecz jasna, gdziekolwiek się znajdują, lgną do siebie. Korzystają przy tym z wielu znaków rozpoznawczych. Wśród kobiet chyba najbardziej rozpowszechniło się noszenie imponującej biżuterii. Ale kosztowny automobil cieszy się również dużymi względami, i to u obu płci. Stanowi ruchomy afisz, publiczną deklarację bogactwa i sam w sobie jest kartą wstępu do owego prześwietnego nieoficjalnego towarzystwa — Związku Ludzi Bardzo Bogatych. Sam jestem jego długoletnim członkiem i bardzo mi z tym dobrze. Kiedy spotykam innego członka, co lada chwila miało nastąpić, natychmiast wyczuwam w nim bratnią duszę. Mówimy tym samym

językiem. Jest on jednym z nas! Miałem więc usprawiedliwiony powód do radości.

Kierowca rollsa wysiadł i podszedł do mnie. Był niskim brunetem o oliwkowej cerze i miał na sobie nieskazitelnie biały lniany garnitur. Pomyślałem sobie, że to Syryjczyk. Ale równie dobrze mógł być Grekiem. Mimo upału prezentował się nadzwyczaj rześko i świeżo.

— Dzień dobry — przywitał się. — Ma pan kłopoty?

Pozdrowiłem go, a potem szczegółowo opowiedziałem, co mnie spotkało.

— Och, drogi panie, drogi panie, co za przykrość! — powiedział doskonałą angielszczyzną. — Co za straszny pech! Żeby utknąć w podobnym miejscu!

— Prawda?

— A więc mówi pan, że nowy pasek do wentylatora został na pewno zamówiony?

— Tak — odparłem — jeśli mogę polegać na właścicielu tego przybytku.

Arab, który wyłonił się z budy, nim jeszcze rolls się zatrzymał, zdążył już podejść do nas i nieznajomy zaczął szybko wypytywać go po arabsku o to, co dla mnie załatwił. Odniosłem wrażenie, że tych dwu dobrze się zna, i było oczywiste, iż Arab żywi wielki szacunek dla przybysza. Dosłownie czołgał się u jego stóp.

— No tak... chyba wszystko w porządku — rzekł wreszcie nieznajomy, zwracając się do mnie. — Ale z całą pewnością nie będzie pan mógł stąd wyruszyć aż do jutra rano. Dokąd pan jechał?

— Do Jerozolimy — odparłem. — I nie uśmiecha mi się perspektywa spędzenia nocy w tym piekielnym miejscu.

— No pewnie, drogi panie. Naraziłoby to pana na wielkie niewygody.

Przybysz uśmiechnął się do mnie, odsłaniając wyjątkowo białe zęby. Potem wyjął cygarnicę i poczęstował mnie papierosem. Była wykonana ze złota, a przez jej wierzch biegła skośnie żyłka zielonego nefrytu. Bardzo piękny przedmiot. Wziąłem papierosa. Przypalił mi, a potem sobie.

Głęboko zaciągnął się papierosem, odchylił głowę w tył i wydmuchnął dym w słońce.

— Jeżeli postoiemy tu dłużej, obaj dostaniemy udaru słonecznego — powiedział. — Pozwoli pan, że mu coś zaproponuję?

— Ależ oczywiście.

— Mam nadzieję, że nie weźmie pan za tupet zaproszenia złożonego przez zupełnie obcą osobę...

— Proszę...

— W żadnym razie nie może pan tu zostać, dlatego proponuję, żeby zboczył pan z drogi i przenocował w moim domu.

A nie mówiłem?! Rolls-royce uśmiechał się do lagondy tak, jak nigdy nie uśmiechnąłby się do forda czy morrisa!

— To znaczy, w Ismailii?

— Nie, nie — odparł ze śmiechem. — Mieszkam tuż za rogiem, o, tam.

Skinął ręką w kierunku, skąd przyjechał.

— Ależ z pewnością pan jechał do Ismailii. Nie chciałbym, żeby z mojego powodu zmieniał pan plany.

— Ależ wcale nie jechałem do Ismailii — odparł.

— Wpadłem tutaj, żeby odebrać pocztę. Mój dom

— co może pana zaskoczy — jest bardzo niedaleko stąd. Widzi pan tę górę? To Maghara. Mieszkam tuż za nią.

Spojrzałem na górę. Wznosiła się o jakieś dziesięć mil na północ od drogi — żółta skalista bryła, mierząca może z dwa tysiące stóp wysokości.

— Naprawdę chce mi pan powiedzieć, że ma dom pośrodku tego... na tym pustkowiu? — spytałem.

— Pan mi nie wierzy? — zagadnął z uśmiechem.

— Ależ wierzę — odparłem. — Mnie już nic nie jest w stanie zdziwić. Z wyjątkiem, być może

— tu odwzajemniłem mu uśmiech — nieznanego spotkanego pośrodku pustyni, który traktuje mnie jak brata. Jestem oszołomiony pańskim zaproszeniem.

— Drobiazg, drogi panie. Mam na względzie tylko własną korzyść. W tych stronach niełatwo o kulturalne towarzystwo. Podnieca mnie myśl, że będę miał na kolacji gościa. Pozwoli pan, że się przedstawię... Abdul Aziz.

Nieznanomy złożył mi szybki, krótki ukłon.

— Oswald Cornelius — odparłem. — Ogromnie mi miło.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Mieszkam po części w Bejrucie — wyjaśnił Aziz.

— A ja mieszkam w Paryżu.

— Cudownie. A teraz... pojedziemy? Jest pan gotów?

— Ale co z moim samochodem? Czy mogę go tu bez obawy zostawić?

— Niech pan będzie spokojny. Omar to mój znajomy. Biedak wprawdzie nie prezentuje się najlepiej, ale pana, ponieważ jest pan w moim towarzystwie,

nie zawiedzie. No, a ten drugi, Saleh, jest dobrym mechanikiem. Założy panu nowy pasek do wentylatora jutro, kiedy go dostarczą. Zaraz wydam mu polecenie.

Saleh, ów mężczyzna, który stał po przeciwnej stronie drogi, podszedł do nas, kiedy rozmawialiśmy. Pan Aziz wydał mu dyspozycje. A potem przykazał obu Arabom pilnować mojej lagondy. Mówił krótko, ostrym tonem. Omar i Saleh stali kłaniając się i drapiąc. Przeszedłem przez drogę do swojego wozu po walizkę. Moje ubranie aż prosiło się o zmianę.

— Aha, przy okazji — zawołał do mnie pan Aziz. — Do kolacji zakładam zwykle czarny krawat.

— Naturalnie — mruknąłem, szybko wepchnąłem z powrotem już wybraną walizkę i wziąłem drugą.

— Robię to głównie dla pań. Lubią się stroić. Odwróciłem się raptownie i spojrzałem na niego, ale już wsiadał do samochodu.

— Jest pan gotów? — spytał.

Wziąłem walizkę i położyłem ją na tylnym siedzeniu rollsa. A potem usiadłem na przednim fotelu obok niego i odjechaliśmy.

Podczas jazdy gawędziliśmy o tym i owym. Zdradził mi, że zajmuje się dywanami. Miał biura w Bejrucie i Damaszku. Jego przodkowie, rzekł, pracowali w tej branży setki lat.

Wspomniałem, że na podłodze mojej sypialni w Paryżu trzymam siedemnastowieczny damasceński dywan.

— Nie mówi pan tego poważnie! — wykrzyknął, ze zdenerwowania o mało nie wypadając z drogi. — Czy jest z jedwabiu i wełny, z czysto jedwabną

osnową? I czy tło ma ze złotych i srebrnych nici?

— Tak — przyznałem. — Właśnie.

— Ależ drogi panie! Takiego dywanu nie wolno kłaść na podłodze!

— Chodzę po nim wyłącznie boso — zapewniłem.

To go pocieszyło. Zdaje się, że kochał dywany tak gorąco, jak ja Kocham błękitne wazy Ts'in-Hoa.

Niebawem skręciliśmy ze smołowanej szosy w lewo, na twardą kamienistą drogę i skierowaliśmy prosto przez pustynię w stronę góry.

— To mój prywatny dojazd — wyjaśnił pan Aziz. — Ma pięć mil.

— Ma pan nawet telefon — powiedziałem, spostrzegając słupy, których rząd skręcał z głównej drogi i biegł wzdłuż jego prywatnego dojazdu.

I wtedy nagle wpadła mi do głowy dziwna myśl.

Ten Arab ze stacji benzynowej... też miał telefon...

Czy to nie tłumaczyło „przypadkowego” zjawienia się tam pana Aziza?

Czy możliwe, żeby mój samotny gospodarz wymyślił sprytny fortel na porywanie z drogi podróżnych, aby zapewnić sobie, jak to nazywał „kulturalne towarzystwo” przy kolacji? Czy w rzeczywistości nie wydał Arabowi stałej instrukcji, ażeby unieruchamiał samochody wszystkich obiecująco wyglądających przejezdnych? „Wystarczy, że przetniesz pasek do wentylatora, Omar. A potem szybko do mnie zadzwoń. Upewnij się jednak, że to przyzwoicie wyglądający gość w dobrym samochodzie. A wtedy ja przyjadę tutaj i jeżeli uznam, że warto go zaprosić do domu...” Naturalnie podejrzenie to było niedorzeczne.

— Pewnie się pan zastanawia — mówił mój towarzysz — czemu, u licha,

wybrałem sobie miejsce na dom akurat tutaj, na takim odludziu.

— Prawdę mówiąc, owszem, poniekąd.

— Wszyscy to robią — rzekł.

— Wszyscy? — spytałem.

— Tak.

No, no — pomyślałem — a więc wszyscy!

— Mieszkam tutaj — ciągnął — ze względu na moją szczególną sympatię do pustyni. Jestem przywiązany do niej tak, jak marynarz przywiązany jest do morza. Czy to pana bardzo dziwi?

— Nie — odparłem. — Nie dziwi mnie ani trochę.

Zamilkł i zaciągnął się papierosem.

— To jeden powód — przemówił. — Ale jest jeszcze inny. Ma pan rodzinę, panie Cornelius?

— Niestety, nie mam — odpowiedziałem mu ostrożnie.

— A ja tak — rzekł. — Żonę i córkę. Obie są bardzo piękne, przynajmniej w moich oczach. Córka ma lat osiemnaście. Uczyła się w wyśmienitej szkole z internatem w Anglii, a w tej chwili... — wzruszył ramionami — w tej chwili siedzi po prostu beczynnie i czeka, aż dorośnie do małżeństwa. Ale ten okres wyczekiwania... czym można zająć wtedy młodą piękną dziewczynę? Nie mogę jej puścić samopas. Jest na to za ładna. Kiedy zabieram ją do Bejrutu, widzę, jak mężczyźni krążą wokół niej niczym wilki gotujące się do ataku. Doprowadza mnie to niemal do szaleństwa. Wiem wszystko o mężczyznach, panie Cornelius. Znam ich zachowanie. Naturalnie, to prawda, że nie jestem jedynym ojcem, który ma takie kłopoty. Ale inni jakoś z tym

sobie radzą i godzą się na to. Pozwalają odejść swoim córkom. Zwyczajnie, wyrzucają je z domu i odwracają wzrok. Ja tak nie potrafię. Po prostu nie umiem się do tego zmusić! Nie mogę dopuścić, żeby tłuł ją byle Ahmed, Ali czy Hamil, jaki się tylko nawinie. I to jest, widzi pan, drugi powód, dla którego mieszkam na pustyni — żeby jeszcze przez kilka lat uchronić moje śliczne dziecko przed tymi dzikimi bestiami. Powiedział pan, że nie ma pan żadnej rodziny, panie Cornelius?

— Niestety, to prawda.

— Ach tak — rzekł z rozczarowaniem. — To znaczy, że nigdy nie był pan żonaty?

— Prawdę mówiąc... nie. Nie byłem — odparłem, czekając na następne nieuchronne pytanie. Padło ono po mniej więcej minucie.

— Nigdy nie miał pan ochoty się ożenić i mieć dzieci?

Zadawali mi je wszyscy. Był to po prostu inny sposób, aby spytać „Czy w takim razie jest pan homoseksualistą?”

— Raz — odparłem. — Tylko raz.

— I co się stało?

— W moim życiu była tylko jedna osoba, panie Aziz... i kiedy odeszła... — Westchnąłem.

— To znaczy, umarła?

Skinąłem głową, gardło mając za mocno ściśnięte, żeby mu odpowiedzieć.

— Drogi panie — rzekł. — Jakże mi przykro! Proszę mi wybaczyć moje wścibstwo.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

— Zdumiewające — mruknąłem — jak po pewnym czasie człowiek całkowicie traci zainteresowanie dla spraw ciała. Przypuszczam, że to skutek psychicznego wstrząsu. Od tego już nigdy nie można się całkowicie uwolnić. Skinął współczująco głową, przyjmując to wszystko za dobrą monetę.

— Tak więc jeżdżę po świecie, starając się zapomnieć. Robię to od wielu lat. Dojechaliśmy właśnie do góry Maghara i szlakiem opasującym łukiem jej podnóże zdążaliśmy w stronę zbocza niewidocznego z głównej drogi, a leżącego od północy.

— Jak tylko ruiniemy następny zakręt, zobaczy pan dom — powiedział Aziz. Minęliśmy zakręt... I rzeczywiście go zobaczyłem! Zamrugałem, wytrzeszczyłem wzrok i — słowo wam daję — przez kilka pierwszych sekund dosłownie nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Ujrzałem przed sobą biały zamek — naprawdę! — wysoki, biały zamek z wieżami i wieżyczkami o szpiczastych dachach, który stał jak baśniowy dziw pośród plamy zielonej roślinności na łagodniejszym ze stoków rozpalonej, nagiej, żółtej góry! Był fantastyczny! Jakby żywcem wyjęty z kart baśni Hansa Christiana Andersena albo Grimmów. W swoim czasie widziałem mnóstwo romantycznie wyglądających zamków nad Renem i w dolinie Loary, ale nigdy jeszcze czegoś tak wysmukłego, urzekającego i baśniowego jak ta budowla! Plama zieleni, jak się przekonałem, kiedy podjechaliśmy bliżej, była ładnym ogrodem z trawnikami i palmami daktylowymi, a pałac dzielił od pustyni otaczający go ze wszystkich stron biały, wysoki mur.

— Podoba się panu? — spytał z uśmiechem gospodarz.

— Jest bajeczny! — odparłem. — Jest jak wszystkie baśniowe zamki świata

razem wzięte.

— Bo właśnie jest taki! — wykrzyknął. — To zamek z baśni! Zbudowałem go specjalnie dla córki, mojej pięknej księżniczki!

Piękna księżniczka siedzi uwięziona w jego murach przez surowego i zazdrosnego ojca, króla Abdula Aziza, który wzbrania jej rozkoszy męskiego towarzystwa, pomyślałem. Ale strzeżcie się, bo oto zbliża się książę Oswald Cornelius. Bez wiedzy króla zamierza pojąć piękną księżniczkę i uczynić ją bardzo szczęśliwą!

— Przyzna pan, że jest wyjątkowy — rzekł Aziz.

— Naturalnie.

— A ponadto miły i ustronny. Śpię tu bardzo spokojnie. Tak samo księżniczka. Niepodobna, żeby w nocy przez te okna dostali się jacyś niesympatyczni młodzieńcy.

— Istotnie — przyznałem.

— Kiedyś była to mała oaza — ciągnął. — Kupiłem ją od rządu. Mamy tu pod dostatkiem wody dla domu, basenu i trzech akrów ogrodu.

Przejechaliśmy przez bramę wjazdową i muszę przyznać, że cudownie było znaleźć się tak nagle w miniaturowym raju zielonych trawników, kwiatnych klombów i palm. Panował tu idealny porządek, a zraszacze rozpryskiwały wodę na trawnikach. Kiedy zatrzymaliśmy się przed wejściem do pałacu, do drzwiczek po obu stronach samochodu podbiegło, śpiesząc z ich otwarciem, dwóch służących w nieskazitelnych galabijach i czerwonych fezach.

Dwóch służących?! Czy wybiegliby obaj, gdyby nie spodziewali się przyjazdu dwóch osób? Wątpiłem. Coraz więcej zaczynało przemawiać za

tym, iż moja przypadkowa teoryjka o porwaniu w charakterze kolacyjnego gościa nabiera znamion trafności. Wszystko to było ogromnie zajmujące.

Mój gospodarz wprowadził mnie przez drzwi wejściowe do środka i natychmiast poczułem ów miły dreszczyk, który przebiega skórę, kiedy człowiek wchodzi nagle z doskwierającego upału do klimatyzowanego pomieszczenia. Znalazłem się w przedsionku. Podłoga była tam z zielonego marmuru. Szeroki łuk po mojej prawej ręce prowadził do dużego salonu i przez chwilę znalazłem się pod wrażeniem chłodnych białych ścian, pięknych obrazów i niezrównanych mebli w stylu Ludwika Piętnastego. W jakież wspaniałe miejsce trafiłem tu, w środku pustyni synajskiej!

Po schodach schodziła niespiesznie w dół jakaś kobieta. Gospodarz, który odwrócił się właśnie, żeby wydać dyspozycje służącym, nie zobaczył jej od razu, ona zaś doszedłszy do pierwszego stopnia przystanęła, złożyła naga, przypominającą białą anakondę rękę na słupku podtrzymującym poręcz i wpatrzyła się we mnie tak, jakby była królową Semiramidą na stopniach Babilonu, a ja kandydatem na oblubieńca, który może lub nie przypaść jej do gustu. Włosy miała kruczoczarne, a figurę taką, że musiałem oblizać wargi.

— O, kochanie, jesteś — powiedział pan Aziz, kiedy się odwrócił i ją spostrzegł. — Przywiozłem ci gościa. Jego samochód — co za straszny pech! — zepsuł się przy stacji benzynowej. Więc poprosiłem go, żeby cofnął się z drogi i zanocewał u nas. Pan Cornelius... moja żona.

— Bardzo mi miło — powiedziała cicho, podchodząc.

Ująłem jej rękę i podniosłem do ust.

— Jestem podbity pani uprzejmością, madame

— szepnąłem.

Jej ręka pachniała jakimiś diabelskimi perfumami, niemal w całości skomponowanymi ze składników zwierzęcego pochodzenia. Wyczułem w nich delikatną, erotyczną wydzielinę kaszalota, samca piżmowca oraz bobra, pikantne i nieprzyzwoite ponad wszelki wyraz. Całkowicie zdominowały one tę mieszankę zapachową, przez którą ledwo przebijały się wątłe ślady woni czystych olejków roślinnych

— cytrynowego, kajeputu i zeroi. Były fantastyczne! W ułamku tej pierwszej chwili zauważyłem jeszcze jedno. Kiedy ująłem jej rękę, nie złożyła jej w mojej dłoni miękko niby filet surowej ryby. Zamiast tego wsunęła mi pod nią swój kciuk, „resztę palców składając na wierzchu, dzięki czemu mogła — a przysięgam, że tak właśnie zrobiła — delikatnie, lecz znacząco nacisnąć moją dłoń, kiedy składałem zwyczajowy pocałunek.

— Gdzie Diana? — spytał pan Aziz.

— Jest przy basenie — odparła kobieta i zwracając się do mnie, spytała: — Lubi pan pływać, panie Cornelius? Z pewnością spiekł się pan, tkwiąc na tej okropnej stacji benzynowej.

Miała duże iksamitne oczy, tak ciemne, że prawie czarne, a kiedy się do mnie uśmiechnęła, koniuszek jej nosa uniósł się, a dziurki rozszerzyły.

Właśnie wtedy książę Oswald Cornelius doszedł do wniosku, że o piękną księżniczkę więzioną w zamku przez zazdrosnego króla dba tyle, co o zeszłoroczny śnieg. I że zamiast niej posiadzie królową.

— Właściwie, to... — zacząłem.

— Pójdę popływać — rzekł pan Aziz.

— Popływajmy wszyscy — zaproponowała żona. — Pożyczymy panu kąpielówki.

Zapytałem, czy mógłbym wpierw pójść na górę do swojego pokoju, bo chcę wyjąć czystą koszulę i spodnie, żeby przebrać się w nie po kąpieli.

— Tak, oczywiście — odparła gospodyni i poleciała jednemu ze służących, żeby mnie zaprowadził.

Powiódł mnie dwa piętra wyżej i weszliśmy do dużej białej sypialni z wyjątkowo wielkim małżeńskim łóżem. Sąsiadowała z nią świetnie wyposażona łazienka z błękitną wanną i takimż bidetem. Wszystko lśniło tu pedantyczną czystością, co bardzo mi odpowiadało. Kiedy służący rozpakował mi walizkę, podszedłem do okna, wyjrzałem przez nie i zobaczyłem ogromną gorejącą pustynię, rozpościerającą się jak żółte morze od horyzontu aż po biały mur ogrodu tuż pode mną, wewnątrz tego muru basen, a przy nim dziewczynę, która leżała na wznak w cieniu wielkiego różowego parasola. Ubrana była w biały kostium kąpielowy i czytała książkę. Nogi miała długie i smukłe, włosy czarne. Była to księżniczka.

Co za sytuacja! Biały zamek, wygody, czystość, klimatyzacja, dwie oszałamiająco piękne kobiety, cerber-mąż i cały wieczór na flirt! Okoliczności te tak sprzyjały dobrej zabawie, że bardziej nie można. Piętrzące się przede mną trudności wielce mnie pociągały. Zwyczajne, proste uwiedzenie już mnie nie bawi. Nie ma w nim krzty arcyzmu i zapewniam was, że gdybym miał sposobność czarodziejskim zaklęciem sprawić, żeby zazdrosny cerber, pan Abdul Aziz, zniknął na tę noc, tobym z niej nie skorzystał. Pyrrusowe zwycięstwa w ogóle mnie nie interesują.

Wyszedłem z pokoju, a za mną służący. Zeszliśmy pół piętra niżej na podest, gdzie przystanąłem i spytałem go od niechcienia:

— Czy cała rodzina śpi na tym piętrze?

— O, tak — odparł. — Tam jest sypialnia pana — wskazał drzwi — a obok sypialnia pani Aziz. Panna Diana śpi naprzeciwko.

Trzy oddzielne pokoje. Wszystkie tuż obok siebie. Właściwie nie do zdobycia. Zanotowałem to sobie w pamięci i zszedłem na dół do basenu. Gospodarz i gospodyni zjawili się tam przede mną.

— To moja córka Diana — rzekł pan Aziz. Dziewczyna w białym kostiumie kąpielowym

wstała, a ja pocałowałem ją w rękę.

— Witam, panie Cornelius — powiedziała.

Używała tych samych co matka perfum o zwierzęcej woni — z szarej ambry, piżma i stroju bobrowego! Cóż to był za zapach — wszeteczny, bezwstydnny, cudowny! Wciągnąłem go w nozdrza jak pies. Pomyślałem, że dziewczyna jest, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze piękniejsza od swojej rodzicielki. Miała takie same duże aksamitne oczy, te same czarne włosy i taki sam kształt i rysy twarzy. Jednakże nogi bez wątpienia dłuższe, a w ciele coś takiego, co dawało jej małą przewagę nad starszą kobietą — wydawało się ono grzeszniejsze, ruchy miało bardziej wężowe i prawie na pewno było bardziej giętkie. Ale w oczach starszej, która prawdopodobnie miała trzydzieści siedem lat, a wyglądała najwyżej na dwadzieścia pięć, błyszczała taka zalotność, że pod tym względem córka nie mogła jej chyba dorównać.

Ekiete, pekiete, cukiete, me — przed chwilą Oswald zarzekł się, że tylko

królową posiąść chce, księżniczkę zaś pal sześć. Lecz teraz, kiedy ujrzał ją w pełnej krasie, nie bardzo wiedział, którą woli. Obie — każda na swój sposób — obiecywały niezliczone rozkosze — jedna była niewinna i spragniona, za to druga doświadczona i nienasycona. Prawda zaś wyglądała tak, że chciałby mieć je obie — księżniczkę jako *hors d'oeuvre*, a królową jako główne danie. — Proszę wziąć kąpielówki w przebieralni, panie Cornelius — powiedziała pani Aziz, więc wszedłem do kabiny, przebrałem się, a kiedy z niej wyszedłem, cała trójka taplała się już w wodzie. Dałem nurka i dołączyłem do nich. Woda była tak zimna, że mnie zatkało.

— Przypuszczałem, że to pana zaskoczy — rzekł ze śmiechem pan Aziz. — Jest chłodzona. Utrzymuję ją w temperaturze osiemnaście i pół stopnia. W tym klimacie bardziej człowieka odświeża.

Później, kiedy słońce na niebie obniżyło się, rozsiedliśmy się kręgiem w mokrych kostiumach kąpielowych, a służący przyniósł nam jasne, lodowato zimne martini i właśnie wtedy bardzo powoli i ostrożnie przystąpiłem do uwodzenia swoją metodą obu pań. Zwykle, kiedy mi dają wolną rękę, nie mam z tym większych trudności. Osobliwy talencik, jaki przypadkiem posiadam — zdolność do zauraczania kobiet słowami — bardzo rzadko mnie zawodzi. Oczywiście używam do tego nie tylko słów. Słowa, same w sobie nieszkodliwe i niewinne, są wypowiedane ustami, podczas gdy prawdziwe przesłanie, zdrożna i podniecająca obietnica, jest składana przez wszystkie członki i organy ciała a przekazywana spojrzeniami. Przysięgam, że nic więcej na temat tego, jak się to robi, nie mam do powiedzenia. Rzecz w tym, że to skutkuje. Skutkuje jak proszek kantarydowy. Jestem pewien, że

jeślibym usiadł naprzeciw żony papieża, gdyby tea ją miał, to po upływie najwyżej kwadransa, gdybym się postarał, skłoniłaby się w moją stronę, z otwartymi ustami i oczami błyszczącymi pożądaniem. Nie jest to wielki talent, ot, taki sobie, niemniej jestem wdzięczny losowi za to, że mnie nim obdarzył, i nieustannie staram się jak mogę, żeby się nie marnował.

Tak więc nasza czwórka — dwie cudowne kobiety, drobny mężczyzna i ja — siedziała blisko siebie półkolem nad basenem, spoczywając na leżakach, popijając z kieliszków martini i grzejąc się w ciepłe późnopołudniowe słońca. Byłem w dobrej formie. Raz po raz zmuszałem ich do śmiechu. Historia o łakomej starej księżnej Glasgow wkładającej rękę do pudełka po czekoladkach i ukąszonej przez mojego skorpiona sprawiła, że córka aż spadła z uciechy z leżaka. A kiedy szczegółowo opisałem wnętrze mojego pajęczego matecznika w ogrodzie pod Paryżem, obie panie zaczęły zwijać się z odrazy i rozkoszy.

Właśnie wtedy zauważyłem, że spoczywają na mnie, patrzące dobrodusznie i jakoś figlarnie, oczy pana Aziza.

No, no, zdawały się mówić, rade jesteśmy widząc, że nie całkiem utracił pan zainteresowanie kobietami, jak chciał pan nam to wmówić w samochodzie... A może to miłe otoczenie pomaga wreszcie zapomnieć panu o jego nieutulonym żalu...

Pan Aziz uśmiechnął się do mnie, odsłaniając śnieżnobiałe zęby. Był to przyjazny uśmiech. Odplaciłem mu takim samym. Cóż to był za przyjacielski jegomość. Naprawdę zachwycało go, że poświęcam tyle uwagi jego paniom. Na razie więc wszystko układało się pomyślnie.

Muszę przeskoczyć bardzo prędko kilka następnych godzin, bo dopiero po północy przydarzyło mi się coś naprawdę wyjątkowego. Żeby zrelacjonować, co działo się do tej chwili, wystarczy kilka krótkich zdań.

O siódmej wszyscy opuściliśmy basen i wróciliśmy do pałacu, żeby się przebrać do kolacji.

O ósmej zebraliśmy się w dużym pałacowym salonie na następny koktajl. Obie panie były wspaniale wystrojone i błyszczały klejnotami. Obie miały na sobie długie, wieczorowe suknie bez rękawów, pochodzące niewątpliwie z jakiegoś wielkiego paryskiego domu mody. Gospodyni włożyła czarną, jej córka błękitną, obie zaś rozsiewały dookoła zapach swych odurzających perfum. Cóż za para! Starsza leciutko garbiła się w ramionach, co spotyka się tylko u najbardziej namiętnych i biegłych miłośniczek. W taki sam bowiem sposób, w jaki amazonkom od ciągłego siedzenia w siodle wykrzywają się nogi, tak u bardzo namiętnej kobiety wskutek ciągłego obejmowania kochanków rozwija się charakterystyczna krągłość ramion. Jest to deformacja zawodowa, najszlachetniejsza ze wszystkich.

Córka była jeszcze za młoda na to szczególne odznaczenie honorowe, ale w jej przypadku zadowolilem się trzymaniem się z boku, obserwowaniem jej figury i cudownie posuwistych ruchów ud pod obcisłą jedwabną suknią, kiedy chodziła po salonie. Przez całą długość kręgosłupa biegła jej kreska z miękkich złotych włosków, tak że kiedy przystanałem za nią, z trudem powstrzymałem się od przeciągnięcia kostkami dłoni tam i z powrotem po ślicznym stosie pacierzowym dziewczęcia.

O wpół do dziewiątej przenieśliśmy się do jadalni. Kolacja, którą wtedy

podano, była doprawdy wspaniała, ale nie będę tracił czasu na opis potraw i win. W trakcie całego posiłku bez przerwy w najsubtelniejszy i najbardziej podstępny sposób grałem na uczuciach obu kobiet, dobywając wszystkich swych umiejętności. Tak więc nim podano nam deser, zmiękły na moich oczach niczym masło w słońcu.

Po kolacji wróciliśmy do salonu na kawę i koniak, a potem na propozycję gospodarza rozegraliśmy dwa robry brydża.

Pod koniec wieczoru nabrałem pewności, że spisałem się bez zarzutu. Moje stare sztuczki nie zawiodły. Obie panie — w przypadku sprzyjających okoliczności — były moje na skinienie ręki. Wcale się nie oszukiwałem. Była to szczerą, oczywistą prawdą. Rzucała się w oczy na miłą. Twarz mojej gospodyni pałała podnieceniem, a ilekroć pani domu rzucała mi spojrzenie ponad stolikiem do kart, jej wielkie ciemne aksamitne oczy powiększały się jeszcze bardziej, nozdrza rozszerzały, a usta rozchylały, odsłaniając wilgotny koniuszek różowego języka przeciskającego się przez zęby. Było to cudownie lubieżne i nie jeden raz zdarzyło mi się z tego powodu przebić własną lewą. Córka była mniej śmiała, ale równie bezpośrednia. Kiedy tylko jej oczy napotykały moje, a zdarzało się to wcale często, unosiła brwi o najmniejszy ułamek centymetra, jak gdyby zadawała pytanie, a potem na jej twarzy pojawiał się krótki figlarny uśmiezek, będący odpowiedzią.

— Myślę, że już pora, abyśmy wszyscy poszli spać — rzekł pan Aziz, patrząc na zegarek. — już po jedenastej. Chodźcie, gołąbeczki.

I wówczas zdarzyło się coś niezwykłego. Natychmiast, bez najmniejszego ociągania i choćby jednego spojrzenia w moją stronę, obie panie wstały i ru-

szyły do drzwi. Było to zdumiewające. Zbaraniałem. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. W życiu nie spotkałem tak szybkiej reakcji. A jednak w głosie pana Aziza nie było gniewu. Brzmiał on, przynajmniej dla mojego ucha, tak miło, jak zwykle. Lecz w tej chwili gospodarz już gasił światła, niedwuznacznie dając mi do zrozumienia, iż życzy sobie, abym także udał się na spoczynek. Co za cios! Spodziewałem się, że zanim rozstaniemy się na noc, żona albo córka przynajmniej szepną coś do mnie — te jedyne trzy, cztery słowa o tym, gdzie i kiedy mam przyjść. Zamiast tego zostawiły mnie stojącego jak głupiec przy stoliku do kart, a same wymknęły się z salonu.

Gospodarz i ja podążaliśmy za nimi po schodach. Na podeście pierwszego piętra matka i córka przystanęły bok przy boku, czekając na mnie.

— Dobranoc, panie Cornelius — powiedziała gospodyni

— Dobranoc, panie Cornelius — zawtórowała jej córka.

— Dobranoc, drogi panie — rzekł pan Aziz. — Mam niepłonną nadzieję, że niczego panu nie brak.

Odwrócili się i nie pozostało mi nic innego, jak z bólem serca powlec się na drugie piętro do mojej sypialni. Wszedłem tam i zamknąłem drzwi. Służący już zaciągnął ciężkie brokatowe zasłony, ale rozsunałem je i wychyliłem się przez okno, żeby przyjrzeć się nocy. Powietrze stało, nieruchome i gorące, a nad pustynią świecił jasny księżyc. W dole pode mną basen w jego blasku wyglądał jak ogromna tafla lustra położona płasko na trawniku. Obok zobaczyłem cztery leżaki, na których siedzieliśmy wcześniej.

No, no, pomyślałem. I co dalej?

Wiedziałem, że w tym domu jednego nie wolno mi zrobić, a mianowicie, nie

wolno mi wymknąć się z pokoju i grasować po korytarzach. Wiele lat temu nauczyłem się, że istnieją trzy nacje mężów, przy których nigdy nie popłaca zbędna brawura — są to Bułgarzy, Grecy i Syryjczycy. Z jakiegoś powodu żadna z nich nie ma człowiekowi za złe otwartego flirtowania z ich żonami, ale jeżeli przyłapią go na wchodzeniu im do łóżka, z miejsca zabijają! Pan Aziz był Syryjczykiem. Ostrożność była więc tu sprawą zasadniczą i jeśli ktoś miał wykonać następny ruch, to nie mogłem to być ja, a jedna z kobiet, bo tylko ona (albo one) wiedziałyby dokładnie, co jest bezpieczne, a co ryzykowne. Niemniej będąc świadkiem tego, w jaki sposób cztery minuty temu gospodarz przywołał je do nogi, musiałem przyznać, że jest mała nadzieja na dalszy rozwój wypadków w najbliższym czasie. Sęk jednak w tym, że ja sam piekielnie się napaliłem.

Rozebrałem się i wziąłem długi zimny prysznic. To pomogło. Potem, jako że nie jestem w stanie spać przy księżycu, upewniłem się, czy zasłony są szczelnie zaciągnięte. Położyłem się do łóżka i przez następną godzinę leżałem czytając dalszy ciąg *Przyrody Selborne* Gabriela White'a. To mi również pomogło i wreszcie między dwunastą a pierwszą po północy nadszedł czas, kiedy mogłem zgasić światło i ułożyć się do snu bez przykrości.

Właśnie zaczynałem przysypiać, kiedy usłyszałem leciutkie odgłosy. Rozpoznałem je natychmiast. Słyszałem je już wiele razy, a jednak dla mnie stanowiły wciąż najbardziej ekscytujące i pobudzające dźwięki na świecie. Była to seria cichutkich metalicznych skrzypnięć, delikatnych zgrzytnięć metalu o metal, których źródłem jest zawsze ktoś, kto nadzwyczaj powoli i

ostrożnie przekręca na zewnątrz gałkę przy drzwiach. Natychmiast całkowicie się rozbudziłem. Ale nie poruszyłem się. Otworzyłem jedynie oczy i wpatrzyłem się tam, gdzie były drzwi. Pamiętam, jak pragnąłem w tamtej chwili, aby w zasłonie znalazła się szpara przepuszczająca z zewnątrz choćby promyczek księżycowego światła, tak żeby mignął mi chociaż cień postaci, która miała właśnie wejść do środka. Ale w pokoju było ciemno jak w lochu. Nie usłyszałem dźwięku otwieranych drzwi. Nie pisnął żaden zawias. Jednakże przez pokój przemknął raptem leciutki powiew i zaszeleścił zasłonami, a w chwilę potem dobiegł mnie głuchy stuk drewna o drewno, kiedy znów starannie zamknięto drzwi. Wtedy zaś rozległ się trzask zamka, bo ktoś puścił gałkę.

Doszedł mnie odgłos czyichś stóp na dywanie, podążających w moją stronę. Na jedną straszliwą sekundę rozbłysła mi w głowie myśl, że przecież równie dobrze może to być pan Abdul Aziz skradający się do mnie z nożem w ręce, ale potem znenacka pochyliło się nade mną ciepłe, giętkie ciało, a kobiecy głos szepnął mi do ucha:

— Bądź cicho!!!

— Moja najdroższa, jedyna... — powiedziałem, zastanawiając się, która to z nich dwu — wiedziałem, że ty...

Natychmiast jej ręka zakryła mi usta.

— Proszę! — szepnęła. — Ani słowa więcej!!! Nie spierałem się. Moje usta miały wiele znacznie

przyjemniejszych zajęć niż gadanie. Podobnie jak jej usta.

W tym miejscu muszę przerwać opowieść. Wiem, że to zupełnie do mnie

niepodobne. Ale przynajmniej raz pragnę darować sobie szczegółowy opis niezwykłej sceny, która nastąpiła. Mam po temu swoje osobiste powody i zechciejcie, bardzo proszę, je uszanować. W każdym razie nie zaszkodzi, jeśli dla odmiany skorzystacie z własnej wyobraźni, a jeżeli chcecie, to trochę rozruszam ją prostym i szczerym stwierdzeniem, że spośród wielu tysięcy kobiet, które znałem w swoim czasie, żadna nie doprowadziła mnie do tak szczytowej ekstazy, jak ta dama z pustyni synajskiej. Była zdumiewająco zręczna. Ogromnie namiętna. Skala jej pieścizot wprost niewiarygodna. A po każdej zmianie pozycji wyskakiwała z jakąś nową i skomplikowaną sztuczką. Na domiar wszystkiego opanowała najbardziej wyrafinowany i niepojęty styl erotyczny, z jakim się spotkałem. Była wielką artystką. Była genialna.

Powiecie zapewne, iż jest to oczywisty dowód, że moim gościem była starsza z kobiet. Jesteście w błędzie. To nie świadczy o niczym. Prawdziwy geniusz jest darem natury. Ma bardzo niewiele wspólnego z wiekiem. A nie miałem jak, wierzcie mi, rozstrzygnąć, którą z nich gościłem w ciemnościach sypialni. Nie postawiłbym ani grosza na żadną z nich. W jednej chwili, po jakiejś szczególnie gwałtownej miłosnej kadencji, byłem przekonany, że to żona. Na pewno ona!!! A potem nagle całe tempo zmieniało się, a melodia stawała tak dziecinna i niewinna, iż przysięgałem sobie, że to córka. Na pewno córka!!!

Doprowadzała mnie do szału myśl, że nie znam odpowiedzi. Strasznie mnie męczyła. A w dodatku upokarzała, bo w końcu znawca, wybitny znawca powinien być zawsze w stanie rozpoznać rocznik bez oglądania się na piękną

pleć. Tym razem przegrałem z kretesem. W pewnej chwili sięgnąłem po papierosa, chcąc rozwiązać zagadkę w świetle zapalki, ale jej ręka spadła na mnie jak grom, a wyrwane zapalki i papierosy pofrunęły przez pokój. Ilekroć zaczynałem szeptać jej to pytanie do ucha, za każdym razem, nim zdołałem wypowiedzieć choć trzy słowa, jej ręka znowu wysuwała się jak błyskawica i spadała mi na usta. W dodatku bardzo gwałtownie.

A więc dobrze, pomyślałem. Tymczasem niech tak będzie. Jutro rano na dole w świetle przekonam się, która to z was była. Poznam to po rumieńcu na twarzy, po spojrzeniu waszych oczu w moje, po stu innych małych zdradliwych oznakach. Poznam też po śladach moich zębów na lewej stronie szyi, ponad karczkiem sukienki. Byłem zdania, że to chytry fortel i doskonale zaplanowany w czasie — moje złośliwe ugryzienie zadałem jej w chwili wlotu namiętności — tak że nawet przez chwilę nie podejrzewała jego znaczenia.

W sumie była to niezapomniana noc i upłynęły cztery godziny, zanim moja kochanka objęła mnie mocno po raz ostatni i wymknęła się z pokoju tak szybko, jak weszła.

Nazajutrz obudziłem się dopiero o dziesiątej. Wstałem z łóżka i odsunąłem zasłony. Za oknem był kolejny jasny, upalny, pustynny dzień. Wykąpałem się bez pośpiechu, a potem ubrałem się ze zwykłą starannością. Czułem się wypoczęty i od-młodniały. Bardzo radowała mnie myśl, że mimo mojego średniego wieku, nadal potrafię samymi tylko spojrzeniami zwabić do siebie kobietę. I to jaką kobietę! Podniecony, z niecierpliwością oczekiwałem chwili, kiedy się przekonam, która to z nich była. Wkrótce miałem się

dowiedzieć.

Powoli zszedłem z drugiego piętra na dół.

— Dzień dobry, drogi panie, dzień dobry! — powitał mnie w salonie pan Aziz, wstając od małego biurka, przy którym pisał. — Dobrze się panu spało?

— Wspaniale, dziękuję — odparłem, kryjąc zadowolenie.

Podszedł i stanął przy mnie, szczerząc w uśmiechu swoje bardzo białe zęby. Jego bystre małe oczy spoczęły na mojej twarzy i wolno przesunęły się po niej, jakby czegoś szukały.

— Mam dla pana dobre wieści — powiedział. — Pięć minut temu zadzwoniono do mnie z B'ir Rawd Salim z wiadomością, że pański pasek do wentylatora przyjechał wozem pocztowym. Saleh go w tej chwili zakłada. Będzie gotów za godzinę. Tak więc po śniadaniu odwiozę tam pana i będzie pan mógł ruszyć w drogę.

Wyraziłem mu swoją wdzięczność.

— Z przykrością się z panem rozstaniemy — rzekł. — Swoją nieoczekiwaną wizytą sprawił nam pan niezmierną przyjemność, niezmierną przyjemność.

Zjadłem śniadanie samotnie w jadalni. Kiedy się posiliłem, wróciłem na papierosa do salonu, gdzie gospodarz nadal pisał przy biurku.

— Zechce mi pan wybaczyć — odezwał się. — Ale mam parę spraw do załatwienia. To nie potrwa długo. Poleciałem spakować i włożyć do samochodu pańską walizkę, więc nie musi się pan o nic troszczyć. Proszę usiąść i wypalić papierosa. Panie powinny zejść lada chwila.

Jako pierwsza zjawiała się żona. Wpłynęła do pokoju, jeszcze bardziej niż

przedtem przypominając królową Semiramidę na Nilu. Od razu zauważyłem jasnozielony szyfonowy szal, który niedbale zawiązała na szyi! Niedbale i zarazem starannie! Tak starannie, że nie było widać nawet skrawka skóry. Pani Aziz podeszła prosto do męża i pocałowała go w policzek.

— Dzień dobry, kochanie — powiedziała.

Ty szczywana piękna rozpustnico! — pomyślałem.

— Dzień dobry, panie Cornelius — powitała mnie wesoło, podchodząc, żeby zająć fotel naprzeciwko. — Dobrze się panu spało?! Mam nadzieję, że niczego panu nie brakowało.

Nigdy jeszcze nie widziałem takiej zalotności w oczach kobiety, jak w jej oczach tego ranka, ani takiego rumieńca zadowolenia na kobiecej twarzy.

— Dziękuję pani, spałem doprawdy wybornie — odparłem, dając jej do zrozumienia, że wiem o wszystkim.

Uśmiechnęła się i zapaliła papierosa. Spojrzałem aa pana Aziza, który wciąż pisał pracowicie przy biurku, odwrócony do nas plecami. Nie zwracał najmniejszej uwagi na żonę i na mnie. Pomyślałem, że zachowuje się jota w jotę tak, jak wszyscy zdradzeni małżonkowie, którym przyprawiłem rogi. Żaden z nich nie uwierzyłby, że go to spotkało, a już w żadnym razie, że tuż pod jego nosem.

— Dzień dobry wszystkim! — zawołała córka, wchodząc do salonu. — Dzień dobry, tato! Dzień dobry, mamó! — Ucałowała oboje. — Dzień dobry, panie Cornelius!

Ubrana była w różowe spodnie, rdzawą bluzkę, a jej szyję zakrywał — niech mnie diabli! — zawiązany niedbale, acz starannie szalik! Szyfonowy szalik!

— Wyspał się pan jak należy? — spytała, przysiadając niczym młoda narzeczona na poręczu mojego fotela i moszcząc się na niej w taki sposób, że jedno z jej ud przygniotło mi rękę. Zagłębiłem się w siedzeniu i przyjrzałem się jej uważniej. Zerknęła na mnie i mrugnęła. Naprawdę mrugnęła! Jej twarz pałała i jaśniała dokładnie tak, jak twarz matki, a właściwie, to dziewczyna wyglądała nawet na bardziej zadowoloną z siebie niż starsza kobieta. W głowie miałem zamęt. Tylko jedna z nich ukrywała znak po ugryzieniu, a jednak obie zasłoniły szyje szalikami. Uznałem, że być może jest to przypadek, ale na pierwszy rzut oka znacznie bardziej pachniało mi to spiskiem. Wyglądało na to, że są w ścisłej zmowie, chcąc zapobiec odkryciu przeze mnie prawdy. Co za paskudna sprawa! I czemu to właściwie miało służyć? Jakie jeszcze osobliwe intrygi, jeśli wolno spytać, knuły i planowały do spółki? Czyżby tej nocy ciągnęły między sobą losy? A może po prostu zabawiały się z gościem na przemian? Przyrzekłem sobie, że jak najszybciej muszę tu powrócić i złożyć następną wizytę po to tylko, żeby się przekonać, co zdarzy się tym razem. Właściwie mogłem tu przyjechać specjalnie z Jerozolimy za dzień, dwa. Liczyłem, że nie będę miał kłopotów z powtórным zaproszeniem.

— Gotów pan, panie Cornelius? — spytał pan Aziz, wstając od biurka.

— Całkowicie — odparłem.

Panie, promienne i uśmiechnięte, odprowadziły mnie przed pałac, gdzie czekał wielki zielony rolls-royce. Ucałowałem im dłoń i obu podziękowałem stokrotnie. A potem usiadłem na przednim fotelu obok gospodarza i odjechaliśmy. Matka i córka pomachały nam rękami. Opuściłem szybę i też

im pomachałem na pożegnanie. Wyjechaliśmy z ogrodu na pustynię, podążając kamiennym żółtym szlakiem opasującym górę Maghara, a masywne słupy telefoniczne dotrzymywały nam kroku.

Podczas jazdy gawędziliśmy sobie miło z gospodarzem o tym i owym. Staralem się jak mogłem przypodobać mu, ponieważ zależało mi w tej chwili na zapewnieniu sobie ponownego zaproszenia do pałacu. Gdyby nie udało mi się skłonić go do tego, musiałbym sam go o to poprosić. Zrobiłbym to w ostatniej chwili.

— Do widzenia, drogi przyjacielu — powiedziałbym mu, obejmując go serdecznie za szyję. — Czy wolno mi będzie wpaść i odwiedzić pana, gdybym przypadkiem tędy przejeżdżał?

Naturalnie zgodziłby się na to.

— Czy według pana przesadziłem mówiąc, że mam piękną córkę? — spytał mnie.

— Pan pomniejszył jej urodę — odparłem. — Jest zachwycająco piękna. Naprawdę gratuluję panu. Ale ma pan również piękną żonę. Prawdę mówiąc, widok tej pary niemal ściął mnie z nóg — dodałem ze śmiechem.

— Zauważyłem — odrzekł, wtórując mi w śmiechu. — To wielkie trzpiotki. Doprawdy uwielbiają flirtować z mężczyznami. Ale co tam. Flirt przecież nie szkodzi.

— Ani trochę — przyznałem.

— Sam uważam, że to bardzo wesoła zabawa.

— Czarująca.

W niecałe pół godziny dotarliśmy do głównej drogi z Ismailii do Jerozolimy.

Pan Aziz wjechał rollsem na czarny pas smołowanego tłucznia i z szybkością siedemdziesięciu mil na godzinę pomknął w stronę stacji benzynowej. Mieliśmy tam się znaleźć za kilka minut. Dlatego spróbowałem przybliżyć nieco temat moich ponownych odwiedzin, dyskretnie szukając okazji do zaprosin.

— Nie mogę wyjść z podziwu nad pańskim pałacem — powiedziałem. — Jest po prostu cudowny.

— Przyjemny, prawda?

— Państwu, którzy mieszkacie tam tylko we trójkę, musi chyba niekiedy dokuczać samotność?

— Wcale nie jest gorzej, niż gdzie indziej — odparł. — Ludziom wszędzie dokucza samotność. Na pustyni czy w mieście — to doprawdy niewielka różnica. Ale, wie pan, często mamy gości. Zdumiałby się pan liczbą ludzi, którzy nas odwiedzają. Tak jak, na przykład, pan. Było nam ogromnie miło pana gościć, mój drogi.

— Nigdy tego nie zapomnę — zapewniłem. — W dzisiejszych czasach człowiek rzadko kiedy spotyka się z taką uprzejmością i gościnnością.

Czekałem, aż powie, że koniecznie muszę przyjechać tu znowu, ale nie zrobił tego. Zapadło krótkie milczenie, odrobinę męczące.

— Nie spotkałem się jeszcze z tak niezwykłą ojcowską troskliwością jak pańska — odezwałem się, żeby je przerwać.

— Moja?

— A tak. Żeby wybudować siedzibę w takim miejscu, na końcu świata, i mieszkać tam wyłącznie dla dobra córki, żeby ją ochronić? To niespotykane.

Spostrzegłem, że się uśmiechnął, ale nie oderwał oczu od drogi i nic nie powiedział. O jakąś milę przed nami wyłoniła się gromadka bud i stacja benzynowa. Słońce stało wysoko, a w samochodzie robiło się gorąco.

— Niewielu ojców by się na to zdobyło — ciągnąłem.

Znów się uśmiechnął, ale przyszło mi na myśl, że tym razem jakoś wstydliwie.

— Wcale nie zasługuję na tyle pochwał, którymi raczył mnie pan obsypać, naprawdę — odparł. — Żeby być całkiem szczerzy wobec pana, muszę zdradzić, że moja piękna córka to nie jedyny powód, że mieszkam na takim ustroniu.

— Wiem o tym.

— Wie pan?

— Od pana. Powiedział pan, że drugi powód to pustynia. Że kocha ją pan tak, jak marynarz kocha morze.

— Rzeczywiście. To całkowita prawda. Ale jest jeszcze trzeci powód.

— Tak, a jaki?

Nie odpowiedział mi. Siedział nieruchomo, z rękami na kierownicy i oczami utkwionymi w szosie przed samochodem.

— Przepraszam — powiedziałem. — Nie powinienem o to pytać. To nie moja sprawa.

— Nie, nie, nic nie szkodzi — odparł. — Niech pan nie przeprasza.

Wyrząłem przez okno na pustynię.

— Dziś jest chyba goręcej niż wczoraj — rzekłem. — Już teraz na pewno jest ponad czterdzieści stopni.

— Tak.

Zobaczyłem, że poprawia się nieznacznie na siedzeniu, jakby chciał usiąść wygodniej, a potem odezwał się.

— Nie widzę żadnego powodu, żeby zatajać przed panem prawdę o tym domu. Nie wygląda mi pan na plotkarza.

— W żadnym razie — przyświadczyłem. Zbliżyliśmy się już do stacji benzynowej i zwolnił

jazdę do tempa piechura, żeby mieć czas na powiedzenie mi tego, co miał do powiedzenia. Zobaczyłem dwóch Arabów stojących przy mojej lagondzie, którzy nam się przyglądali.

— Moja córka — rzekł po dłuższej chwili — ta, którą pan poznał... to nie jedyna, jaką mam.

— O, naprawdę?

— Mam jeszcze jedną, starszą od niej o pięć lat.

— I z pewnością równie urodziwą — powiedziałem. — Gdzie mieszka? W Bejrucie?

— Nie, w tym domu.

— W jakim domu? Chyba nie w tym, który właśnie opuściliśmy?

— W tym.

— Ależ ja jej tam w ogóle nie widziałem!

— No cóż — rzekł, obracając się nagle, żeby spojrzeć mi w twarz — to możliwe.

— Ale dlaczego?

— Bo jest trędowata. Podskoczyłem.

— Tak, wiem, że to straszne — rzekł. — W dodatku choruje biedaczka na najgorszą odmianę trądu. Zwie się ona trądem znieczuleniowym. Jest on bardzo odporny i prawie niemożliwy do wyleczenia. Gdyby to była odmiana guzkowa, sprawa wyglądałaby znacznie lepiej. Sęk jednak w tym, że nie jest. Dlatego kiedy do naszego domu przyjeżdża gość, ona zamyka się w swoim apartamencie na trzecim piętrze.

Samochód widocznie zdążył już podjechać pod stację benzynową, bo w pamięci pozostał mi obraz siedzącego w nim pana Abdula Aziza, wpatrującego się we mnie małymi bystrymi oczkami i jego słowa:

— Ależ drogi panie, niepotrzebnie wpada pan w taką panikę. Proszę się uspokoić, panie Cornelius, proszę się uspokoić! Nie ma pan najmniejszego powodu do obaw. Ta choroba nie jest bardzo zaraźliwa. Żeby się jej nabawić, musiałby pan wejść w najbardziej intymny kontakt z chorą osobą...

Wysiadłem bardzo wolno z samochodu i stanąłem w słońcu.

— Pasek do wentylatora założony. Wszystko działa — powiedział Arab ze zniszczoną przez chorobę twarzą, szczerząc do mnie zęby.

Sięgnąłem do kieszeni po papierosy, ale ręka dygotała mi tak mocno, że upuściłem paczkę na ziemię. Schyliłem się i podniosłem ją. Wydobyłem papierosa i udało mi się go przypalić. Kiedy ponownie uniosłem głowę, zobaczyłem zielonego rolls-royce'a, który był już pół mili ode mnie i szybko się oddalał.

SKÓRKA ZA WYPRAWKĘ

Tego wieczoru na koktajlu u Jerry'ego i Samantha zebrało się ze czterdzieści osób. Towarzystwo to samo co zwykle, tak samo niewygodnie i tak samo potwornie głośno. Goście, choć stali bardzo blisko siebie, musieli krzyżeć, żeby ich usłyszano. Wielu uśmiechało się szeroko, odsłaniając białe zęby w koronkach. W lewych rękach trzymali przeważnie papierosy, w prawych trunki.

Odszedłem od mojej żony Mary i jej towarzystwa, skierowałem kroki do małego barku w kącie pokoju i dotarwszy tam, usiadłem na barowym stołku twarzą do salonu. Zrobiłem to, żeby móc obserwować kobiety. Oparłem się plecami o kant barku i popijając szkocką, sponad szklaneczki taksowałem panie wzrokiem.

Przyglądałem się nie figurom, ale twarzom, w których interesowały mnie głównie czerwone usta. A ściślej — nie całe usta, lecz jedynie dolna warga. Niedawno doszedłem do wniosku, że nic nie ujawnia tak wiele jak ona. Zdradza więcej niż oczy. Oczy ukrywają tajemnice, dolna warga zaś ukrywa bardzo mało. Weźmy, na przykład, dolną wargę Jacinthy Winkleman, która stała najbliżej mnie. Odnotujmy zmarszczki na niej, to, że jedne biegną poziomo, inne zaś rozchodzą się promieniście na zewnątrz. Układ zmarszczek wargowych jest u każdego człowieka odmienny i na dobrą sprawę, gdybyśmy mieli skatalogowane odciski warg przestępców, a ci pili

coś na miejscu przestępstwa, to można by ich na tej podstawie aresztować. Gdy jesteśmy wzburzeni, ssiemy i przygryzamy dolną wargę, co akurat w tej chwili robiła Martha Sullivan, obserwując z pewnej odległości swojego głupkowatego małżonka, który ślinił się na widok Judy Martinson. Wargę ssiemy także z lubieżności. Dostrzegłem, że stojąca przy Tedzie Dorlingu i wpatrująca się w niego Ginny Lomax oblizuje swoją koniuszką języka. Oblizywała ją umyślnie, wolno wysuwając język i leniwie przeciągając nim wzdłuż całej dolnej wargi, na której zostawiał mokry ślad. Zobaczyłem, że Ted Dorling patrzy na język Ginny, o co jej właśnie chodziło.

Błądząc oczami po salonie od jednej wargi do drugiej, utwierdziłem się niezbitnie w przekonaniu, że wszystkie mniej przyjemne cechy ludzkiego zwierzęcia — zarozumiałość, zachłanność, żarłoczność, lubieżność i im podobne — manifestują się wyraźnie na tej cienkiej powłoczce karminowej skóry. Trzeba jednak znać właściwy szyfr. Wydatna albo wybrzuszona warga ma ponoć świadczyć o zmysłowości. Ale jest to za ledwie półprawda w przypadku mężczyzn, a całkowita nieprawda w przypadku kobiet. U kobiet należy szukać wargi cienkiej, wąskiej, z ostro zarysowanym dolnym brzegiem. A u nimfomanek na dolnej wardze, u góry, dokładnie pośrodku znajduje się malutka, ledwo widoczna wypukłość.

Taka, jaką miała gospodyni przyjęcia, Samantha.

A gdzie podziewała się Samantha w tej chwili?

Aha, tam, właśnie wyjęła pustą szklaneczkę z ręki jakiegoś gościa. I ruszyła w moją stronę, żeby ją ponownie napełnić.

— Cześć, Vic — powiedziała. — Siedzisz tak sam jak palec?

To na pewno nimfomanka, utwierdziłem się w duchu. Ale bardzo rzadki okaz, bo całkowicie monogamiczna. Jest zamężną monogamiczną nimfomanką, która nigdy nie opuszcza swojego gniazdka.

A ponadto jest najapetyczniejszą kobietką, jaką widziałem w życiu.

— Pozwól, że ci pomogę — zaofiarowałem się, wstając i biorąc od niej szklaneczkę. — Co nalać?

— Wódkę z lodem — odparła. — Dziękuję, Vic. Położyła śliczną długą białą rękę na barku i pochyliła się tak, że jej piersi oparły się na jego krawędzi i wypchnęło je w górę.

— Och, przepraszam — powiedziałem, lejąc wódkę obok szklanki.

Samantha popatrzyła na mnie dużymi, piwnymi oczami, ale nic nie powiedziała.

— Zetrę to — dodałem.

Wzięła ode mnie napełnioną szklankę i odeszła. Przyglądałem się jej. Miała na sobie *czarne* spodnie, które tak opinały jej pośladki, że na materiale odcisnęłyby się najmniejszy pieprzyk i pryszcz. Ale” tyłeczek Samantha Rainbow był nieskazitelny. Złapałem się na tym, że i ja oblizuję dolną wargę. Tak jest, pomyślałem. Pragnę jej. Pożądam tej kobiety. Ale próbować ją zdobyć to zbyt niebezpieczne. Przystawianie się do takiej dziewczyny byłoby samobójstwem. Przede wszystkim, mieszka obok, a więc za blisko. Po drugie, o czym już wspomniałem, jest monogamiczna. A po trzecie, świetnie rozumie się z Mary, moją żoną. Powierzają sobie nawzajem poufne damskie tajemnice. Po czwarte zaś, jej mąż Jerry to mój bardzo stary, dobry znajomy i nawet ja, Victor Hammond, choć aż się skręcam z żądz, nie śmiałybym

uwodzić żony kogoś, kto jest moim bardzo starym, wypróbowanym przyjacielem.

Chyba że...

I w tym właśnie momencie, kiedy siedząc na barowym stołku pożałem Samantha Rainbow, w samym rdzeniu mojego mózgu zaczęła cicho kielkować pewna interesująca myśl. Zachowałem spokój, pozwalając jej dojrzeć. Przyglądając się z drugiego końca salonu Samancie, zacząłem ją dopasowywać do swojego pomysłu.

Och, Samantho, pomyślałem, ty rozkoszny, apetyczny kąsku, jeszcze cię kiedyś zjem.

Ale czy ktokolwiek mógł poważnie marzyć o tym, że uda mu się tak szalony numer? Nie, nie w tysiącu i jednej nocy!

Nie było mowy, żeby się do niego przymierzyć, chyba że za zgodą Jerry'ego. Czy więc warto w ogóle zawracać nim sobie głowę?

Samantha stała w tej chwili ze sześć kroków ode mnie i rozmawiała z Gilbertem Mackesy. Palcami prawej dłoni oplatała wysoką szklankę. Były długie i na pewno zręczne.

Zakładając — dla zwykłej przyjemności — że Jerry się zgodzi, i tak natrafiłbym po drodze na olbrzymie przeszkody. W grę wchodził, na przykład, taki drobiazg jak kwestia cech fizycznych. Wiele razy widziałem Jerry'ego w klubie pod prysznicem po grze w tenisa, ale za nic nie mogłem przypomnieć sobie w tej chwili niezbędnych szczegółów jego anatomii. Na takie rzeczy nie zwraca się uwagi. Zwykle człowiek w ogóle im się nie przygląda.

W każdym razie złożenie Jerry’emu takiej propozycji prosto z mostu byłoby szaleństwem. Aż tak dobrze go nie znałem. Mógł się przerazić. Być może zareagowałby agresywnie. Nastąpiłaby nieprzyjemna scena. Dlatego musiałem go wybadać w jakiś subtelniejszy sposób.

— Chcesz coś usłyszeć? — zagadnąłem go mniej oóźniej, kiedy siedzieliśmy razem na kanapie, pijąc ostatnią szklaneczkę. Goście właśnie wychodzili i Samantha zegnała ich w progu. Moja żona rozmawiała na tarasie z Bobem Swainem. Widziałem ich przez otwarte oszklone drzwi. — Chcesz usłyszeć coś zabawnego? — zagadnąłem Jerry’ego.

— Co takiego? — odparł Jerry.

— Pewien gość, z którym jadłem dzisiaj obiad, opowiedział mi kapitalną historię. Zupełnie niewiarygodną.

— Jaką historię? — spytał Jerry. Od wypitej whisky zrobił się senny.

— No więc gość, ten, z którym jadłem obiad, strasznie się napalił na żonę znajomego sąsiada. A ten sąsiad był tak samo napalony na żonę faceta, z którym jadłem obiad. Rozumiesz, o czym mówię?

— O dwóch gościach, którzy mieszkali blisko siebie i każdemu podobała się żona tego drugiego.

— Właśnie — potwierdziłem.

— W takim razie co za problem? — rzekł Jerry.

— Bardzo duży — odparłem. — Bo ich żony były bardzo uczciwe i wierne.

— To tak jak Samantha — powiedział. — Nie spojrzalaby na innego mężczyznę.

— Tak samo Mary — potwierdziłem. — To wspaniała dziewczyna.

Jerry opróżnił szklaneczkę i starannie odstawił ją na stół.

— No więc jak wygląda ta twoja historia? — spytał. — Zapowiada się nieprzyzwoicie.

— Wygląda tak, że ci dwaj jurni nicponie wysmażyli plan, dzięki któremu każdy z nich mógł się przespać z żoną tego drugiego, bez jej wiedzy. Dasz wiarę?

— Użyli chloroformu?

— Skądże. Ich żony były całkiem przytomne.

— Niemożliwe — orzekł Jerry. — Ktoś ci wciska kit.

— Wątpię — odparłem. — On opowiedział mi to w taki sposób, ze wszystkimi szczegółikami i w ogóle, że wątpię, czy to zmyślił. Prawdę mówiąc, jestem pewien, że nie. I wiesz co, na jednym razie bynajmniej się nie skończyło. Robili to co dwa, trzy tygodnie przez wiele miesięcy!

— I ich żony się nie połapały?

— Nic nie zauważyły.

— Musisz mi to opowiedzieć — rzekł Jerry. — Ale najpierw jeszcze się napijmy.

Podeszliśmy do barku, napełniliśmy szklaneczki i wróciliśmy na kanapę.

— Pamiętaj, że finał poprzedziło mnóstwo przygotowań i prób. A żeby plan się powiódł, musieli wymienić wiele intymnych szczegółów. Zasadniczo był on jednak prosty.

Wyznaczyli którąś noc, powiedzmy, że z soboty na niedzielę. Tego wieczoru obie małżeńskie pary miały położyć się do łóżek o zwykłej porze, powiedzmy, że o jedenastej czy wpół do dwunastej.

Od tej chwili mieli zachowywać się tak jak zwykle. Trochę lektury, może chwila rozmowy, a potem zgaszenie świateł.

Po zgaszeniu świateł mężowie od razu obracają się na bok i udają, że idą spać. A to po to, żeby ostudzić swoje żony, zapobiec ich pobudzeniu, do czego w tej fazie planu nie wolno dopuścić. Tak więc żony układają się do snu. Ale mężowie czuwają. Na razie wszystko gra.

A potem punktualnie o pierwszej w nocy, kiedy żony już mocno i głęboko śpią, obaj wysuwają się po cichu z łóżek, wkładają ranne pantofle i w piżamach schodzą cichaczem po schodach. Wychodzą w noc, dbając o to, żeby zamknąć za sobą drzwi wejściowe.

Ci dwaj mieszkali mniej więcej naprzeciwko siebie, przez ulicę — ciągnąłem. — Była to cicha podmiejska dzielnica i o tej porze rzadko kto tam się kręcił. Obie skradające się postacie w piżamach mijały się więc na środku ulicy w drodze do nie swoich domów, nie swoich łóżek i nie swoich żon.

Jerry słuchał mnie z uwagą. Oczy szklily mu się lekko od alkoholu, ale nie uрониł ani słowa.

— Dalszą część planu obaj przygotowali bardzo dokładnie i starannie. Każdy znał wnętrze domu przyjaciela niemal tak dobrze jak własnego. Wiedział, jak po ciemku odszukać drogę na górę i na dół, bez przewracania mebli. Wiedział, jak dojść do schodów, ile liczą stopni, które z nich skrzypią, a które nie. Wiedział, po której stronie łóżka śpi żona.

Obaj zdjęli pantofle i zostawili je w przedpokoju, a potem w piżamach, na bosaka weszli cichaczem po schodach. Ta część eskapady była, zdaniem mojego znajomego, bardzo fascynująca. Znajdował się w ciemnym cichym

domu, który nie był jego, a po drodze do sypialni małżeńskiej musiał minąć aż trzy sypialnie dziecięce, których drzwi zawsze były lekko uchylone.

— Dzieci! — zawołał Jerry. — Mój Boże, a gdyby tak któreś z nich obudziło się i spytało: „Tatusiu, czy to ty?”

— Zadbali o wszystko — odparłem. — Natychmiast zastosowaliby postępowanie awaryjne. Zastosowaliby je również wtedy, gdyby w chwili, wkradania się do sypialni żona obudziła się i spytała: -, „Co się stało, kochanie? Dlaczego chodzisz po ,” domu?”

— Jakie postępowanie awaryjne?

— Bardzo proste. Przyłapany natychmiast zbiegłby na dół, wypadł przez drzwi, przebiegł; przez ulicę i zadzwonił do drzwi swojego domu. ‘ Byłby to sygnał dla tego drugiego, żeby bez względu na to, co w tym czasie robi, również zbiegł pędem po schodach, otworzył drzwi wejściowe, wpuścił współnika, a sam wyszedł. W ten sposób obaj znaleźliby się szybko we właściwych domach.

— Schwytni na gorącym uczynku — mruknął Jerry.

— Wcale nie.

— Ten dzwonek obudziłby cały dom.

— Oczywiście — przyznałem. — A mąż, wracając w piżamie na górę, oznajmiłby po prostu: „Poszedłem sprawdzić, kto, u diabła, dzwoni do drzwi o tak skandalicznej porze. Nie zastałem nikogo. To na pewno był jakiś pijak”.

— No, a co z tym drugim? — spytał Jerry. — Jak wytłumaczy, że zbiegł po schodach w chwili, kiedy odezwała się do niego żona albo dziecko?

— Powie: „Usłyszałem, że ktoś kręci się przed domem, więc zbiegłem na dół, żeby go złapać, ale uciekł”. „Naprawdę go widziałeś?” — spyta zaniepokojona żona. „Jasne, że widziałem — odpowie mąż. — Pobiegł ulicą. Był dla mnie za szybki”. A potem otrzyma serdeczne powinszowania za to, że był taki dzielny.

— Dobra — powiedział Jerry. — Ta część planu jest łatwa. Jak dotąd wszystko polega na starannym zaplanowaniu czynności i zgraniu ich w czasie. Ale co będzie, kiedy tych dwóch jurnych zuchów znajdzie się w łóżkach obu żon?

— Od razu przystąpią do rzeczy.

— Przecież żony już śpią.

— Wiem — odparłem. — Dlatego od razu rozpoczną oni bardzo delikatną, ale i bardzo zręczną grę miłosną, tak że zanim ich panie w pełni się rozbudzą, staną się pożądlive niczym grzechotniki.

— Domyślałem się więc, że nie będzie rozmów — rzekł Jerry.

— Ani słowa.

— No dobrze, więc żony są rozbudzone — powiedział. — A ich ręce przystępują do dzieła. I natychmiast pojawia się pytanie, co począć z rozmiarami ciał. Co z różnicą pomiędzy tym nowym a mężem? Co z długością i krótkością członków, z tuszą i szczupłością? Chyba nie powiesz mi, że ci dwaj byli fizycznie jednakowi?

— Z pewnością nie jednakowi — odparłem. — Ale mniej więcej podobnej budowy i wzrostu. To rzecz zasadnicza. Obaj byli gładko ogoleni i z grubsza tak samo owłosieni. Takie podobieństwo jest czymś powszednim. Weź, na

przykład, mnie i ciebie. Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu i budowy ciała, prawda?

— Tak?

— Ile mierzysz? — zapytałem.

— Dokładnie metr osiemdziesiąt.

— A ja metr siedemdziesiąt osiem — powiedziałem. — To dwa centymetry różnicy. A ile ważysz?

— Osiemdziesiąt pięć kilo.

— A ja osiemdziesiąt trzy i pół. Cóż znaczy półtora kilo między przyjaciółmi?

Zamilkliśmy. Jerry spoglądał przez drzwi na taras, gdzie stała moja żona Mary. W dalszym ciągu rozmawiała z Bobem Swainem, a w jej włosach lśniło wieczorne słońce. Była ciemnowłosą ładną dziewczyną z dużymi piersiami. Obserwowałem Jerry'ego. Ujrzałem, jak wysuwa język i przeciąga nim po dolnej wardze.

— Chyba masz rację — powiedział, nie odrywając oczu od Mary. — Ty i ja mamy chyba te same wymiary. — Kiedy się obrócił i znów spojrzał mi w twarz, wysoko na policzkach miał małe czerwone wypieki. — Opowiadaj dalej o tych dwóch facetach — rzekł. — Co z innymi różnicami?

— Masz na myśli twarze? — spytałem. — W ciemności ich nie widać.

— Nie mówię o twarzach — zaprzeczył Jerry. — A o czym?

— O ich członkach — wyjaśnił. — Przecież w tym właśnie cała rzecz, no nie? Nie powiesz mi przecież, że...

— A właśnie, że powiem. Jeżeli tylko obaj byli obrzezani albo nie obrzezani,

jaki problem?

— Poważnie chcesz mi wmówić, że wszyscy mężczyźni mają jednakowe członki?! — zaprotestował Jerry. — Przecież nie mają.

— Wiem, że nie.

— Niektóre są ogromne — dodał. — A inne tycie.

— Zawsze są wyjątki — oświadczyłem. — Ale zdziwiłbyś się, jak wielu mężczyzn w gruncie rzeczy ma podobne rozmiary, z dokładnością do centymetra. Zdaniem mojego znajomego, dziewięćdziesiąt procent ma normalne członki. A tylko dziesięć procent zdecydowanie duże albo małe.

— Nie wierzę — stwierdził Jerry.

— No to kiedyś sprawdź — odparłem. — Spytaj jakąś doświadczoną dziewczynę.

Wolno pociągnął duży łyk whisky, spoglądając jeszcze raz sponad szklanki na stojącą na tarasie Mary.

— A co z resztą? — spytał.

— Żadnych kłopotów.

— A niech cię, żadnych kłopotów! Powiedzieć ci, dlaczego ta historia jest nieprawdziwa?

— Powiedz.

— Wszystkim wiadomo, że żona i mąż, którzy są małżeństwem od lat, nabywają pewnych przyzwyczajień. To konieczność. Mój Boże, każda taka żona natychmiast by wykryła nowego harcownika. Doskonale o tym wiesz. Nie możesz przecież przypuścić szturm w całkiem nowym stylu i spodziewać się, że kobieta tego nie spostrzeże, bez względu na to, jak bardzo jest

podniecona. Już w pierwszej minucie wyczuje pismo nosem!

— Przyzwyczajenia erotyczne można kopiować — odparłem. — Pod warunkiem, że najpierw zostaną opisane ze wszystkimi szczegółami.

— Trochę to zanadto osobiste.

— Cała ta sprawa jest osobista. Tak więc obaj zwierają się sobie. Opisują dokładnie, co zwykle robią. Nie pomijają niczego. Najdrobniejszego szczegółu. Mówią co i jak. Wszystko od A do Z.

— Chryste! — westchnął Jerry.

— Obaj musieli się nauczyć nowych ról — ciągnąłem. — W rezultacie mój znajomy musiał się stać aktorem. Grał inną osobę.

— To nie takie łatwe — powiedział Jerry.

— Jego zdaniem, to żaden problem. Musiał jedynie wystrzegać się tego, żeby nie dać się ponieść i nie zacząć improwizować. Trzeba bardzo ściśle przestrzegać didaskaliów i się ich trzymać.

Jerry znów łyknął whisky. I jeszcze raz spojrzął na stojącą na tarasie Mary. A potem ze szklanką w ręku rozsiadł się na kanapie.

— Poważnie mówisz, że tym dwóm udało się dopiąć swego? — spytał.

— Jestem o tym święcie przekonany — zapewniłem go. — Nadal to robią. Raz na jakieś trzy tygodnie.

— Fantastyczna historia — oświadczył. — I piekielnie niebezpieczna do przeprowadzenia. Tylko pomyśl, co za piekło by się rozpętało, gdyby one ich przyłapały. Natychmiastowy rozwód. A właściwie, dwa rozwody. Jeden po każdej stronie ulicy. Nie opłaca się.

— Wymaga dużej odwagi — powiedziałem.

— Przyjęcie się kończy — rzekł. — Wszyscy rozjeżdżają się do domów ze swoimi cholernymi małżonkami.

Nie odezwałem się już do niego. Siedzieliśmy parę minut popijając, a goście zaczęli się przesuwać w stronę przedpokoju.

— Czy ten twój znajomek twierdzi, że sprawiło mu to frajdę? — spytał raptem Jerry.

— Powiedział, że było rewelacyjnie — odparłem. — Że ze względu na ryzyko wszystkie normalne przyjemności wzrosły o sto procent.

Przysięgał, że nie ma nic wspanialszego na świecie, niż zrobić to odgrywając męża, kiedy żona o niczym nie wie.

W tym momencie przez drzwi na taras weszła Mary z Bobem Swainem. W jednej ręce trzymała pustą szklankę, w drugiej ognistą azalię, którą zerwała na tarasie.

— Przyglądam ci się — oznajmiła, celując we mnie kwiatem, jakby to był pistolet. — Przez ostatnie dziesięć minut prawie nie zamykałeś ust. Co on ci opowiadał, Jerry?

— Sprośną historyjkę — odparł Jerry, uśmiechając się szeroko.

— Zawsze to robi, kiedy pije — powiedziała.

— Bardzo dobrą — dodał Jerry. — Ale całkowicie nieprawdopodobną. Nakłoń go, żeby ci ją kiedyś opowiedział.

— Nie lubię sprośnych historyjek — odparła Mary. — Chodź, Vic. Pora iść.

— Nie idźcie jeszcze — rzekł Jerry, ze wzrokiem utkwionym w jej dorodnych piersiach. — Napijcie się.

— Nie, dziękuję — powiedziała. — Dzieci będą wrzeszczeć o kolację.

Dobrze się bawiłam.

— Nie pocałujesz mnie na dobranoc? — spytał Jerry, podnosząc się z kanapy. Chciał ją pocałować, ale szybko obróciła głowę, tak że trafił tylko na skraj jej policzka-.

— Odejdź, Jerry — powiedziała. — Jesteś

— Nie jestem pijany — odparł. — Tylko lubieżny.

— Ze mną nie próbuj być lubieżny, chłopcze — ostrzegła Mary ostrym tonem. — Nie znoszę takiego gadania.

Odmaszerowała przez pokój, niosąc przed sobą biust niczym taran.

— Na razie, Jerry — powiedziałem. — Miło było.

Mocno zachmurzona Mary czekała na mnie w przedpokoju. Była tam również Samantha, żegnająca się z ostatnimi gośćmi — Samantha ze zręcznymi palcami, gładką skórą i gładkimi, niebezpiecznymi udami.

— Rozchmurz się — powiedziała do mnie, obnażając białe zęby. Wyglądała jak stworzenie świata, jak jego początek, pierwszy poranek. — Dobranoc, Vic, kochanie — dodała, elektryzując mnie dotykiem swoich palców.

Wyszedłem z jej domu za Mary.

— Dobrze się czujesz? — spytała.

— Tak — odparłem. — Czemu miałbym się źle czuć?

— Bo pijesz tyle, że każdemu innemu już by się zrobiło niedobrze — prychnęła.

Nasz dom od domu Jerry'ego oddzielał zapuszczony stary żywopłot z dziurą w środku, z której zawsze korzystaliśmy. Mary i ja przeszliśmy przez nią nie odzywając się do siebie. Weszliśmy do domu, gdzie usmażyła furę jajecznicy

na bekonie, którą zjedliśmy wspólnie z dziećmi.

Po kolacji wyszedłem przed dom. Letni wieczór był pogodny i chłodny, a ponieważ nie miałem nic innego do roboty, postanowiłem, że skoszę trawę w ogródku przed domem. Wyciągnąłem z szopy kosiarkę, uruchomiłem ją i jak zwykle zacząłem maszerować za nią tam i z powrotem. Lubiłem kosić trawę. Uspokajało mnie to, a poza tym z trawnika przed naszym domem, idąc w jedną stronę, mogłem patrzeć na dom Samantha i myśleć o niej, krocząc w drugą.

Robiłem to przez mniej więcej dziesięć minut, kiedy przez dziurę w żywopłocie przelazł Jerry. Z zapaloną fajką i z rękami w kieszeniach przystanął na skraju trawnika i gapił się na mnie. Podjechałem do niego i zatrzymałem się, ale silnik kosiarki zostawiłem parkoczący na jałowym biegu.

— Cześć, stary — powiedział. — Jak leci?

— Popadłem w niełaskę — oświadczyłem. — Tak jak i ty.

— Twoja żonka jest tak diabelnie sztywna i pruderyjna, że to aż zastanawia.

— Och, wiem o tym.

— Złajęła mnie w moich własnych progach — rzekł Jerry.

— Nie za mocno.

— Ale wystarczająco — odparł z uśmiechem.

— Wystarczająco do czego?

— Wystarczająco, żebym zapragnął małej zemsty. Co byś więc powiedział na to, gdybyśmy spróbowali tego, o czym mówił ci przy obiedzie ten znajomy?

Na te słowa ogarnęło mnie takie podniecenie, że żołądek o mało co nie wyskoczył mi przez usta. Ścisnąłem rączki kosiarki i zwiększyłem obroty silnika.

— Czy powiedziałem coś niestosownego? — spytał Jerry.

Nie odpowiedziałem mu na to.

— Posłuchaj — rzekł. — Jeśli uważasz, że to kiepski pomysł, zapomnijmy, że w ogóle ci o nim wspomniałem. Nie gniewasz się na mnie za to, co?

— Nie gniewam się na ciebie, Jerry — zapewniłem go. — Po prostu nie przyszło mi do głowy, że moglibyśmy to zrobić właśnie my.

— A mnie przyszło — oznajmił. — Warunki są idealne. Nie musimy nawet przechodzić przez ulicę. — Twarz mu się raptownie rozjaśniła, a oczy zaśniły jak gwiazdy. — I co ty na to, Vic?

— Zastanawiam się.

— A może tobie nie podoba się Samantha?

— Naprawdę trudno mi powiedzieć — skłamałem.

— Jest świetna — rzekł. — Ręczę ci.

W tym momencie zobaczyłem, że na ganek wchodzi Mary.

— Wyszła Mary — powiedziałem. — Szuka chłopców. Porozmawiamy o tym jutro.

— A więc umowa stoi?

— Być może. Ale tylko pod warunkiem, że nie zrobimy tego na chybcika. Zanim przystąpimy do rzeczy, chcę mieć całkowitą pewność, że wszystko gra. Cholera, przecież to zupełna nowość!

— Nie, wcale nie! — odparł. — Twój znajomy powiedział, że było

rewelacyjnie. I że poszło łatwo.

— A, owszem — przypomniałem sobie. — Mój znajomy. Rzeczywiście. Ale każdy przypadek jest inny.

Otworzyłem gaz przy kosiarce i z warkotem odjechałem przez trawnik. Kiedy dotarłem na jego drugi koniec i zawróciłem, Jerry zdążył już przejść przez dziurę w żywopłocie i zbliżał się do progu swojego domu.

Następne dwa tygodnie były dla nas obu okresem najściślejszej konspiracji. Dla omówienia strategii spotykaliśmy się potajemnie w barach i restauracjach, czasem zaś po pracy wpadał do mnie do biura na naradę za zamkniętymi drzwiami. Kiedy wyłaniała się jakaś wątpliwość, Jerry zawsze pytał: „A jak zrobił to twój znajomy?” Grałem wówczas na zwłokę i odpowiadałem: „Zadzwoń i go zapytam”.

Po wielu dyskusjach i mnóstwie rozmów ustaliliśmy następujące główne punkty planu:

1. Dniem akcji powinna być sobota.
2. Wieczorem w dniu akcji zabierzemy nasze żony na dobrą kolację i zjemy ją we czwórkę.
3. W niedzielę, dokładnie o pierwszej w nocy, Jerry i ja wyjdziemy z domów i przejdziemy przez dziurę w płocie.
4. Zamiast leżeć w ciemnościach aż do wybicia pierwszej, zaraz po zaśnięciu naszych żon obaj zejdziemy po cichu do kuchni i napijemy się kawy.
5. Z pomysłu z dzwonieniem do drzwi wejściowych skorzystamy tylko w razie nagłej potrzeby.
6. Z powrotem przez żywopłot przejdziemy o drugiej w nocy.

7. Przebywając w cudzym łóżku, na pytania zadane przez partnerkę (jeśli będą) musimy odpowiadać z zaciśniętymi ustami „Mhmm”.

8. Natychmiast przestanę palić papierosy i przerzucę się na fajkę, żebym „pachniał” tak jak Jerry.

9. Natychmiast zaczniemy używać tej samej oliwki do włosów i płynu po goleniu.

10. Postanowiliśmy nie wymieniać się zegarkami, które miały jednakowy kształt i których zwykle nie zdejmowaliśmy kładąc się do łóżka. Żaden z nas nie nosił sygnetów.

11. Każdy mężczyzna ma jakąś wyróżniającą go cechę, którą żona utożsamia wyłącznie z nim. Wymyśliliśmy przeto coś, co nazwaliśmy „fortelem przylepcowym”. Polegał on na tym, że wieczorem w dniu akcji, zaraz po powrocie obu małżeństw z kolacji do domów, mężowie bezwarunkowo pójdą do kuchni, żeby ukroić sobie sera. Tam jednocześnie okleją sobie koniuszki palców wskazujących prawych dłoni dużymi kawałkami plastra. Zrobiwszy to podniosą ręce i powiedzą żonom: „Zaciałem się. To drobiazg, ale trochę krwawiło”. Dzięki temu po zamianie łóżek ich małżonki z pewnością wyczują zaklejony plastrem palec (mężowie postarają się o to, by wyczuły) i od razu skojarzą go sobie z nimi. Tak wyglądał ów psychologiczny fortel, obliczony na rozwianie najmniejszych podejrzeń, które mogą przyjść na myśl obu kobietom.

Oto jak się przedstawiały plany zasadnicze. Teraz zaś nadszedł czas na to, co w naszych zapiskach nazwaliśmy „zapoznaniem się z terenem”. Jerry zapoznał mnie pierwszy. Któregoś niedzielnego popołudnia po wyjeździe

żony i dzieci zaaplikował mi trzygodzinne ćwiczenia w swoim domu. Nigdy przedtem nie byłem w ich małżeńskiej sypialni. Na toaletce stały perfumy Samantha, leżały szczotki do włosów i wszelkie inne drobiazgi. Na oparciu fotela spoczywały pończochy. Za drzwiami prowadzącymi do łazienki wisiała białoniebieska koszula nocna.

— Dobra — powiedział Jerry. — Kiedy wejdiesz, będzie tu kompletnie ciemno. Samantha śpi po tej stronie, więc musisz obejść na palcach łóżko z tego końca i wślizgnąć się do niego z drugiej strony, tam. Zasłonię ci oczy i przeciwicysz to.

Mając zasłonięte oczy, z początku błądziłem po całym pokoju jak pijany. Ale po mniej więcej godzinie starań potrafiłem już bardzo pewnie przebyć tę trasę. Jednakże zanim Jerry w końcu uznał, że zdałem egzamin, musiałem z zawiązanymi oczami przejść od samych drzwi wejściowych przez przedpokój, wspiąć się na piętro, minąć pokoje dzieci, wejść do sypialni i zakończyć wędrówkę w ściśle oznaczonym miejscu. Na dodatek musiałem to zrobić cicho jak złodziej. Trudziłem się przy tym ciężko bite trzy godziny, ale wreszcie mi się udało.

W następną niedzielę rano, kiedy Mary zabrała dzieci do kościoła, mogłem urządzić Jerry'emu podobną zaprawę w moim domu. Wyuczył się tego o niebo szybciej niż ja i w ciągu godziny zdał egzamin z zawiązanymi oczami, nie robiąc najmniejszego fałszywego kroku.

Właśnie w czasie tego spotkania postanowiliśmy, że po wejściu do sypialń wyłączymy z kontaktów lampy przy łóżkach naszych żon. Tak więc Jerry przeciwiczył odszukiwanie i wyciąganie z zasłoniętymi oczami wtyczki z

kontakcie, a podczas następnego weekendu ja miałem sposobność zrobić to samo w jego domu.

Wówczas nadeszła najważniejsza część naszych ćwiczeń. Nazwaliśmy ją „wyśpiewaniem tajemnic”. Obaj musieliśmy opisać w najdrobniejszych szczegółach, w jaki sposób kochamy się z naszymi żonami. Zgodziliśmy się, że darujemy sobie opisy wszelkich egzotycznych odmian miłości, które każdy z nas mógł z rzadka stosować. Poprzestaliśmy na poinformowaniu się nawzajem o najczęściej stosowanych przez nas pieszczotach, takich, które gwarantują, iż nie wzbudzą podejrzeń.

Naradę odbyliśmy w moim biurze w środę o szóstej wieczorem, kiedy personel poszedł już do domu. Z początku obaj byliśmy nieco skrępowani i żaden z nas nie chciał zacząć. Wyjąłem więc butelkę whisky i po wypiciu dwóch pełnych szklaneczek rozluźniliśmy się na tyle, żeby rozpocząć instruktaż. Kiedy mówił Jerry, ja notowałem, i na odwrót. W końcu okazało się, że jedyną istotną różnicą pomiędzy erotycznymi zwyczajami Jerry’ego i moimi jest tempo. Ale jakaż to była różnica! On robił to (jeśli wierzyć jego słowom) tak niespiesznie i tak bardzo odwlekał najważniejszą chwilę, że w duchu zastanawiałem się, czy jego partnerka przypadkiem w trakcie tego wszystkiego nie zasypia. Ale moją sprawą było nie krytykowanie go, a naśladownictwo, więc nic nie powiedziałem. Jerry nie był aż tak powściągliwy. Pod koniec mojego autoopisu miał czelność spytać:

— I ty naprawdę tak robisz?

— Co masz na myśli?

— Wszystko załatwiasz i kończysz tak szybko?

— Słuchaj — powiedziałem. — Nie jesteśmy tu po to, żeby się pouczać. Jesteśmy tu po to, żeby poznać fakty.

— Wiem — odparł. — Ale jeżeli dokładnie skopiuję twój styl, to w moim odczuciu się zbłążnię. Rany boskie, ty robisz to w tempie pociągu ekspresowego, który przelatuje ze świstem przez wiejską stacyjkę!

Wytrzeszczyłem na niego oczy, rozdziawiając usta.

— Coś taki zaskoczony? — spytał. — Na podstawie twojego opisu każdy pomyślałby sobie...

— Pomyślałby co? — przerwałem mu.

— Och, zostawmy ten temat — mruknął.

— Dziękuję ci bardzo — powiedziałem. Byłem wściekły. Tak się składa, że wiem, że dwie rzeczy na tym świecie robię doskonale. Jedna to prowadzenie samochodu, a druga to „te rzeczy”. Dlatego fakt, że siedział tu zarzucając mi, iż nie umiem postępować z własną żoną, był z jego strony potworną bezczelnością. To on nie umiał, a nie ja! Biedna Samantha. Ileż ona musiała znieść przez te wszystkie lata!

— Żałuję, że się odezwałem — rzekł Jerry. Dolał nam whisky do szklanek.

— A więc za naszą wielką wymianę! Kiedy zaczynamy?

— Dziś jest środa. Co powiesz na najbliższą t’ sobotę?

— O rany!

— Powinniśmy to zrobić, kiedy wszystko mamy na świeżo w głowach — argumentowałem. — Jest mnóstwo do spamiętania.

I Jerry podszedł do okna i spojrzał w dół na ruchliwą ulicę.

— Dobrze — zgodził się, obracając się w moją stronę. — Niech będzie w tę

sobotę.

A potem swoimi samochodami pojechaliśmy oddzielnie do domów.

— Wiesz, Jerry'emu i mnie przyszło na myśl, żeby w sobotę zabrać ciebie i Samanthę na kolację — oznajmiłem żonie.

Siedzieliśmy w kuchni, gdzie Mary smażyła właśnie chłopcom hamburgery. Odwróciła się twarzą do mnie, z patelnią w jednej ręce i łyżką w drugiej. Swoimi niebieskimi oczami spojrzała mi prosto w oczy.

— O Boże, Vic. Jak to miło. Ale z jakiej to okazji?

Spojrzałem na nią i powiedziałem:

— Pomyślałem sobie, że dla odmiany warto by było zobaczyć jakieś nowe twarze. Spotykamy się ciągle w tym samym gronie ludzi i zawsze w tych samych domach.

Zrobiła krok i pocałowała mnie w policzek.

— Jakiś ty dobry. Kocham cię.

— Nie zapomnij zadzwonić po opiekunkę do dzieci.

— Nie zapomnę, zadzwonię dziś wieczorem — obiecała.

Czwartek i piątek minęły bardzo prędko i nagle zrobiła się sobota. Dzień akcji. Obudziłem się strasznie podniecony. Po śniadaniu, nie mogąc usiedzieć w miejscu, postanowiłem wyjść i umyć samochód. Kiedy byłem w połowie dzieła, przez dziurę w żywopłocie przeszedł Jerry z fajką w zębach.

— Cześć, stary — przywitał się. — To już dziś.

— Wiem — odparłem. Ja również ścisnąłem w ustach fajkę. Zmuszałem się do jej palenia, ale miałem kłopoty z tym, żeby mi nie gasła, a poza tym jej dym szczypał mnie w język.

— Jak się czujesz? — spytał Jerry.

— Znakomicie. A ty?

— Denerwuję się — wyznał.

— Nie ma powodu, Jerry.

— Próbujemy dokonać rzeczy arcytrudnej — oświadczył. — Mam nadzieję, że nam się uda.

Powróciłem do czyszczenia przedniej szyby samochodu. Dotychczas nie zauważyłem, żeby Jerry denerwował się z jakiegokolwiek powodu. Trochę mnie to zaniepokoiło.

— Cholernie się cieszę, że nie jesteśmy pierwsi — rzekł. — Gdyby nikt tego przed nami nie dokonał, wątpię, czybym się odważył.

— Zgadza się z tobą.

— Nie denerwuję się aż tak bardzo wyłącznie dlatego, że twój znajomy uznał to za dziecinnie łatwe — dodał.

— Mój znajomy powiedział, że to fraszka — zapewniłem. — Ale nie denerwuj się, na miłość boską, kiedy przyjdzie pora. To byłaby katastrofa.

— Nic się nie bój — odparł. — A niech mnie, to są dopiero emocje, co?

— Pewnie.

— Posłuchaj — rzekł. — Wieczorem lepiej nie pijmy za dużo.

— Dobry pomysł — zgodziłem się. — Do zobaczenia o wpół do dziewiątej.

O wpół do dziewiątej Samantha, Jerry, Mary i ja pojechaliśmy samochodem Jerry'ego do „Befsztykami Billy'ego”. Restauracja ta, wbrew nazwie, była pierwszorzędna i droga, a nasze dziewczyny wystroiły się na tę okazję w długie suknie. Samantha miała na sobie zieloną kreację, która z przodu

zaczynała się dopiero w okolicach talii, i moim zdaniem jeszcze nigdy nie wyglądała tak ślicznie. Na naszym stole stały świece. Samantha siedziała naprzeciwko mnie i ilekroć pochylała się, zbliżając twarz do płomienia świecy, widziałem dokładnie pośrodku jej dolnej wargi małą wypukłość skóry.

— Popatrzmy — powiedziała, biorąc od kelnera kartę dań — co by tu sobie zamówić.

Ho, ho, ho, pomyślałem, dobre pytanie.

W restauracji wszystko poszło doskonale i dziewczęta pysznie się bawiły. Kiedy zajechaliśmy przed dom Jerry'ego za kwadrans dwunasta, Samantha zaproponowała:

— Zajdźcie do nas na szklaneczkę przed snem.

— Dziękujemy, ale jest już późno. A muszę odwieźć opiekunkę do dzieci — wymówiłem się.

Tak więc poszedłem z Mary do domu, mówiąc sobie w duchu, że od tej chwili zaczyna się odliczanie do startu. Muszę mieć jasny umysł i niczego nie zapomnieć.

Kiedy Mary płaciła opiekunce, poszedłem do lodówki i znalazłem kawałek kanadyjskiego cheddaru. Wyjąłem z szuflady nóż, a z szafki kawałek plastra. Okleiłem plastrem koniuszek palca wskazującego prawej dłoni i czekałem na powrót Mary.

— Zaciąłem się — oznajmiłem, podnosząc palec w górę, żeby go zobaczyła. — To drobiazg, ale troszkę krwawił.

— Wydawało mi się, że dość zjadłeś jak na jeden wieczór — skomentowała tylko. Ale plaster utkwiał jej w pamięci i moje pierwsze małe zadanko zostało

wykonane.

Odwiozłem opiekunkę i wróciłem do naszej sypialni około północy. Mary zgasiła już swoją nocną lampkę i przysypiała. Zgasilem lampkę po swojej stronie łóżka i wszedłem do łazienki rozebrać się. Guzdrałem się tam z dziesięć minut i kiedy wyszedłem, Mary, tak jak na to liczyłem, zasnęła już na dobre. Nie było sensu kłaść się obok niej. Tak więc odsunąłem kawałek kołdry po mojej stronie łóżka, żeby ułatwić zadanie Jerry'emu, a potem w rannych pantoflach zszedłem do kuchni i włączyłem elektryczny czajnik. Było siedemnaście po dwunastej. Czterdzieści trzy minuty do startu.

Trzydzieści pięć minut po północy wszedłem na górę, żeby sprawdzić, co z Mary i dziećmi. Wszyscy mocno spali.

Pięćdziesiąt pięć minut po północy, na pięć minut przed godziną zero, wszedłem jeszcze raz na górę, żeby dokonać ostatniej inspekcji. Podszedłem prosto do łóżka i wyszeptalem imię żony. Nie było odpowiedzi. Dobrze. Doskonale! Naprzód!

Narzuciłem na piżamę brązowy płaszcz przeciwdeszczowy. Zgasilem światło w kuchni, tak że cały dom spowity ciemności. Zablokowałem zatrask przy frontowych drzwiach. A potem, przepelniony radością, wyszedłem cicho w noc.

Na naszej ulicy ani jedna lampa nie rozpraszała mroku. Nie świecił księżyc ani choćby jedna gwiazda. Noc była czarna jak smoła, ale powietrze ciepłe i skądś wiał lekki wietrzyk.

Skierowałem się do dziury w płocie. Kiedy podszedłem bardzo blisko, zdołałem dostrzec żywopłot i znaleźć w nim przerwę. Stałem tam,

czekając. Wreszcie usłyszałem kroki nadchodzącego Jerry'ego.

— Cześć, stary — szepnął. — Wszystko w porządku?

— Wszystko masz przygotowane — odszepnąłem.

Poszedł dalej. Słyszałem, jak cicho stąpa w pantoflach po trawie, kiedy zbliżał się do mojego domu. Ja poszedłem do jego pieleszy.

Otworzyłem drzwi wejściowe. W środku było jeszcze ciemniej niż na zewnątrz. Starannie zamknąłem drzwi. Zdjąłem płaszcz i powiesiłem go na klamce. Zsunąłem z nóg ranne pantofle i postawiłem je tuż pod ścianą przy drzwiach. Było tak ciemno, że dosłownie nie widziałem własnych rąk. Wszystko musiałem zrobić po omacku.

Mój Boże, jakże rad byłem, że Jerry tak długo zmuszał mnie do ćwiczeń z zasłoniętymi oczami. To nie moje stopy wiodły mnie w tej chwili, ale palce. Palce jednej bądź drugiej dłoni ani przez chwilę nie traciły kontaktu z przedmiotami — ścianą, poręczą schodów, meblem, zasłoną w oknie. Cały czas wiedziałem więc dokładnie — albo sądziłem, że wiem — gdzie jestem w danej chwili.

Ale stąpanie na palcach w środku nocy po cudzym domu napawało mnie dziwnym i niesamowitym lękiem. Wchodząc po schodach i wymacując drogę stwierdziłem, że myślę o złodziejach, którzy zeszłej zimy włamali się do naszego salonu od frontu i ukradli telewizor. Kiedy nazajutrz rano przyjechała policja, pokazałem im olbrzymią kupę leżącą w śniegu przed garażami.

— Prawie zawsze to robią — powiedzieli mi policjanci. — To silniejsze od nich. Boją się.

Dotarłem do szczytu schodów. Przebyłem podest, cały czas końcami palców prawej ręki dotykając ściany. Ruszyłem korytarzem, ale zatrzymałem się, kiedy natrafiłem dłonią na drzwi pierwszej sypialni dziecięcej. Były lekko uchylone. Nadstawiłem ucha. Usłyszałem równy oddech małego, ośmioletniego Roberta Rainbowa. Poszedłem dalej. Natknąłem się na drzwi drugiej dziecięcej sypialni. Należała do sześciolatniego Billy'ego i trzyletniej Amandy. Stałem nasłuchując. Wszystko w porządku.

Sypialnia małżeńska znajdowała się na końcu korytarza, ze cztery kroki dalej. Doszedłem do drzwi. Jerry zgodnie z planem zostawił je otwarte. Znieruchomiałem w progu, nasłuchując najmniejszych oznak przebudzenia się Samantha. Było całkiem cicho. Idąc po omacku przy ścianie, dotarłem do łóżka po tej stronie, gdzie spała. Natychmiast ukląknę, znalazłem wtyczkę od lampki nocnej, wyciągnąłem ją z kontaktu i położyłem na dywanie. Doskonale. Byłem teraz znacznie bezpieczniejszy. Wstałem. Nie mogłem jej zobaczyć, a z początku także dosłyszeć. Pochyliłem się nisko nad łóżkiem. Tak, teraz usłyszałem jej oddech. Nagle pochwyciłem w nozdrza woń silnych piżmowych perfum, których używała tego wieczora, i poczułem, jak do pachwin gwałtownie napływa mi krew. Szybko obszedłem na palcach wielkie łożo, ani na chwilę nie odrywając delikatnie przytkniętych palców od jego krawędzi.

Pozostało mi już tylko wejść pod kołdrę. Zrobiłem to, ale kiedy położyłem się na materacu, sprężyny skrzypnęły pod moim ciężarem tak głośno, jakby ktoś w pokoju wypalił ze strzelby. Leżałem nieruchomo, wstrzymując oddech. Słyszałem własne serce, które waliło mi w gardle niczym maszyna.

Samantha leżała odwrócona plecami do mnie. Nie poruszyła się. Podciągnąłem kołdrę na pierś, obróciłem się i poczułem na sobie kobiece ciepło. A zatem do dzieła! Raz, dwa!!!

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ciała. Koszulę miała cieplutką i jedwabistą. Delikatnie położyłem dłoń na jej biodrach. Nadal leżała bez ruchu. Oczekałem parę chwil, a potem pozwoliłem spoczywającej na jej biodrze dłoni zakraść się dalej i wybadać teren. Wolno, przemyślnie i z wielką precyzją moje palce przystąpiły do dzieła rozplamiania Samantha. Drgnęła. Odwróciła się na plecy. A potem mruknęła sennie:

— Ojej... O mamó... Boże święty, kochanie!

Ja oczywiście się nie odezwałem. Po prostu dalej robiłem swoje.

Upłynęły dwie minuty.

Leżała całkiem spokojnie.

Upłynęła kolejna minuta. Jeszcze jedna. Samantha ani drgnęła..

Zacząłem nurtować pytanie, ile jeszcze mi zajmie rozpalenie jej.

Nie ustawałem w wysiłkach.

Tylko skąd to milczenie? Skąd ta absolutna, całkowita nieruchomość, ta kamienna poza?

I nagle wszystko zrozumiałem. Kompletnie zapomniałem o Jerry! Byłem tak napalony, że całkiem zapomniałem o jego zwyczajach erotycznych! Robiłem to po swojemu, a nie tak jak on! Jego sposób był znacznie zawilszy. Absurdalnie skomplikowany. Całkiem niepotrzebny. Ale ona była do niego przyzwyczajona. Zauważyła więc różnicę i teraz próbowała odgadnąć, co się, u licha, dzieje.

Było już jednak za późno na zmianę kursu! Musiałem to robić dalej!

I robiłem. Kobieta u mojego boku leżała jak zwinęta sprężyna. Pod jej skórą wyczuwałem napięcie. Zacząłem się pocić.

Raptem wydała z siebie dziwny cichy jęk.

Przez głowę przemknęły mi nowe okropne domysły. Czy jest chora? Ma atak serca? Powinienem czym prędzej wynieść się stąd gdzie pieprz rośnie?

Znowu jęknęła, tym razem głośniej. A potem znenacka wykrzyknęła: „Tak, tak, tak, tak!” i ożyła niczym bomba, w której wolnotłący lont wypalił się do końca i dotarł do dynamitu. Porwała mnie w objęcia i dobrała się do mnie z tak niewiarygodną dzikością, że miałem wrażenie, jakbym wpadł w szpony tygrysa.

A może powinienem był raczej powiedzieć: tygrysicy?

W ogóle nie przypuszczałem, że kobieta jest zdolna do tego, co wyprawiała wtedy ze mną Samantha. Była trąbą powietrzną, oślepiającym rozszalałym wirem, który wyrwał mnie z korzeniami, okręcił i uniósł wysoko w niebiosa, do miejsc, o których istnieniu nie miałem pojęcia.

Ja nie brałem w tym wszystkim czynnego udziału. Jakżebym mógł? Byłem bezradny. Byłem palmą wirującą w niebiosach, jagnięciem w pazurach tygrysa. Mogłem jedynie walczyć o to, by nie stracić tchu.

Tak czy owak, czymś porywającym było oddanie się w ręce gwałtownej kobiety, a burza, w którą się zmieniła, srożyła się przez następne dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści — skąd mogę wiedzieć ile? — minut. Nie mam jednak zamiaru raczyć czytelników sensacyjnymi szczegółami. Nie pochwalam publicznego prania barwnych brudów. Przykro mi, ale taki już

jestem. Mam jedynie nadzieję, że moja powściągliwość w tej mierze nie wywoła zbyt silnego uczucia rozczarowania. W moim oczarowaniu i w ostatnim najwyższym paroksyzmie rozkoszy wydałem z siebie okrzyk, który powinien był zbudzić całą dzielnicę. No, a potem kompletnie oklapłem. Skurczyłem się jak opróżniony bukłak.

Samantha, jak gdyby wypiła przed chwilą szklankę wody, zwyczajnie odwróciła się ode mnie i od razu z powrotem zasnęła.

Uff!!

Leżałem nieruchomo, powoli odzyskując siły.

Widzicie więc, że miałem jednak rację co do tego drobnego szczegółiku na jej dolnej wardze.

W gruncie rzeczy miałem na ogół rację we wszystkim, co łączyło się z tą niewiarygodną eskapadą. Jakież triumf! Czuję się przyjemnie odprężony i miło wyczerpany.

Zastanawiałem się, która to godzina. Mój zegarek nie miał fosforyzującej tarczy. Musiałem ruszać. Wylazłem z pościeli. Wymacałem, tym razem odrobinę mniej ostrożnie, drogę wokół łóżka, przez drzwi sypialni, wzdłuż korytarza, w dół po schodach i do przedpokoju. Odnalazłem swój płaszcz i pantofle. Włożyłem je. W kieszeni płaszcza miałem latarkę. Zapaliłem ją i odczytałem godzinę na zegarku. Była za osiem druga. Później niż myślałem. Otworzyłem drzwi wejściowe i wyszedłem w czarną noc.

Skupiłem teraz myśli na Jerry. Czy nic mu nie jest? Czy mu się powiodło?

Ruszyłem w ciemnościach do przerwy w żywopłocie.

— Cześć, stary — szepnął głos przy mnie.

— Jerry.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Fantastycznie — odparłem. — Rewelacyjnie. A tobie jak poszło?

— Tak samo — odrzekł. Dostrzegłem w ciemności błysk jego białych zębów, które wyszczerzył do mnie w uśmiechu. — Udało nam się, Vic! — szepnął, dotykając mojej ręki. — Miałeś rację! Sprawdziło się! Było sensacyjnie!

— Do jutra! — szepnąłem. — Idź do domu. Rozstaliśmy się. Przelazłem przez żywopłot

i wszedłem do swojego domu. Trzy minuty później leżałem już bezpiecznie we własnym łóżku, a przy mnie spała mocno moja żona.

Nazajutrz była niedziela. Wstałem o wpół do dziewiątej i — jak zawsze w niedzielę — w piżamie i szlafroku zszedłem na dół, żeby przygotować śniadanie dla całej rodziny. Mary jeszcze spała. Dwóch naszych synków — dziewięcioletni Victor i siedmioletni Wally — było już na dole.

— Cześć, tato — przywitał mnie Wally.

— Mam dla was nowe wspaniałe śniadanie — oznajmiłem.

— Jakie? — spytali jednocześnie. Byli już na mieście i przynieśli niedzielną gazetę, a teraz czytali w niej komiksy.

— Przyrządzimy grzanki z masłem i posmarujemy je dżemem pomarańczowym — powiedziałem.

— A na dżem położymy pasemka chrupiącego bekonu.

— Bekonu?!!! — wykrzyknął Victor. — Z dżemem pomarańczowym?!!!

— Wiem, wiem. Ale zaczekaj, aż spróbujesz. To pyszne.

Nalałem do szklanek soku grejpfrutowego i sam wypilem dwie. Jeszcze jedną postawiłem na stole dla Mary, kiedy zejdzie na dół. Włączyłem czajnik elektryczny, włożyłem chleb do opiekacza i zacząłem smażyć bekon. W tym momencie do kuchni weszła Mary. Na nocną koszulę narzuciła cieniutki szyfonowy szlafroczek o barwie brzoskwini.

— Dzień dobry — powitałem ją, przyglądając jej się przez ramię, kiedy manipulowałem patelnią.

Nie odpowiedziała. Podeszła do krzesła przy kuchennym stole i usiadła. Napila się soku. Nie patrzyła na mnie ani na chłopców. Dalej smażyłem bekon.

— Cześć, mamó — powiedział Wally.

Na jego powitanie również nie odpowiedziała. Od zapachu tłuszczu z bekonu zaczęło mnie mdlić w żołądku.

— Napiałabym się kawy — oświadczyła Mary, nie odwracając głowy. Miała bardzo dziwny głos.

— Już się robi.

Odsunąłem patelnię z palnika, szybko nalałem jej filiżankę czarnej rozpuszczalnej kawy i postawiłem ją przed nią.

— Chłopcy — zwróciła się do dzieci — czy moglibyście poczytać sobie w innym pokoju, zanim śniadanie będzie gotowe?

— My? — spytał Victor. — Dlaczego?

— Bo tak chcę.

— Robimy coś złego? — spytał Wally.

— Nie, skarbie, nie robicie. Chcę tylko zostać na chwilę sama z tatusiem.

Wzdrygnąłem się. Miałem ochotę uciec. Miałem ochotę wypaść przez drzwi, popędzić ulicą i się schować.

— Nalej sobie kawy, Vic, i usiądź — powiedziała. Głos miała bezbarwny. Nie było w nim gniewu. Po prostu nic. A w dodatku jeszcze na mnie nie spojrzała.

Chłopcy wyszli, zabierając ze sobą część gazety z komiksami.

— Zamknijcie drzwi — poleciła im Mary. Wsypałem do filiżanki łyżeczkę sproszkowanej

kawy i zalałem ją wrzątkiem. Dodałem mleka i posłodziłem. Cisza przytłaczała. Podeszedłem do stołu i zająłem miejsce naprzeciwko żony. Miałem wrażenie, jakbym siadał na krześle elektrycznym.

— Posłuchaj, Vic — odezwała się, patrząc w swoją filiżankę z kawą. — Chcę ci to powiedzieć, zanim stchórzę i nie będę w stanie.

— Na miłość boską, a skąd ten dramatyczny ton? — spytałem. — Coś się stało?

— Tak, Vic, stało się.

— Co?

Twarz miała bladą i spokojną, a minę nieobecną, zupełnie nieświadoma tego, że siedzi w kuchni.

— No dalej, wyrzuć to z siebie — zachęciłem ją dzielnie.

— Nie bardzo ci się to spodoba — powiedziała, a spłoszone spojrzenie jej dużych niebieskich oczu zatrzymało się na chwilę na mojej twarzy i umknęło.

— Co mi się nie za bardzo spodoba?

Z samego popłochu spowodowanego sytuacją wywracał mi się żołądek. Poczulem się tak, jak tamci włamywacze, o których powiedzieli mi policjanci.

— Wiesz, że nie znoszę mówić o sprawach łóżkowych i tym podobnych — powiedziała. — Odkąd się pobraliśmy, nie rozmawiałam z tobą ani razu na ten temat.

— To prawda — przyznałem. Łyknęła kawy, nawet jej nie smakując.

— Rzecz w tym, że nigdy tego nie lubiłam — wyznała. — Jeżeli chcesz znać prawdę, nie znosiłam tego.

— Nie znosiłaś czego?

— Seksu — odparła. — Uprawiania seksu.

— Wielki Boże! — mruknąłem z westchnieniem.

— Nigdy nie sprawiało mi to najmniejszej przyjemności.

Już samo to stwierdzenie było dla mnie druzgocące, ale prawdziwie nokautujący cios, byłem tego pewien, miał dopiero nastąpić.

— Przykro mi, jeżeli cię to zaskoczyło — dodała.

Nie mogłem znaleźć żadnej odpowiedzi, więc milczałem.

Podniosła znowu oczy znad filiżanki i spojrzała w moje bacznie, jakby coś rozważała, po czym znów je spuściła.

— I nigdy bym jej nie zaznała, gdyby nie ta noc.

— A co się stało tej nocy? — spytałem bardzo wolno.

— Tej nocy — zaczęła — nagle odkryłam, na czym polega to całe szaleństwo.

— Tak?

Spojrzała prosto na mnie i jej twarz rozkwitła niczym kwiat.

— Tak, na pewno — oświadczyła. Nie poruszyłem się.

— Och, kochany! — zawołała, zrywając się, podbiegając do mnie i namiętnie całując. — Dziękuję ci ogromnie za ostatnią noc! Byłeś cudowny! I ja byłam cudowna! Oboje byliśmy cudowni! Nie krępuj się tak, ukochany! Powinieneś być z siebie dumny! Byłeś fantastyczny! Kocham cię! Kocham! Kocham!

Siedziałem jak skamieniały.

— A teraz... — szepnęła — teraz, kiedy... Nie wiem, jak to wyrazić... teraz, kiedy, że tak powiem, odkryłeś, czego mi naprawdę potrzeba, odtąd wszystko będzie takie *cudowne!*

Ciągle siedziałem jak skamieniały. Wolnym krokiem wróciła na swoje krzesło. Po policzku spływała jej duża łza. Nie umiałem powiedzieć dlaczego.

— Słusznie zrobiłam, że ci o tym powiedziałam, prawda? — spytała, uśmiechając się przez łzy.

— Tak — odparłem. — O tak.

Wstałem i podszedłem do kuchenki, żeby nie patrzeć jej w oczy. Przez okno zobaczyłem Jerry'ego, który z niedzielną gazetą pod pachą szedł przez ogród. W jego chodzie było coś radosnego, jakaś triumfalna taneczność w każdym kroku, a kiedy dotarł do schodków ganku, wbiegł po nich, biorąc po dwa stopnie na raz.

OSTATNI AKT

Kiedy zadzwoniono do drzwi, Anna myła akurat w kuchni główkę sałaty. Dzwonek wisiał na ścianie tuż nad zlewem i jeśli dzwonił, kiedy przypadkiem znajdowała się w pobliżu, nieodmiennie wzdrygała się na jego dźwięk. Właśnie dlatego nie używał go ani jej mąż, ani dzieci. Tym razem zadzwonił wyjątkowo głośno, więc Anna wyjątkowo mocno się wzdrygnęła.

Po otwarciu drzwi ujrzała przed domem dwóch policjantów. Z twarzami bladymi jak воск patrzyli na nią, a ona na nich, czekając, aż się odezwą.

Wpatrywała się w nich, ale stali bez ruchu i bez słowa, nieruchomi i zastygli jak dwie woskowe figury, które ktoś dla żartu umieścił pod jej drzwiami.

Obaj trzymali przed sobą kaski policyjne.

— O co chodzi? — spytała.

Byli młodzi, a na rękach mieli rękawice sięgające łokci. Za ich plecami dostrzegła wielkie motocykle oparte o krawężnik, a wokół motocykli syjące się z drzew liście, pędzone wiatrem po chodniku wyłączonej słońcem uliczki

w to wietrzne wrześnieowe późne popołudnie. Wyższy z policjantów w zakłopotaniu przestąpił z nogi na nogę, a potem cichym głosem spytał:

— Czy pani jest panią Cooper?

— Tak.

— Żoną Edmunda J. Coopera? — spytał drugi.

— Tak — odparła i powoli zaczęło docierać do niej, że ci ludzie, bynajmniej nie śpieszący się z podaniem powodów swej wizyty, nie zachowywaliby się w ten sposób, gdyby nie mieli do spełnienia jakiegoś przykrego obowiązku.

— Pani Cooper — usłyszała głos jednego z nich i po jego tonie, cichym i łagodnym, jakim pociesza się chore dziecko, natychmiast poznała, że policjant zamierza jej oznajmić coś straszego. Nagle ogarnął ją popłoch.

— Co się stało? — spytała.

— Pani Cooper, przypadł nam obowiązek zawiadomienia pani...

Policjant urwał, a wpatrująca się w niego Anna miała wrażenie, jakby pod skórą jej ciało zaczęło się kurczyć, kurczyć, kurczyć....

— ...że pani mąż miał dziś po południu około godziny siedemnastej czterdzieści pięć wypadek na Hudson River Parkway i zmarł w karetce...

Policjant wyjął portfel z krokodyłowej skóry, który podarowała Edowi w dniu dwudziestej rocznicy ich ślubu, dwa lata temu, i kiedy wyciągała po niego rękę, przyszło jej na myśl, że spoczywając jeszcze tak niedawno na piersi męża, zachował ciepło jego ciała.

— Jeżeli możemy w czymś dopomóc — ciągnął policjant — na przykład, zadzwonić do kogoś, żeby przyszedł... do znajomego albo może krewnego...

Anna słyszała, jak jego głos odplywa, a potem całkiem milknie, i zapewne

właśnie wtedy zaczęła krzyczeć. Niebawem wpadła w histerię, tak że dwaj policjanci mieli ręce pełne roboty z powstrzymaniem jej aż do przyjazdu lekarza, który przyjechał po czterdziestu minutach i wstrzyknął jej w rękę jakiś środek.

Jednakże nazajutrz, kiedy się obudziła, jej stan bynajmniej się nie poprawił. Ani lekarz, ani dzieci nie byli w stanie przemówić jej do rozumu i gdyby przez kilka następnych dni nie szpikowano jej niemal bez przerwy środkami uspokajającymi, z pewnością odebrałaby sobie życie. W krótkich nawrotach przytomności, pomiędzy jedną dawką lekarstw a drugą, zachowywała się niepoczytalnie, wykrzykując imię zmarłego męża i zapewniając, że połączy się z nim najszybciej jak będzie mogła. Strach było jej słuchać. Ale na obronę jej zachowania trzeba od razu powiedzieć, że utraciła niezwyklego męża.

Anna Greenwood wyszła za Eda Coopera, kiedy oboje mieli po osiemnaście lat, a z biegiem czasu stali się sobie bliscy i uzależnili od siebie bardziej, niż to mogą wyrazić słowa. Z każdym upływającym rokiem kochali się coraz mocniej i zachłanniej, aż w końcu doszli do takich szczytów niedorzeczności, że niemal nie byli w stanie znieść codziennej rozłąki, której przyczyną były poranne odjazdy Eda do biura. Kiedy wieczorem wracał z pracy, pędził przez dom szukając jej, ona zaś słysząc trzask zamykanych drzwi wejściowych rzucała wszystko i równocześnie z mężem wybiegała mu naprzeciwko i gnając na oślep, w pełnym pędzie spotykała go w połowie schodów, na podeście albo też pomiędzy kuchnią a korytarzem. A kiedy już się spotkali, brał ją w ramiona, przytulał i całował przez kilka minut, tak jakby wczoraj

brał z nią ślub. Było to cudowne. Było to tak bez reszty niewiarygodnie cudowne, że niemal w pełni tłumaczyło fakt, dlaczego nie pragnęła i nie miała najmniejszej ochoty żyć dłużej w świecie, w którym nie było już jej męża.

Trójka dzieci, Angela (lat dwadzieścia), Mary (lat dziewiętnaście) i Billy (lat siedemnaście i pół) nie odstępowała jej od początku tej katastrofy ani na chwilę. Uwielbiali matkę i na pewno nie mieli najmniejszego zamiaru dopuścić do tego, żeby odebrała sobie życie. Z rozpaczliwym oddaniem usilnie starali się przekonać ją, że warto dalej żyć, i tylko dzięki swoim dzieciom udało jej się w końcu otrząsnąć z potwornej rozpacz i powoli wrócić do normalnego świata.

W cztery miesiące po owej katastrofie lekarze orzekli, że Anna jest „w miarę bezpieczna”, mogła więc powrócić, chociaż w stanie dość dużej apatii, do poprzedniego trybu życia — prowadzenia domu, robienia zakupów i gotowania dla swoich dorosłych dzieci.

Lecz co się wydarzyło potem?

Nim jeszcze śniegi tej zimy stopniały, Angela wyszła za mąż za młodego człowieka z Rhode Island i wyjechała, żeby zamieszkać na przedmieściach Providence.

W kilka miesięcy później Mary poślubiła jasnowłosego olbrzyma z miasta Slayton w Minnesocie i odfrunęła na zawsze, na zawsze, na zawsze. Wprawdzie Annie serce znów zaczęło pękać na kawałeczki, ale cieszyło ją, że żadna z jej córek nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje w jej duszy. „Och, mamusiu, czy to nie cudowne?!”, „Tak, kochanie, moim zdaniem to

najpiękniejsze wesele na świecie! Jestem bardziej przejęta niż ty!” itd., itp.

No a potem, na domiar wszystkiego, jej ukochany Billy, który właśnie skończył osiemnaście lat, odjechał na pierwszy rok studiów w Yale.

I tak oto nagle Anna znalazła się sama jak palec w całkiem pustym domu.

To okropne uczucie — po dwudziestu trzech latach wypełnionego gwarem i zajęciami, cudownego, rodzinnego życia— schodzić rankiem z góry na śniadanie, siedzieć samotnie w milczeniu z filiżanką kawy i grzanką przy stole i zastanawiać się, czym sobie wypełnić dzień, który jest przed tobą.

W pokoju, gdzie siedzisz, który słyszał tyle śmiechu, oglądał tyle obchodzonych urodzin, tyle choinek na Boże Narodzenie, tyle odpakowanych prezentów, panuje teraz cisza i zionie chłodem. Powietrze jest ciepłe, temperatura normalna, ale pomieszczenie to przyprawia cię o dreszcze. Zegar zatrzymał się, bo przecież to nie ty go nakręcałaś. Fotel przechyla się na jedną stronę, a ty siedzisz wpatrując się w niego i zastanawiasz, dlaczego nie zauważyłaś tego wcześniej. Kiedy zaś ponownie podnosisz wzrok, ogarnia cię paniczne uczucie, że kiedy patrzysz na ściany w tym pokoju, to wszystkie cztery zaczynają bardzo, bardzo wolno posuwać się w twoją stronę.

Początkowo szła z filiżanką kawy do telefonu i wydzwaniała do znajomych. Ale wszystkie jej przyjaciółki miały mężów i dzieci, więc chociaż zawsze były wobec niej miłe, serdeczne i pogodne jak tylko można, to najzwyczajniej w świecie nie mogły z samego rana poświęcać całego czasu na pogaduszki z osamotnioną sąsiadką z naprzeciwka. Zaczęła więc zamiast tego wydzwaniać do swoich córek.

One również zawsze były wobec niej miłe i serdeczne, ale Anna bardzo szybko wyczuła ledwo uchwytną zmianę w ich stosunku do niej. Przestała być w ich życiu najważniejszą osobą. Miały w tej chwili mężów i całe ich życie kręciło się wokół nich. Łagodnie, ale stanowczo zaczęły odsuwać matkę na dalszy plan. Był to dla niej nie lada wstrząs. Wiedziała jednak, że robią słusznie. Że mają całkowitą rację. Nie miała dłużej prawa wtrącać się w ich życie albo zaszczepiać w nich poczucia winy, że ją zaniedbują.

Regularnie odwiedzała doktora Jacobsa, ale na dobrą sprawę w niczym jej nie pomógł. Próbował nakłonić ją do zwierzeń i starała się jak tylko mogła, czasem zaś wygłaszał do niej krótkie mowy pełne niewyraźnych aluzji na temat seksu i sublimacji uczuć. Nigdy jednak nie pojęła do końca, czego od niej chce, niemniej sednem jego wywodów było chyba to, że powinna sobie znaleźć innego mężczyznę.

Nabrała zwyczaju, żeby snuć się po domu i dotykać rzeczy, które należały do Eda. Brała jeden z jego butów, wkładała dłoń do środka i wodziła palcami po płytkich zagłębieniach w wyściółce, które pozostawiły tam jego pięta i palce. Raz znalazła dziurawą skarpetkę i jej zacerowanie sprawiło jej niewymowną przyjemność. Czasem wyjmowała jakąś koszulę, krawat, garnitur i kładła je na łóżku, przygotowane dla niego, żeby je włożył, a kiedyś, pewnego deszczowego niedzielnego ranka, udusiła baraninę z warzywami...

Takie życie nie miało sensu.

Ile zatem pigułek musiałaby połknąć, żeby tym razem mieć absolutną pewność? Poszła na górę do swojego sekretnego schowka i policzyła je. Było ich tylko dziewięć. Czy to wystarczy? Wątpiła. A bodaj to wszyscy diabli!

Jednego nie chciała przeżyć drugi raz — niepowodzenia: pośpiesznej jazdy do szpitala, płukania żołądka, pobytu na siódmym piętrze w pawilonie Payne'a Whitneya, psychiatrów, upokorzenia, całej tej udręki...

Wobec tego musiała posłużyć się żyłką. Zrobienie tego żyłką było jednak o tyle niedogodne, że należało to wykonać dokładnie. Wiele osób próbujących przeciąć sobie żyłką przegub zawodziło z kretesem. Prawdę mówiąc, większość. Nie przecinali go sobie wystarczająco głęboko. Kryła się gdzieś w nim gruba arteria, do której koniecznie trzeba było się dostać. Żyły się do tego celu nie nadawały. Kłopotów z nimi było wiele, ale wyniki nigdy pożądane. A poza tym jeżeli chce się coś naciąć mocno i wbić bardzo, bardzo głęboko, aż do skutku, to żyłkę nie jest łatwo utrzymać w ręce. Ona jednak nie mogła zawieść. Ci, którym się to nie udało, pragnęli skrycie niepowodzenia. Anna natomiast chciała, żeby jej się powiodło.

Poszła do szafki w łazience, żeby poszukać żyłek. Nie było ani jednej. Nadal leżała tam maszynka Eda, a także jej własna maszynka do golenia nóg. Ale w żadnej nie było żyłki, a obok nich żadnej małej paczuszki z zapasowymi żyłkami. Wcale jej to nie zdziwiło. Takie przedmioty jak żyłki usunięto z domu przy pierwszej sposobności. Ale nie stanowiło to najmniejszego problemu. Każdy przecież mógł kupić paczkę żyłek.

Wróciła do kuchni i zdjęła ze ściany kalendarz. Wybrała dzień 25 września, w którym wypadały urodziny Eda, i napisała przy tej dacie „ż” (oznaczające „żyłki”). Zrobiła to 9 września, a więc miała dokładnie dwa tygodnie swobody na doprowadzenie *do* porządku swoich spraw. Było ich wiele — stare rachunki do zapłacenia, spisanie nowego testamentu, wysprzątanie

domu, uregulowanie opłat za cztery następne lata studiów Billy'ego, napisanie listów do dzieci, do rodziców, do matki Eda, i tak dalej, i temu podobne.

A jednak pomimo tylu zajęć uznała, że te dwa tygodnie, te czternaście długich dni, wloką się stanowczo zbyt wolno jak na jej gust. Pragnęła użyć żyletki i skwapliwie liczyła dni, jakie jej jeszcze pozostały. Przypominała dziecko odliczające dni brakujące do świąt Bożego Narodzenia. Bo dokądkolwiek trafił po śmierci Ed Cooper, nawet jeśli był to tylko jego własny grób, pilno jej było się z nim połączyć.

Mniej więcej w połowie tego dwutygodniowego okresu zdarzyło się, że któregoś dnia o wpół do dziewiątej wpadła do niej znajoma, Elizabeth Paoietti. Anna właśnie parzyła sobie w kuchni kawę, więc wzdrygnęła się na dźwięk dzwonka, po czym wzdrygnęła się drugi raz na jego powtórny przeciągły brzęk.

Przez drzwi wejściowe wkroczyła energicznie Liza, jak zwykle ani na chwilę nie zamykając ust.

— Anno, kobieto droga, potrzebuję twojej pomocy. W biurze wszyscy zachorowali na gripę. Musisz przyjść! Bez dyskusji! Wiem, że umiesz pisać na maszynie, wiem też, że przez cały boży dzień nie robisz nic, tylko siedzisz i uzalasz się nad sobą. Łap kapelusz, torebkę i jedziemy. Szybciej. Pośpiesz się, dziewczyno, pośpiesz się! Już jestem spóźniona!

— Jedź, Lizo — powiedziała Anna. — Daj mi spokój.

— Taksówka czeka — dodała Liza.

— Tylko proszę, nie próbuj mnie do tego zmuszać. Nie jadę.

— Jedziesz — oświadczyła Liza. — Weź się w garść. Koniec z tym robieniem z siebie męczennicy.

Anna nadal odmawiała, ale Liza złamała jej opór, tak że w końcu zgodziła się pojechać tylko na kilka godzin.

Elizabeth Paoletti kierowała towarzystwem adopcyjnym, najlepszym w mieście. Dziewięcioro osób z personelu zachorowało na gripę. Oprócz niej, pozostały jedynie dwie.

— Możesz się nic nie znać na tej pracy — oświadczyła w taksówce — ale pomożesz nam na tyle, na ile będziesz mogła...

W biurze zastały dom wariatów. Już same telefony o mało co nie doprowadziły Anny do szaleństwa. Biegała od jednego pomieszczenia do drugiego, przyjmując informacje, których nie rozumiała. A w poczekalni siedziały dziewczęta, młode dziewczęta o zastygłych poszarzałych twarzach, jej zaś przypadło w obowiązku wpisywanie do formularzy ich odpowiedzi.

— Nazwisko ojca?

— Nie znam.

— Nie wiesz kto to jest?

— A co wspólnego ma z tym nazwisko ojca?

— Moja droga, jeżeli ojciec dziecka jest znany, to zanim przeznaczy się je do adopcji, trzeba uzyskać zarówno twoją zgodę, jak i jego.

— Jest pani tego pewna?

— O mój Boże, *przecież* mówię, tak czy nie? W porze lunchu ktoś przyniósł jej kanapkę, ale nie miała czasu jej zjeść. O dziewiątej wieczorem wyczerpana, umierająca z głodu i wstrząśnięta nowo poznanymi faktami, o

których dotąd nie miała pojęcia, Anna dotarła do domu, napiła się czegoś mocniejszego, usmażyła sobie jajka na bekonie i poszła spać.

— Wpadnę do ciebie jutro o ósmej rano — zapowiedziała Liza. — Więc na miłość boską, bądź gotowa.

Anna była gotowa. I od tamtego dnia wpadła w wir pracy.

Najzwyczajniej w świecie.

Od samego początku potrzeba jej było tylko jakiegoś ciężkiego absorbującego zajęcia i masy problemów do rozwiązania — problemów cudzych, a nie własnych.

Praca ta była uciążliwa i bardzo często przyprawiająca o głębokie wstrząsy, ale Anna oddała się jej całą duszą, tak że po mniej więcej — dokonujemy tu skoku w czasie — po mniej więcej półtora roku znów poczuła się w miarę szczęśliwa. Coraz trudniej było jej odtworzyć w myślach żywy obraz męża, wyobrazić sobie dokładnie jak wyglądał, gdy wbiegał po schodach, żeby ją powitać, albo kiedy wieczorem po kolacji siedział naprzeciwko niej. Nie tak łatwo było jej przypomnieć sobie, jak dokładnie brzmiał jego głos, i nawet jego twarz, jeśli nie spojrziała wpierw na fotografię, nie rysowała się już tak wyraźnie w jej pamięci. W dalszym ciągu myślała o nim bez przerwy, lecz spostrzegła, że może już to robić nie zalewając się przy tym łzami, a kiedy myślała o tym, jak zachowywała się jeszcze tak niedawno, ogarniało ją lekkie zakłopotanie. Zaczęła znów przywiązywać pewną wagę do swoich strojów i fryzury, ponownie używać szminki i golić nogi. Jedzenie sprawiało jej przyjemność, a kiedy ludzie uśmiechali się do niej, odwzajemniała im się uśmiechami, i to szczerze. Innymi słowy, odżyła. I cieszyła się z tego.

Właśnie wtedy musiała pojechać do Dalks w sprawach służbowych.

Działalność biura Lizy zwykle nie wykraczała poza granice stanu, w tym jednak przypadku małżeństwo, które zaadoptowało dziecko za pośrednictwem jej agencji, po tym fakcie przeniosło się z Nowego Jorku i zamieszkało w Teksasie. Obecnie, w pięć miesięcy po tych przenosinach, przybrana matka napisała, że nie chce dłużej wychowywać zaadoptowanego dziecka. Jej mąż, oznajmiła, zmarł na atak serca wkrótce po ich przyjeździe do Teksasu. Ona zaś prawie natychmiast potem wzięła ślub, a jej nowy małżonek „doszedł do wniosku, że nie zdoła zaakceptować zaadoptowanego dziecka...”.

Sytuacja była poważna i niezależnie od dobra dziecka, w grę wchodziły najrozmaitsze kwestie prawne.

Anna poleciała do Dallas samolotem, który bardzo wcześnie wystartował z Nowego Jorku, i przybyła na miejsce przed śniadaniem. Po zameldowaniu się w hotelu następnym osiem godzin spędziła w towarzystwie osób związanych ze sprawą adopcji i kiedy wreszcie załatwiła wszystko, co mogła tego dnia załatwić, było już wpół do piątej, ona zaś czuła się kompletnie wykończona. Wróciła taksówką do hotelu i windą wjechała na górę do swojego pokoju. Zadzwoiła do Lizy, informując ją o sytuacji, a potem rozebrała się i dłuższy czas moczyła w wannie z gorącą wodą. Później zaś, owinięta ręcznikiem, leżała paląc papierosa.

Jej starania w sprawie adoptowanego dziecka na razie nic nie dały. Napotkała na dwóch adwokatów, którzy potraktowali ją całkowicie per noga. Jakże ich za to nienawidziła. Mierzyła ją ich arogancja, cichym głosem wypowiedane

aluzje, że bez względu na to co zrobi, dla ich klientki nie ma to najmniejszego znaczenia. Jeden z nich przez cały czas trwania dyskusji trzymał nogi na stole, obaj mieli na brzuchach wałki tłuszczu, który wypełniał im koszule niczym płyn i przelewając się ponad paskami spodni, zwisał grubymi fałdami. Anna odwiedzała Teksas już przedtem wiele razy, ale nigdy jeszcze nie była tutaj sama. Zawsze przyjeżdżała z Edem, towarzysząc mu w podróżach służbowych. Często wymieniali wówczas ogólne uwagi na temat Teksańczyków i tego, jak trudno jest ich lubić. Można było przymykać oko na ich nieokrzesanie i gruboskórność. Jednakże wśród tych ludzi przetrwała, jak się zdaje, cecha bezwzględności, jakaś wielka brutalność, szorstkość, zaciętość, z którymi nie sposób się pogodzić. Brakowało im zupełnie współczucia, litości, wrażliwości. Jedyłą ich zaletą, jeżeli tak to można nazwać, z którą ostentacyjnie się obnosili i okazywali wszystkim, była wystudiowana dobroduszość. Dosłownie tchnęli nią od stóp do głów. Ich głosy, ich uśmiechy były aż gęste od niej. Ale ona reagowała na to z rezerwą. W głębi duszy reagowała na to z bardzo dużą rezerwą.

— Dlaczego oni tak lubują się w okazywaniu bezwzględności? — wciąż pytała Eda.

— Bo są dziećmi — odpowiadał Ed. — Są niebezpiecznymi dziećmi, którym bardzo zależy na naśladowaniu swoich dziadów. Ich dziadowie byli naturalnie pionierami. Oni zaś nimi nie są.

Wydawało się, że oni, ci współcześni Teksańczycy, kierują się w życiu egoistyczną wolą, pchają się i są popychani przez innych. W zgodzie z regułą: wszyscy się pchają, pchaj się i ty. Nawet jeżeli znalazł się ktoś, kto

stanął z boku i oznajmił: „Nie będę się pchał i nie dam się popychać”, to było to niewykonalne. Niewykonalne zwłaszcza w Dallas. Ze wszystkich miast w tym stanie Dallas było tym, które niepokoiło Annę najbardziej. To takie bezbożne miasto, myślała, takie bezbożne, drapieżne, zdeterminowane. Było to miejsce, które oszalało na punkcie swoich pieniędzy i żadna ilość blichtru, rzekomej kultury ani gładkich słówek nie były w stanie ukryć prawdy, że ten wielki złoty owoc gnije od środka.

Owinięta w kąpielowy ręcznik Anna położyła się na łóżku. Tym razem była w Dallas sama. Nie miała przy sobie Eda, który otoczyłby ją swoją niesłychaną mocą i miłością. I być może dlatego właśnie nagle ogarnął ją lekki niepokój. Zapaliła papierosa i czekała, aż uczucie to minie. Ale nie minęło, nasiliło się. Gdzieś w górnej części żołądka zaczął jej się zaciskać twardy węzełek strachu i pozostał już tam, rosnąc z każdą minutą. Było to bardzo niemiłe doznanie z gatunku tych, których można doświadczyć, kiedy jest się samemu w pustym domu nocą i słyszy się — albo wyobraża sobie, że się słyszy — kroki w sąsiednim pokoju.

Tutaj kroków było milion i słyszała je wszystkie.

Wstała z łóżka i nadal owinięta ręcznikiem, podeszła do okna. Jej pokój znajdował się na dwudziestym piętrze, a okno było otwarte. W dole pod nią rozpościerało się wielkie miasto, blade i mlecznobiałe w wieczornym słońcu. Ulica była nabita samochodami. Chodnik pełen ludzi. Wszyscy śpieszyli z pracy do domów, popychając innych i sami będąc popychani. Poczła nagle potrzebę zobaczenia kogoś znajomego. Zapragnęła w tej chwili gwałtownie z kimś porozmawiać. Z chęcią odwiedziłaby czyjś dom, dom, w którym

mieszka rodzina — żona, mąż, dzieci — a pokoje są pełne zabawek. Mąż i żona wzięliby ją w objęcia w drzwiach domu i zawołali:

— Anno! Jak cudownie znowu cię widzieć! Na jak długo zostaniesz? Tydzień, miesiąc, rok?

I nagle, jak to się często zdarza w podobnych razach, w jej pamięci odblokowała się jakaś klapka i Anna powiedziała na głos:

— Conrad Krueger! Boże święty! Przecież on mieszka w Dallas... a przynajmniej mieszkał...

Nie widziała Conrada od czasów, gdy chodzili do jednej klasy gimnazjum w Nowym Jorku. Mieli wtedy oboje po mniej więcej siedemnaście lat i Conrad był jej sympatią, miłością, wszystkim. Po ponad roku chodzenia ze sobą zaprzysięgli sobie nawzajem wierność aż po grób oraz w bliskiej przyszłości małżeństwo. A potem nagle w jej życie wtargnął jak burza Ed Cooper, co oczywiście zakończyło jej romans z Conradem. Ich zerwanie nie było chyba dla Conrada wielkim ciosem. Z pewnością nie załamało go, ponieważ najwyżej w miesiąc albo dwa potem związał się mocno z inną dziewczyną z ich klasy...

Jak też ona się nazywała?

Była wysoką ładną dziewczyną z dużym biustem, ognistorudymi włosami i nosiła osobliwe, bardzo staroświeckie imię. Jak ono brzmiało? Arabella? Nie, nie Arabella. Niemniej jakaś Ara... Araminta? Tak jest! Araminta! A co więcej, w jakiś rok potem Conrad Krueger poślubił Aramintę i zabrał ją ze sobą z powrotem do Dallas, gdzie się urodził.

Anna podeszła do stolika przy łóżku i wzięła książkę telefoniczną.

Figurował w niej „Krueger Conrad P., dr med.”

To był z pewnością on. Zawsze mówił, że zostanie lekarzem. Książka podawała numer jego gabinetu lekarskiego i numer domowy.

Czy powinna do niego zadzwonić?

A dlaczego nie?

Spojrzała na zegarek. Była za dwadzieścia piąta. Wzięła słuchawkę i podała centrali hotelowej numer jego gabinetu.

— Gabinet doktora Kruegera — odezwał się dziewczęcy głos.

— Halo — powiedziała Anna. — Czy zastałam doktora Kruegera?

— Doktor jest w tej chwili zajęty. Wolno spytać kto dzwoni?

— Proszę mu przekazać, że dzwoniła Anna Greenwood.

— Kto?

— Anna Greenwood.

— Tak jest, panno Greenwood. Czy mam panią zapisać na wizytę?

— Nie, dziękuję.

— Czy mogę być w czymś pomocna?

Anna podała jej nazwę hotelu i poprosiła o przekazanie jej doktorowi Kruegerowi.

— Z przyjemnością — odparła sekretarka. — Do widzenia, panno Greenwood.

— Do widzenia — odpowiedziała Anna. Zastanawiała się, czy doktor Conrad P. Krueger pamięta po tylu latach jej nazwisko. Była przekonana, że tak. Położyła się znów na łóżku i próbowała przypomnieć sobie, jak wyglądał. Był wyjątkowo przystojny. Wysoki... szczupły... barczysty... miał niemal

kruczoczarne włosy... i zadziwiającą twarz... twarz o rzeźbionych rysach, przywodzącą na myśl któregoś z greckich herosów, Perseusza albo Ulissesa. Jednakże przede wszystkim był bardzo delikatnym chłopcem, delikatnym, poważnym, przyzwoitym i spokojnym. Nigdy jej wiele nie całował, tylko kiedy się z nią zegnał wieczorami. I nigdy też jej nie obściskiwał, jak robili to wszyscy pozostali chłopcy. Kiedy w sobotę wieczorem odwoził ją po kinie do domu, to zwykle zatrzymywał swojego starego buicka przed jej domem i siedział w samochodzie obok niej, tylko rozprawiając wciąż i rozprawiając o przyszłości, wspólnej przyszłości razem z nią, i o tym, że zamierza powrócić do Dallas, żeby zostać lekarzem. To, że zrezygnował z pieścizot i innych głupstw, które szły z tym w parze, wywarło na niej ogromne wrażenie. Szanuje mnie, powtarzała sobie. Kocha. I prawdopodobnie się nie myliła. W każdym razie

był miłym chłopcem, miłym i dobrym. I gdyby nie fakt, że Ed Cooper był supermiłym, superdobrym chłopcem, to na pewno poślubiłaby Conrada Kruegera.

Zadzwonił telefon. Anna podniosła słuchawkę.

— Tak — powiedziała. — Halo?

— Anna Greenwood?

— Conrad Krueger!

— Moja droga Anno! Co za fantastyczna niespodzianka. Jak słowo daję! Kopę lat.

— Szmat czasu, co?

— Całe życie. Głos nic ci się nie zmienił.

— Tobie też.

— Co cię sprowadza do naszego pięknego miasta? Na długo przyjechałaś?

— Nie, jutro muszę wracać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że zadzwoniłam.

— Ale gdzież tam, Anno. Bardzo się cieszę. U ciebie wszystko w porządku?

— Tak, wszystko dobrze. Już dobrze. Przez jakiś czas ciężko przeżywałam śmierć Eda...

— Co takiego?!

— Zginął w katastrofie samochodowej dwa i pół roku temu.

— Ojej, Anno, tak mi przykro. To straszne. Ja... nie wiem, co powiedzieć...

— Nic nie mów.

— Czujesz się już dobrze?

— Doskonale. Tyram jak niewolnica...

— Brawo...

— A jak... jak tam Araminta?

— O, wspaniale.

— Macie dzieci?

— Jedno — odparł. — Chłopca. A ty?

— Ja mam troje, dwie dziewczynki i chłopca.

— No, no, kto by się spodziewał! Posłuchaj, Anno...

— Słucham.

— Może bym tak podjechał do twojego hotelu i zaprosił cię na kieliszek? Bardzo bym chciał. Założę się, że nie zmieniłaś się ani na jotę.

— Zestarzałam się, Conradzie.

— Kłamiesz.

— W dodatku czuję się staro.

— Potrzeba ci dobrego lekarza?

— Tak. To znaczy, nie. Naturalnie, że nie. Mam już dość lekarzy. Potrzeba mi tylko... no cóż...

— Tak ?

— To miasto mnie stresuje, Conradzie. Chyba potrzebuję towarzystwa kogoś znajomego. Nic poza tym.

— Masz kogoś takiego. Muszę jeszcze przyjąć jedną pacjentkę i jestem wolny. Spotkamy się na dole, w barze, w sali jakiejś tam, zapomniałem nazwy, o szóstej, za mniej więcej pół godziny. To ci odpowiada?

— Tak — odrzekła. — Oczywiście. I... dziękuję ci, Conradzie.

Odłożyła słuchawkę, a potem wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

Była lekko podniecona. Od śmierci Eda nie była jeszcze ani razu w lokalu na randce z mężczyzną. Wiedziała, że doktor Jacobs z pewnością ucieszy się, kiedy mu o rym powie po powrocie. Wprawdzie nie pogratuluje jej z całych sił, ale ucieszy się na pewno. Powie, że to krok we właściwym kierunku, początek. Regularnie chodziła do niego na wizyty i obecnie, kiedy jej stan psychiczny uległ takiej poprawie, jego niewyraźne aluzje stały się przejrzystsze i już nie jeden raz wspominał jej, że depresje i skłonności samobójcze nigdy u niej całkowicie nie znikną, dopóki rzeczywiście i fizycznie nie „zastąpi” Eda drugim mężczyzną.

— Przecież nie da się zastąpić osoby, którą się kochało do szaleństwa — odparła mu ostatnim razem, kiedy poruszył ten temat. — Mój Boże, panie

doktorze, kiedy w zeszłym miesiącu zdechła papuga pani Crumlin-Brown, proszę zważyć, zwykła papuga, a nie mąż, był to dla niej tak wielki cios, że przysięgła sobie, że nigdy już nie będzie miała ptaka!

— Pani Cooper — odrzekł doktor Jacobs — nikt normalny nie może utrzymywać stosunków seksualnych z papugą.

— No... nie...

— Właśnie dlatego papugi nie da się zastąpić. Ale kiedy umiera mąż, a żona, która go przeżyła, pozostaje aktywną, pełną wigoru, zdrową kobietą, to w ciągu trzech lat nieodmiennie znajduje sobie, jeżeli tylko może, następcę męża. I vice versa.

Seks. Lekarzom takiego pokroju tylko to było w głowie. Ten miał tylko seks. Zanim Anna ubrała się i zjechała windą na dół, zrobiło się dziesięć po szóstej. W chwili gdy weszła do baru, od jednego ze stolików wstał mężczyzna. Był to Conrad. Musiał obserwować wejście. Przeszedł przez bar, żeby ją przywitać. Uśmiechał się nerwowo. Anna też się uśmiechała. Ludzie w takich sytuacjach zawsze się uśmiechają.

— No, no — powiedział. — No, no, no.

Spodziewając się zwyczajowego całusa w policzek, nadstawiła twarz w górę ku niemu, wciąż się uśmiechając. Zapomniała jednak, jak bardzo jest formalny. Tylko ujął jej rękę i uścisnął — raz.

— Co za niespodzianka — powiedział. — Chodź, usiądźmy.

Bar był taki sam jak wszystkie hotelowe bary z wyszynkiem. Tonął w przyćmionym świetle i wypełniały go małe stoliki. Na każdym stał talerzyk z orzeszkami ziemnymi, a dokoła przy ścianach biegły obite skórą kanapki.

Kelnerzy wystrojeni byli w białe marynarki i kasztanowe spodnie. Conrad zaprowadził Annę do stolika w kącie sali i usiedli tam twarzami do siebie. Natychmiast pojawił się przy nich kelner.

— Czego się napijesz? — spytał Conrad.

— Mogę martini?

— Oczywiście. Z wódką?

— Nie, proszę z ginem.

— Jedno martini z ginem — powiedział Conrad do kelnera. — Nie. Niech będą dwa. Nigdy za dużo nie piłem, Anno, jak zapewne pamiętasz, ale chyba jest co uczcić.

Kelner odszedł. Conrad usiadł wygodnie na krześle i uważnie przyjrzał się Annie.

— Bardzo dobrze wyglądasz — orzekł.

— Ty też bardzo dobrze wyglądasz, Conradzie

— odparła.

I rzeczywiście. Zdumiewające, jak mało się postarzał przez te dwadzieścia pięć lat. Był równie szczupły i przystojny jak dawniej, prawdę mówiąc, jeszcze bardziej wyszczuplał i wyprzystojniał. Czarne włosy miał nadal czarne, wzrok bystry i w ogóle wyglądał najwyżej na trzydziestolatka.

— Jesteś starsza ode mnie, prawda? — spytał.

— A cóż to za pytanie? — odparła ze śmiechem.

— Tak, Conradzie, jestem dokładnie rok starsza od ciebie. Mam czterdzieści dwa lata.

— Tak też myślałem.

W dalszym ciągu przypatrywał się jej z najwyższą uwagą, wędrując oczami po jej twarzy, szyi i ramionach. Anna poczuła, że się rumieni.

— Czy odniosłeś sukces i jesteś bardzo wziętym lekarzem? — spytała. — Najlepszym w mieście?

Przechylił głowę w bok, w prawo, tak że uchem prawie dotykał barku. Anna zawsze lubiła tę jego manierę.

— Sukces? W dzisiejszych czasach sukces może odnieść każdy lekarz, mówię o sukcesie finansowym. Ale kwestia, czy jestem pierwszorzędnym fachowcem w swojej dziedzinie czy też nie, to oddzielna sprawa. Mogę tylko mieć nadzieję, że jestem najlepszy.

Kelner przyniósł zamówione trunki. Conrad uniósł swoją szklankę i powiedział:

— Witaj w Dallas, Anno. Tak się cieszę, że zadzwoniłaś. Miło cię znowu widzieć.

— Mnie również miło cię widzieć, Conradzie — odparła zgodnie z prawdą. Spojrzał na jej szklankę. Pociągnęła już pierwszy duży łyk i opróżniła ją do połowy.

— Wolisz gin od wódki? — spytał.

— A tak, owszem — odparła.

— Powinnaś zmienić to upodobanie.

— Dlaczego?

— Bo gin nie jest dobry dla kobiet.

— Nie?

— Bardzo im szkodzi.

— Jestem pewna, że tak samo mocno szkodzi mężczyznom — powiedziała.

— W rzeczywistości, nie. Mężczyznom nie szkodzi nawet w drobnej części tak jak kobietom.

— A dlaczego tak szkodzi kobietom?

— Bo po prostu szkodzi — odparł. — Wiąże się to z budową ich ciała. Czym się zajmujesz, Anno? I co cię sprowadza do Dallas? Opowiedz mi o sobie.

— Dlaczego gin szkodzi kobietom? — powtórzyła pytanie, uśmiechając się do niego.

Odwzajemnił się jej uśmiechem i pokręcił głową, ale nie odpowiedział.

— No, powiedz — zachęciła.

— Nie, zostawmy ten temat.

— Nie wolno ci trzymać mnie w takiej niepewności — powiedziała. — To nieuczciwe.

— No cóż — odezwał się po chwili milczenia — jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, to w ginie znajduje się pewna ilość olejku, który wyciska się z jagód jałowca. Przyprawiają nim alkohol dla nadania mu smaku i zapachu.

— A co takiego on robi?

— Dużo.

— No owszem, ale co?

— Straszne rzeczy.

— Conradzie, nie obawiaj się. Ja już jestem dorosła.

Przyszło jej na myśl, że wciąż jest tym samym dawnym Conradem, nadal tak samo nieśmiałym, pełnym skrupułów i bojaźliwym jak dawniej. Za to właśnie go lubiła.

— Jeżeli ten koktajl naprawdę tak strasznie szkodzi, *to* nieładnie z twojej strony, że nie chcesz powiedzieć, w jaki konkretnie sposób.

Delikatnie zacisnął kciuk i palec wskazujący prawej dłoni na płatkę lewego ucha, a potem rzekł:

— No więc, prawda wygląda tak, że olejek z jałowca przyczynia się bezpośrednio do stanów zapalnych macicy.

— Co ty opowiadasz!

— Ja nie żartuję.

— Zgroza matek — powiedziała Anna. — To przecież babskie gadanie.

— Niestety, nie.

— Ale ty mówisz o kobietach w ciąży.

— Mówię o wszystkich kobietach, Anno. Conrad przestał się uśmiechać i mówił z całą

powagą. Sprawiał wrażenie, że zależy mu na jej dobru.

— W czym się specjalizujesz? — spytała. — W jakiej gałęzi medycyny? Jeszcze mi nie powiedziałeś.

— W ginekologii i położnictwie.

— Aha!

— Czy gin pijesz od wielu lat? — spytał.

— Och, może od dwudziestu — odparła Anna.

— Dużo?

— Na miłość boską, Conradzie, przestań się przejmować moim organizmem. Zamów dla mnie, proszę, jeszcze jedno martini.

— Oczywiście

Conrad przywołał kelnera i powiedział:

— Jeszcze jedno martini z wódką.

— Nie — sprzeciwiła się Anna. — Z ginem. Westchnął i pokręcił głową.

— W dzisiejszych czasach nikt już nie słucha się lekarzy — rzekł.

— Nie jesteś moim lekarzem.

— Nie — przyznał. — Jestem twoim przyjacielem.

— Porozmawiajmy o twojej żonie — zaproponowała. — W dalszym ciągu jest taka piękna?

Odczekał kilka chwil, zanim odpowiedział.

— Prawdę mówiąc, rozwiedliśmy się — rzekł.

— Och, nie!

— Nasze małżeństwo trwało w sumie dwa lata. I nawet tyle bardzo trudno było je utrzymać.

Z jakiegoś powodu Annę bardzo mocno poruszyła ta wiadomość.

— Ale przecież to była taka piękna dziewczyna — powiedziała. — Co się stało?

— Wszystko. Wszystko, co najgorsze.

— A dziecko?

— Przyznano jej. Jak zwykle kobiecie — odparł głosem nabrzmiałym goryczą. — Zabrała go z powrotem do Nowego Jorku. Przyjeżdża do mnie w odwiedziny raz do roku, w lecie. Ma już dwadzieścia lat. Studiuje w Princeton.

— Udany chłopak?

— Wspaniały — odparł Conrad. — Ale ledwie go znam. Mało mam z niego

pociechy.

— I już drugi raz się nie ożeniłeś?

— Nie, nigdy. Ale dość o mnie. Porozmawiajmy o tobie.

Dyskretnie i bez pośpiechu zaczął ją wypytywać na temat jej zdrowia i tego, jak ciężko przeżyła śmierć Eda. Spostrzegła, że nie czuje żadnych zahamowań przed zwierzeniem mu się i opowiedziała mu z grubsza całą swoją historię.

— Ale dlaczego twój lekarz uważa, że nie jesteś wyleczona do końca? — spytał. — Wcale nie sprawiasz wrażenia osoby, która ma ciągotki samobójcze.

— Bo chyba nie mam. Czasami tylko, zważ, nie często, niekiedy w chwilach przemęczenia wydaje mi się, że nie potrzeba znowu aż tak wiele, żebym się *załamała*.

— To znaczy?

— Ciągnie mnie w stronę szafki w łazience.

— A co jest w tej szafce?

— Nic specjalnego. Najzwyklejsze w świecie przybory potrzebne kobiecie do golenia nóg.

— Rozumiem. — Conrad przez kilka chwil przypatrywał się jej twarzy, po czym spytał: — Czy tak się właśnie czułaś w chwili, kiedy do mnie zadzwoniłaś?

— Niezupełnie. Ale rozmyślałam o Edwardzie. A to zawsze jest odrobinę niebezpieczne.

— Cieszę się, że zadzwoniłaś.

— Ja również — przyznała Anna.

Dopijała właśnie drugie martini. Conrad zmienił temat i zaczął opowiadać o swojej praktyce lekarskiej. Nie tyle go słuchała, co lustrowała wzrokiem. Był tak zabójczo przystojny, że trudno było na niego nie patrzeć. Wsadziła do ust papierosa, a potem wyciągnęła paczkę w stronę Conrada.

— Nie, dziękuję — powiedział. — Nie palę. — Wziął ze stołu paczkę zapalek, podał jej ogień, zdmuchnął płomień i spytał: — To papierosy mentolowe?

— Tak.

Zaciągnęła się głęboko i powoli wydmuchnęła dym w górę.

— No dobrze, a teraz oświadcz mi, że papierosy niszczą przedwcześnie cały mój układ rozrodczy — powiedziała.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

— No to dlaczego spytałeś?

— Z czystej ciekawości, po prostu.

— Kłamiesz. Widzę to po twojej minie. Właśnie zamierzałeś przedstawić mi statystyki dotyczące ilości przypadków raka płuc u nałogowych palaczy.

— Rak płuc nie ma nic wspólnego z mentolem, Anno — rzekł, uśmiechnął się i pociągnął łyceczek ze swojej pierwszej szklanki martini, które ledwo napoczął. — Nadal nie powiedziałaś mi, czym się zajmujesz — ciągnął — ani czemu przyjechałaś do Dallas.

— Najpierw powiedz mi o mentolu. Nawet jeżeli jest tylko w połowie tak szkodliwy jak sok z jagód jałowca, to uważam, że powinnam natychmiast się o tym dowiedzieć.

Roześmiał się i pokręcił głową.

— Proszę cię!

— Nie, szanowna pani.

— Conradzie, nie wolno tak po prostu poruszać jakiegoś tematu, a potem go nagle porzucać. Robisz to już drugi raz w ciągu pięciu minut.

— Nie chcę cię zanudzać sprawami medycznymi — rzekł.

— Wcale mnie nie zanudzasz. Te sprawy są fascynujące. No, dalej! Mówże! Daj się lubić.

Miło było tak siedzieć na lekkim rauszu po dwóch dużych martini i gawędzić z tym uroczym mężczyzną, uroczym, spokojnym i odprężonym. Wcale nie był nieśmiały. Skądże znowu. Najzwyczajniej w świecie po swojemu powściągliwy.

— Czy to coś straszego? — spytała.

— Nie. Tak bym tego nie nazwał. — Więc powiedz mi.

— Chodzi o to — zaczął — że kiedy wdychasz mentol, to wprowadzasz go do krwiobiegu, co nie jest korzystne, Anno. Oddziałuje na ciebie. W pewien bardzo określony sposób wpływa na twój centralny układ nerwowy. Lekarze nadal czasem go zapisują pacjentom.

— Wiem o tym — powiedziała. — Jako krople do nosa i do inhalacji.

— To jedno z jego drugorzędnych zastosowań. Znasz inne?

— Wciera się go w klatkę piersiową przy zaziębieniach.

— Jeżeli ktoś chce, może wcierać, ale to nic nie pomaga.

— Dodaje się go do maści i leczy nią popękane usta.

— To kamfora.

— Właśnie.

Czekał, aż Anna wysunie następny domysł.

— No, dalej, powiedz mi wreszcie — zachęciła.

— Może cię to odrobinę zaskoczyć.

— Jestem przygotowana na niespodzianki.

— Mentol — powiedział Conrad — to dobrze *znany* antyafrodyzjak.

— Co takiego?

— Tłumi popęd seksualny.

— Conrad, ty to zmyślasz.

— Przysięgam ci, że nie.

— A kto go stosuje?

— Obecnie bardzo niewielu ludzi. Ma za silny aromat. O wiele lepsza jest saletra.

— A, tak. Wiem coś o saletrze.

— A co o niej wiesz?

— Że dodają ją więźniom — powiedziała. — Posypują im nią codziennie rano płatki kukurydziane, żeby byli spokojni.

— Stosuje się ją również w papierosach — rzekł Conrad.

— Mówisz o papierosach dla więźniów?

— Mówię o wszystkich papierosach!

— Bzdura.

— Tak?

— Oczywiście, że tak.

— Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

— Nikt by się na to nie zgodził — odparła.

— A na raka się godzą.

— To zupełnie inna sprawa, Conradzie. Skąd wiesz, że dodają do papierosów saletrę?

— Czy nigdy nie zastanawiałaś się nad tym, co sprawia, że papieros odłożony do popielniczki pali się dalej? — spytał. — Tytoń nie pali się samorzutnie. Powie ci to każdy palacz fajki.

— Używają specjalnych środków chemicznych — odparła.

— Otóż to... używają saletry.

— Czy saletra się pali?

— Jasne, że się pali. Kiedyś była jednym z podstawowych składników staroświeckiego prochu strzelniczego. A także lontów. Robi się z niej wysmienite lonty. Twój papieros jest przecież pierwszorzędnym wolnotłącym lontem, czyż nie?

Anna spojrzała na papieros. Choć nie zaciągała się nim od dwóch minut, tlił się nadal i z jego końca wąską szarostalową spiralą wzbijała się w górę wstążka dymu.

— A więc jest w nim mentol i saletra? — spytała.

— Jak najbardziej.

— I oba te składniki są antyafrodyzjakami?

— Tak. Otrzymujesz podwójną dawkę.

— Co ty pleciesz, Conradzie. To przecież za mało, żeby cokolwiek zmienić.

Uśmiechnął się, ale się nie odezwał.

— Za mało nawet do tego, żeby powstrzymać od tych rzeczy karalucha —

powiedziała.

— To ty tak myślisz, Anno. Ile papierosów wypalasz dziennie?

— Około trzydziestu.

— No cóż — mruknął — to chyba nie moja sprawa. — Urwał i po chwili dodał: — Ale oboje wyszlibyśmy na tym znacznie lepiej, gdyby była.

— Co takiego?

— Gdyby to była moja sprawa.

— O czym ty mówisz, Conradzie?

— Mówię po prostu o tym, że gdybyś kiedyś nagle nie postanowiła mnie porzucić, to żadnemu z nas nie przydarzyłyby się nieszczęścia, które nas spotkały. Nadal bylibyśmy szczęśliwym małżeństwem.

Jego twarz przybrała raptem dziwnie surowy wyraz.

— Porzuciłam?

— To był dla mnie nie lada cios, Anno.

— Boże drogi — powiedziała — przecież w tym wieku wszyscy wszystkich porzucają.

— Skąd mogłem o tym wiedzieć — rzekł Conrad.

— Chyba już nie jesteś na mnie zły?

— Zły?! — odparł. — Mój Boże, Anno! Złe są dzieci, kiedy stracą zabawkę! Ja straciłem żonę!

Oniemiała, wpatrzyła się w niego.

— Powiedz mi, czy ty w ogóle pomyślałaś o tym, co ja wtedy czułem?

— Ależ Conradzie, byliśmy tacy młodzi!

— To mnie zniszczyło, Anno. To mnie o mało co nie zniszczyło.

— Ale jak...

— Co jak?

— Jak mogłeś, skoro to znaczyło dla ciebie aż tyle, tak nagle wykonać zwrot i po kilku tygodniach związać się z inną dziewczyną?

— A czy nigdy nie słyszałaś o czymś takim jak zemsta? — spytał.

Skinęła głową, skonsternowana wpatrując się w niego.

— Byłem w tobie szaleńczo zakochany, Anno. Nie odpowiedziała.

— Przepraszam cię — rzekł. — Za ten głupi wybuch. Wybacz mi, proszę.

Zamilkli na dłuższą chwilę.

Conrad siedział na krześle odchylony w tył i bardzo uważnie przyglądał się Annie. Wyjęła z paczki kolejnego papierosa i przypaliła go. Dmuchięciem zgasiła zapalnik i starannie włożyła ją do popielniczki. Kiedy znów podniosła wzrok, Conrad w dalszym ciągu patrzył na nią. W jego skupionym spojrzeniu widać było zamyślenie.

— O czym myślisz? — zapytała. Nie odpowiedział.

— Conradzie — zagadnęła — czy ty nadal żywisz do mnie urazę za to, co zrobiłam?

— Urazę?

— Tak, urazę. Mam dziwne wrażenie, że tak. Jestem o tym przekonana, nawet po tylu latach.

— Anno — odezwał się.

— Tak, Conradzie.

Przysunął się z krzesłem bliżej stolika i pochylił w jej stronę.

— Czy przyszło ci kiedyś na myśl... Urwał.

Czekała.

Nagle spoważniał do tego stopnia, że sama pochyliła się w jego stronę.

— Co mi. przyszło na myśl? — spytała.

— To, że ja i ty... my oboje... mamy do sfinalizowania pewną sprawę.

Wbiła w niego wzrok.

On również wpatrzył się w nią, oczy błyszczały mu jak dwie gwiazdy.

— Tylko się nie zgorsz, proszę — dodał.

— Zgorszyć się, czym?

— Masz taką minę, jakbym przed chwilą zażądał od ciebie, żebyś wyskoczyła razem ze mną przez okno.

W wypełnionym już ludźmi barze zrobiło się bardzo gwarno. Przypominało to przyjęcie koktajlowe. Trzeba było krzyczeć, żeby zostać usłyszonym.

Oczy Conrada czyhały na nią, niecierpliwe, ożywione pragnieniem.

— Napiłabym się jeszcze martini — powiedziała.

— Musisz?

— Tak — odparła — muszę.

W całym życiu kochała się wyłącznie z jednym mężczyzną, swoim mężem Edem.

I zawsze było jej wspaniale.

Trzy tysiące razy?

Oceń, że więcej. Prawdopodobnie znacznie więcej. Kto tam liczy takie rzeczy?

Założmy jednak, tylko dla przykładu, że dokładna liczba (bo musiała ona być dokładna) wyniosła trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt razy...

... wiedząc przy tym, że za każdym razem był to zawsze czysty, żarliwy, najprawdziwszy akt miłosny tej samej kobiety z tym samym mężczyzną...

... jak zatem, na miły Bóg, całkiem obcy człowiek, niekochany mężczyzna mógł żywić nadzieję, że zostanie choć częściowo zaakceptowany robiąc to z nią po raz trzy tysiące sześćset osiemdziesiąty pierwszy?

Musiał być intruzem.

Powróciłaby do niej natychmiast cała przeszłość. Leżałaby tam, przytłoczona wspomnieniami.

Poruszyła tę kwestię w *czasie* jednej z wizyt u doktora Jacobsa kilka miesięcy temu, na co stary Jacobs odpowiedział:

— Ze wspomnieniami nie będzie żadnego problemu, droga pani Cooper. Chciałbym, żeby więcej pani o tym nie myślała. Będzie się liczyć tylko chwila terażniejsza.

— Ale jak może do tego dojść? — spytała. — Jak zdobędę się na tyle odwagi, żeby raptem pójść na górę do sypialni i rozebrać się na oczach innego mężczyzny. Obcego... z zimną krwią?

— Z zimną krwią!! — wykrzyknął. — Wielki Boże, kobieto, ależ ona się będzie gotowała! — A później dodał: — Niechże pani przynajmniej spróbuje mi uwierzyć, pani Cooper, że każda kobieta pozbawiona kontaktów seksualnych po ponad dwudziestu latach ich praktykowania — w pani przypadku, jeśli dobrze zrozumiałem, praktykowania nadzwyczaj częstego — każda kobieta w tych okolicznościach będzie niechybnie cierpiała na poważne zaburzenia ducha aż do chwili, gdy powróci do dawnych przyzwyczajień. Wiem, że czuje się pani znacznie lepiej, ale moim obowiąz-

kiem jest poinformować panią, że jeszcze bynajmniej nie powróciła pani do zdrowia...

— Czy to nie jest przypadkiem sugestia terapeutyczna? — spytała Anna Conrada.

— Słucham?

— Sugestia terapeutyczna.

— A cóż to znaczy, do licha?

— Bo twoja propozycja przypomina dokładnie podchody mojego doktora Jacobsa.

— Posłuchaj — rzekł, pochylając się nad stołem i końcem palca dotykając jej dłoni. — Kiedy znałem cię dawniej, byłem za młody i za bardzo stremowany, żeby zrobić ci podobną propozycję, choć bardzo tego pragnąłem. Zresztą nie myślałem, że należy się z tym specjalnie śpieszyć. Myślałem, że mamy przed sobą całe życie. Nie wiedziałem wówczas, że mnie porzucisz.

Annie przyniesiono martini. Wzięła je i szybko zaczęła pić. Wiedziała doskonale, jak na nią podziała. Że zaszumi jej w głowie. Trzy martini zawsze dawały taki efekt. Wystarczyło, że wypiała trzecie martini, a w przeciągu sekund jej ciało stawało się nieważkie i zaczynało unosić się w powietrzu niczym obłok gazu.

Siedziała ściskając w dłoniach szklankę tak, jakby spełniała jakiś sakrament. Znowu się napiła. W szklance zostało już niewiele trunku. Ponad jej brzegiem widziała Conrada, który z dezaprobatą patrzył na nią, jak pije. Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Nie masz nic przeciwko stosowaniu środków znieczulających, kiedy operujesz, prawda? — spytała.

— Anno, nie mów, proszę, takich rzeczy.

— Zaczynam pływać — powiedziała.

— Właśnie widzę — rzekł. — Może ci już wystarczy.

— Co powiedziałeś?

— Że może ci już wystarczy.

— Mam ci odpowiedzieć, dlaczego nie wystarczy?

Wyciągnął ręce w przód takim ruchem, jakby chciał jej odebrać szklanę, więc szybko przystawiła ją do ust i mocno przechyliła. Trzymała ją w tej pozycji dłuższą chwilę, tak żeby wysączyć ją do ostatniej kropli. Kiedy ponownie spojrzała na Conrada, właśnie kładł dziesięciodolarowy banknot na tacy kelnera, który mówił: „Dziękuję, panu. Bardzo panu dziękuję”, a po chwili zorientowała się, że płynie przez bar i przez hali hotelowy, przytrzymywana lekko za łokieć przez swojego towarzysza, który steruje nią w stronę wind. Wpłynęli na dwudzieste piętro i poześlowali do drzwi jej pokoju. Wyłowiła z torebki klucz, otworzyła drzwi i wpłynęła do środka. Conrad wszedł za nią i zamknął drzwi. Wówczas zaś zniemacka chwycił ją mocno, objął potężnymi ramionami i zaczął namiętnie całować.

Pozwoliła mu na to.

Całował ją w usta, w policzki, po szyi, biorąc głębokie oddechy między pocałunkami. Oczy miała otwarte i przyglądała mu się z niebywałą bezstronnością, a jego widok kojarzył jej się mgliście z rozmazanymi z bliska rysami twarzy dentysty, który zajęty jest górnym zębem trzonowym.

A potem zniecka Conrad wsunął jej do ucha język. Wrażenie było piorunujące. Zupełnie tak, jakby ktoś wetknął do gniazdka wtyczkę przewodzącą prąd o napięciu dwustu woltów, jakby nagle zapłonęły wszystkie światła. Miała wrażenie, jakby miękły w niej kości, przez wszystkie jej członki popłynął gorący prąd, a ją samą ogarnęło szaleństwo. Był to taki cudowny, lubieżny, ognisty szal, jaki tak często wywoływał w niej dawniej Ed, dotykając różnych miejsc na jej ciele. Zarzuciła Conradowi ręce na szyję i zaczęła oddawać mu pocałunki z o wiele większą namiętnością niż robił to on i chociaż w pewnej chwili odniosła wrażenie, jakby bał się, że połknie go żywcem, wkrótce jednak doszedł do siebie.

Anna nie miała zielonego pojęcia, jak długo stali obejmując się i całując z taką gwałtownością, ale musiało to trwać dosyć długo. Czuła się taka szczęśliwa, taka... taka od nowa pewna siebie, tak nagle oszalamiająco pewna siebie, że miała chęć zerwać z siebie ubranie i odtańczyć dla Conrada na środku pokoju taniec. Ale nie zrobiła tego głupstwa. Odplynęła po prostu ku brzegowi łóżka i usiadła, żeby chwycić oddech. Conrad szybko usiadł przy niej. Opuściła głowę na jego pierś i siedziała rozplomieniona, kiedy delikatnie głaskał jej włosy. A potem odpięła guzik przy jego koszuli, wsunęła pod nią rękę i położyła mu ją na piersi. Przez żebra czuła jego bijące serce.

— A cóż ja tu widzę? — odezwał się Conrad.

— Co gdzie widzisz, kochany?

— Na twojej głowie. Chcesz to obejrzyć, Anno?

— Obejrzyj za mnie, najdroższy.

— Słowo daję, wiesz, na co mi to wygląda? — spytał. — Wygląda to na początki łysinki maskulinizującej.

— No i dobrze.

— Nie, wcale nie dobrze. Jest to bowiem zapalenie mieszków włosowych, które prowadzi do wyłysienia. Dość powszechnie występuje u kobiet w późniejszych latach życia.

— Och, przestań, Conradzie — powiedziała, całując go w szyję nad ramieniem. — Mam wspaniałe włosy.

Usiadła prosto i ściągnęła z niego marynarkę. Potem rozwiązała mu krawat i rzuciła go przez pokój.

— Na karczku mojej sukienki jest malutka haftka — powiedziała. — Odepnij ją, proszę.

Conrad odpiął haftkę, a następnie rozsunął suwak przy sukience i pomógł Annie ją zdjąć. Pod spodem miała bardzo ładną bladoniebieską halkę. Conrad, jak to lekarz, miał na sobie zwykłą białą koszulę, która w tej chwili była rozpięta pod szyją, co mu wystarczało. Po obu stronach szyi pięły mu się pionowo w górę wypukłe grzbiety mocnych mięśni. Była to najpiękniejsza męska szyja, jaką Anna widziała w życiu.

— Zróbmy to bardzo, bardzo powoli — zaproponowała. — Wyczekiwanie na to doprowadźmy aż do granic szaleństwa.

Jego oczy zatrzymały się przez chwilę na jej twarzy, a potem odsunęły, podążając wzdłuż jej ciała, i ujrzała, że Conrad się uśmiecha.

— Czy będziemy bardzo wytworni i rozpustni, Conradzie? Zamówimy butelkę szampana? — spytała. — Mogę poprosić służbę hotelową, żeby go

przywiozła na górę, a kiedy przyjdą, ty możesz się ukryć w łazience.

— Nie — powiedział. — Już dość dziś wypijaś. Wstań, proszę.

Ton jego głosu skłonił ją do natychmiastowego wstania.

— Chodź do mnie — powiedział.

Zbliżyła się do niego. Nadal siedział na łóżku. Nie wstając wyciągnął rękę i zaczął z niej zdejmować resztę garderoby. Robił to powoli, z rozwagą. Nieoczekiwanie mocno pobrał na twarzy.

— Och, kochany, jak cudownie! — powiedziała. — Ty masz to słynne coś! Najprawdziwsze, gęste kępkę włosów, które wyrastają ci z uszu! Wiesz, o czym one świadczą, prawda? Jest to całkowicie pewny, sprawdzony znak wyjątkowej, nadzwyczajnej męskości!

Nachyliła się i pocałowała go w owłosione ucho. Nie przestał zdejmować z niej ubrania — biustonosza, butów, pasa, fig, wreszcie pończoch, wszystkie upuszczając na podłogę. W chwili kiedy obrał ją z ostatniej pończochy i upuścił ją na stos, odwrócił się natychmiast od Anny tak, jakby nie istniała, i sam zaczął się rozbierać.

Dziwnie było tak stać blisko niego, mając za całe okrycie własną skórę, a on nawet nie zaszczycił jej ponownym spojrzeniem. Być może jednak mężczyźni tak się zachowywali. Ed mógł przecież stanowić wyjątek. Skąd mogła wiedzieć?! Conrad zdjął najpierw białą koszulę i bardzo starannie ją złożywszy, wstał, zaniósł do fotela i położył na jego poręczy. To samo zrobił z podkoszulkiem. A potem znowu usiadł na brzegu łóżka i przystąpił do zdejmowania butów. Anna stała bez ruchu, obserwując go. Nagła zmiana w jego nastroju, jego milczenie, jego osobliwe zapamiętanie w tym, co robił,

trochę ją niepokoiły. Ale także podniecały. W jego ruchach coś się kryło, coś niemal groźnego, jak gdyby był jakimś wspaniałym zwierzęciem, skradającym się cicho do swojej ofiary. Lampartem.

Przyglądała się mu zafascynowana. Przyglądała się jego palcom, palcom lekarza, jak rozwiązują i luzują sznurówki w lewym bucie, jak wysuwa z niego stopę i ustawia go pod łóżkiem tak, że wystaje do połowy. W ślady pierwszego poszedł drugi but. Następnie lewa i prawa skarpetka, złożone razem i z największą precyzją umieszczone na noskach butów. Wreszcie jego palce przesunęły się w górę do talii spodni, rozpięty guzik i zaczęły manipulować przy suwaku. Spodnie po zdjęciu zostały złożone wzdłuż kantów i zaniesione na fotel. Następnie przyszła kolej na kalesony.

Conrad, w końcu nagi, wolno podszedł do brzegu łóżka i usiadł. Wreszcie obrócił głowę i zauważył Annę. Stała czekając i drżąc. Obejrzał ją od stóp do głów i z powrotem. A potem wyciągnął rękę, chwycił ją za przegub dłonią i mocnym szarpnięciem powalił na łóżko.

Odczuła przeogromną ulgę. Oplotła Conrada ramieniem i przycisnęła do siebie mocno, och, jak mocno, bojąc się, że odejdzie. Śmiertelnie się bała, że odejdzie i nie wróci. Leżeli razem, ona trzymała go tak, jakby tylko jego jednego na tym świecie mogła się przytrzymać, natomiast on dziwnie spokojny, czujny, baczny, po trochu wyzwolił się z jej objęć i zaczął dotykać różnych miejsc na jej ciele tymi swoimi fachowymi palcami lekarza. Annę ogarnęło więc od nowa szaleństwo.

To, co zrobił z nią w ciągu kilku następnych chwil, było i straszne, i rozkoszne. Zdawała sobie sprawę, że po prostu przygotowuje ją albo, jak to

mówią w szpitalu, przygotowuje do samej operacji, ale, Boże święty, nigdy jeszcze nie doznała nawet w przybliżeniu czegoś podobnego. A odbyło się to wszystko niezmiernie szybko. W ciągu, jak jej się zdawało, najwyżej paru sekund doszła do tego nieznośnie cudownego momentu, którego już się nie da cofnąć i w którym świat kurczy się do rozmiarów pojedynczego małego oślepiającego punkcika światła, który przy najlżejszym musnięciu gotów jest wybuchnąć i rozerwać kobietę na strzępy. W tej to chwili, przemieszczając swoje ciało jak drapieżca, szybkim łukiem Conrad runął na nią, by dokonać ostatecznego aktu.

Wówczas właśnie Anna poczuła, jak napiętność wydobywa się z jej ciała niczym długi, obnażony, żywy nerw, niczym błyskawica elektrycznego ognia, i krzyknęła do Conrada, żeby to robił jeszcze, jeszcze, jeszcze, a gdy krzyknęła, to nagle w środku tego wszystkiego skądś z góry dobiegł ją jeszcze jeden głos, przemawiający coraz to głośniej i głośniej, coraz natarczywszy i zmuszający, żeby go usłyszeć.

— Pytałem, czy coś założyłaś? — chciał się dowiedzieć.

— Ach, kochanie, o co chodzi?

— Po raz kolejny pytam cię, czy coś założyłaś?

— Kto, ja?!

— Natrafiłem na jakiś opór. Masz tam coś, co przeszkadza. Na pewno nosisz krążek domaciczny albo jakiś podobny środek.

— Ależ skąd, kochanie. Wszystko jest wspaniale. Och, proszę cię, przestań.

— Bynajmniej nie jest wspaniale, Anno! Niczym obraz filmowy na ekranie, pokój na brał z powrotem ostrości. W tle tkwiła głowa Conrada. Wisiała nad

Anną, osadzona na nagich ramionach.

Jego oczy wpatrywały się prosto w jej oczy. Usta się nie zamykały.

— Jeżeli chcesz już stosować jakiś środek, to naucz się go zakładać jak należy, na miły Bóg. Nic tak nie przeszkadza jak niedbale założenie krążka. Musi być umieszczony z samego tyłu, tuż przy szyjce.

— Ależ ja niczego nie noszę!

— Nie? No cóż, w każdym razie coś tam stawia opór.

Miała wrażenie, że nie tylko pokój, ale i cały świat powoli usuwa się spod niej.

— Niedobrze mi - powiedziała.

— Co takiego?

— Niedobrze mi.

— Nie bądź dziecinna, Anno.

— Conradzie, chciałabym, żebyś sobie poszedł. Idź, proszę.

— O czym ty, do licha, mówisz?

— Idź sobie, Conradzie.

— Zwariowałaś, Anno. No dobrze, przepraszam, że się odezwałem. Zapomnij o tym.

— Idź już! — krzyknęła. — Odejdź! Odejdź! Odejdź!

Spróbowała zepchnąć go z siebie, ale był potężnie zbudowany, silny i przygniatał ją swoim ciężarem.

— Uspokój się — powiedział. — Ochłoń. Nie możesz nagle, kiedy to robimy, zmieniać zdania. I tylko nie płacz, na miłość boską.

— Zostaw mnie, Conradzie, błagam cię.

Miała wrażenie, że przytrzymuje ją wszystkim, czym tylko może — rękami i łokciami, dłońmi i palcami, udami i kolanami, kostkami nóg i stopami. Trzymał ją tak, jak trzyma ropucha. I rzeczywiście przypominał ogromną ropuchę, która wczepiała się w nią, ścisnęła i nie chciała wypuścić z objęć. Widziała kiedyś ropuszego samca, który zachowywał się identycznie. Kopułował z żabą nad brzegiem strumienia, siedział nieruchomy i odrażający, z żółtym złym błyskiem w oku, trzymał swoją ofiarę w dwóch potężnych przednich łapach i nie chciał jej wypuścić...

— Przestań się wyrywać, Anno. Zachowujesz się jak rozhisteryzowane dziecko. Na miły Bóg, kobieto, czym się lak przejmujesz?

— Zadajesz mi ból! — wykrzyknęła.

— Zadaję ci ból?!

— To mnie strasznie boli!

Powiedziała tak tylko dlatego, żeby się odsunął.

— A czy wiesz, dlaczego cię boli? — spytał.

— Conradzie! Proszę cię!

— Zaraz, Anno. Pozwól, że wyjaśnię ci...

— Nie! — krzyknęła. — Mam dosyć wyjaśnień!

— Kobieto droga...

— Nie!

Anna wyrywała się rozpaczliwie, pragnąc się uwolnić, ale wciąż przygważdżał ją ciałem do łóżka.

— Boli cię dlatego — ciągnął — że nie wytwarzasz żadnego płynu. Błona śluzowa jest praktycznie sucha...

— Przestań!

— Nazywa się to starczym zanikowym zapaleniem pochwy. Przychodzi z wiekiem, Anno. Właśnie dlatego nazywa się zapaleniem starczym. Niewiele można na to poradzić...

W tym momencie zaczęła krzyczeć. Jej krzyki nie były zbyt głośne, niemniej były straszne, rozdzierające i pełne udręki, tak że po kilku sekundach Conrad jednym płynnym ruchem stoczył się z Anny i oburącz odepchnął ją w bok. Pchnął ją z taką siłą, że spadła na podłogę.

Powoli wstała i powlokła się do łazienki, wołając przy tym „Ed!. Ed!... Ed!...” dziwnym błagalnym tonem. Drzwi zatrzasnęły się.

Conrad leżał bardzo spokojnie, przysłuchując się odgłosom dochodzącym zza drzwi łazienki. Z początku słyszał tylko kobiecy szloch, ale po chwili dobiegł go głośniejszy od płaczu metaliczny trzask otwieranej szafki. W jednej chwili usiadł prosto, wyskoczył z łóżka i w wielkim pośpiechu zaczął się ubierać. Jego tak porządnie złożone ubranie leżało gotowe pod ręką, więc włożenie go zajęło mu nie więcej niż dwie minuty. Kiedy skończył, podszedł do lustra i chusteczką starł z twarzy szminkę. Z kieszeni wyjął grzebień i przeczesał nim gęste czarne włosy. Następnie obszedł łóżko, żeby sprawdzić czy niczego nie zapomniał, a potem ostrożnie, jak ktoś wychodzący na palcach z pokoju, w którym śpi dziecko, wysunął się na korytarz i cicho zamknął za sobą drzwi.

SUKA

Do tej pory opublikowałem tylko jeden fragment z dzienników mojego wuja Oswalda. Dotyczy on, jak niektórzy z państwa może pamiętają, cielesnego zbliżenia wuja z pewną trędowatą Syryjką na pustyni synajskiej. Od tej chwili minęło sześć lat i jak dotąd nikt nie zgłosił w tej sprawie pretensji. Dlatego też ośmielam się opublikować drugi epizod z kart tego ciekawego dzieła. Mój adwokat odradzał mi to, wskazując, że część zainteresowanych osób nadal żyje i łatwo je rozpoznać. Twierdzi, że zaczną się ze mną bezlitośnie procesować. Trudno, niech się procesują. Jestem dumny z mojego wuja. On wiedział, jak korzystać z życia. W przedmowie do pierwszego epizodu napisałem, że w zestawieniu z jego dziennikami *Pamiętniki Casanovy* czyta się jak „Gazetę Parafialną”, a sam słynny kochanek wygląda przy moim wuju na seksualnego wstrze-mięźliwca. Upieram się przy tym sądzie i jeżeli znajdę czas, udowodnię to światu. Oto więc niewielki epizod z. XXIII tomu, w kształcie dokładnie takim, jaki nadał mu wuj Oswald.

PARYŻ, Środa

Śniadanie o dziesiątej. Skosztowałem miodu.. Przysłano mi go wczoraj we wczesnosewskiej porcelanowej cukiernicy, która ma to śliczne kanarkowe tło w kolorze zwanym *jonquille*. „7. podziękowaniem od Suzie”, widniało na bileciku. Miło, kiedy człowieka doceniają. Suzie Jolibois posiadała pośród innych rzeczy małe gospodarstwo na połu dnie od Casablanki i uwielbiała pszczoły. Ule stały u niej w samym środku plantacji *cannabis indka*, więc pszczoły czerpały nektar wyłącznie z tego źródła. Żyły w nieustannym błogostanie i nie garnęły się do pracy. Dlatego też dawały bardzo mało miodu. Posmarowałem sobie nim trzecią grzanekę. Był prawie czarny. O cierpkim zapachu. W tym momencie zadzwonił telefon. Przyłożyłem słuchawkę do ucha i czekałem. Kiedy do mnie dzwonią, nigdy nie odzywam się pierwszy. W końcu to nie ja dzwonię do nich, tylko oni do mnie. - Oswald! Jest pan tam?

Głos był mi znajomy.

— Tak, Henri — odpowiedziałem. — Dzień dobry.

— Niech pan słucha! - wyrzucił z siebie z entuzjazmem. - Myślę, że go mam! Jestem prawie pewien, że go mam! Proszę wybaczyć, że dyszę, ale przeprowadziłem właśnie naprawdę fantastyczne doświadczenie. Już je zakończyłem. Udało się wyśmienicie. Przyjedzie pan?

— Tak — odparłem. - Przyjadę. Odłożyłem słuchawkę i nalałem sobie jeszcze

jedną filiżankę kawy. Czyżby Henriemu wreszcie naprawdę udało się tego dokonać? Jeśli tak, to pragnąłem być blisko niego, żeby nie stracić dobrej

zabawy.

W tym miejscu muszę przerwać wątek, żeby opowiedzieć wam, jak poznałem Henriego Biotte'a. Ze trzy lata temu wybrałem się do Prowansji spędzić letni weekend z panią, którą interesowałem się tylko dlatego, że posiadała nadzwyczaj silne mięśnie tam, gdzie inne kobiety nie mają ich wcale. W godzinę po przyjeździe spacerowałem samotnie po trawniku nad rzeką, kiedy podszedł do mnie drobny brunet. Wierzch dłoni porastały mu czarne włoski. Ukłonił mi się nieznacznie i przedstawił:

— Henri Biotte, gość jak i pan.

— Oswald Cornelius — odpowiedziałem.

Henri Biotte był włochaty jak cap. Brodę i policzki pokrywał mu szczeciniasty czarny zarost, a z dziurek nosa sterczały obfite kępy włosów.

— Wolno panu towarzyszyć? — spytał, równając ze mną krok i natychmiast rozpuszczając język.

Cóż to był za gaduła! Jakież typowy Francuz, jakież pobudliwiec! Posuwał się małymi szalonymi skoczkami, palce fruwały mu, jakby chciał je rozpuścić na cztery wiatry, a słowa wyskakiwały z ust z bajeczną szybkością, niczym ognie sztuczne. Oświadczył, że jest belgijskim chemikiem, pracującym w Paryżu. Zajmował się chemią olfakcyjną. Poświęcił życie badaniom nad olfakcją.

— To znaczy, nad zapachami? — spytałem.

— Tak, tak! — wykrzyknął. — Właśnie. Jestem fachowcem od zapachów. Wiem o nich więcej, niż ktokolwiek na świecie.

— O miłych zapachach, czy przykrych? — spytałem, próbując go ostudzić.

— Miłych zapachach, ślicznych zapachach, wspaniałych zapachach! — odrzekł. — Ja je tworzę! Potrafię stworzyć każdy zapach, jaki pan zechce!

A potem jednym tchem poinformował mnie, że jest naczelnym specem od kompozycji zapachowych u jednej z czołowych dyktatorek mody w Paryżu. Jego nos zaś — oświadczył mi, kładąc owłosiony paluch na czubku owłosionego nocha — wygląda zapewne tak, jak inne nosy, nieprawdaż? Chciałem mu powiedzieć, że z jego dziurek wyrasta więcej włosów niż zboża na preriach, więc może by tak poszedł do fryzjera, zęby mu je wyciął, ale zamiast tego przyznałem grzecznie, że nie widzę w nim nic nadzwyczajnego.

— Właśnie! — wykrzyknął. — Jednak w rzeczywistości jest to organ węchu fenomenalnie wrażliwy. Dwa muchy wystarczą do wykrycia obecności kropli piżma w galonie olejku geraniowego!

Niesłychane — powiedziałem.

— Na Champs Elysees — ciągnął — które są szeroką arterią komunikacyjną, swoim nosem potrafię dokładnie ustalić, czym wyperfumowała się kobieta idąca po drugiej stronie ulicy!

— Przy ruchu ulicznym?

— Przy natężonym ruchu ulicznym! - zawołał.

I jednym tchem wymienił nazwy dwóch najśłynniejszych gatunków perfum na świecie, obu wyprodukowanych przez dom mody, w którym pracował.

— To moje osobiste dzieła — rzekł skromnie. — Własnoręcznie je komponowałem. Przyniosły majątek tej starej jędzy, która prowadzi ów interes.

— Ale nie panu?

— Mnie?! Jestem biednym najemnym pracownikiem na pensji — odrzekł, rozkładając dłonie

i unosząc ramiona tak wysoko, że dotknęły płatków jego uszu. — Ale kiedyś wyrwę się stamtąd i zrealizuję swoje marzenia.

— Ma pan jakieś marzenie?

— Mam wspaniałe, niezwykle, pasjonujące marzenie, drogi panie!

— To dlaczego pan go nie realizuje?

— Ponieważ wpierw muszę znaleźć kogoś na tyle dalekowzrocznego i bogatego, żeby mnie sfinansował.

Aha, pomyślałem, a więc o to chodzi!

— Z pańską sławą to nie powinno być trudne — powiedziałem.

— Trudno znaleźć takiego bogacza, jakiego ja szukam — wyznał. — Musi to być nie przejmujący się niczym ryzykant, którego bardzo pociągają rzeczy niezwykle..

To ja, ty mały sprytny szelmo, pomyślałem.

— A jakież to marzenie pragnie pan zrealizować? — zagadnąłem. — Chodzi o produkcję perfum?

— Drogi panie! — wykrzyknął. - Perfumy może robić byle kto. Ja mówię wyłącznie o jednych perfumach! Jedynych, które się naprawdę liczą!

— A co to za perfumy?

— O, naturalnie, niebezpieczne! A kiedy je stworzę, zawładnę światem!

— Brawo — powiedziałem.

— Ja wcale nie żartuję, panie Cornelius. Pozwoli pan, że wytłumaczę, do czego zmierzam?

— Niech pan mówi.

— Proszę wybaczyć, że usiądę — rzekł, zmierając w stronę ławki. — W marcu zeszłego roku miałem zawał i muszę się oszczędzać.

— Przykro mi to słyszeć.

— Och, niepotrzebnie. O ile nie przesadzę, wszystko będzie dobrze.

Popołudnie było pogodne, a ławka stała na trawniku nie opodal brzegu rzeki, więc usiedliśmy na niej. Rzeka płynąca obok wolno i jednostajnie była głęboka, a nad jej powierzchnią unosiły się chmurki wodnych muszek. Na przeciwległym brzegu rosły szeregiem wierzby, a za nimi rozpościerała się szmaragdowozielona, żółta od jaskrów łąka, na której pasła się krowa. Krowa była w brązowo-białe łaty.

— Powiem panu, co za perfumy chcę stworzyć

— rzekł Henri Biotte. — Ale po drodze muszę wyjaśnić panu kilka spraw, gdyż inaczej nie pojmie pan wszystkiego w pełni. Proszę więc okazać mi cierpliwość.

Jedną rękę opierał miękko na kolanie, włochatym wierzchem do góry. Przypominała czarnego szczura. Stukał w nią delikatnie palcami drugiej dłoni.

— Rozważmy najpierw zjawisko, które zachodzi, kiedy pies napotyka goniącą się sukę — rzekł.

— Jego popęd płciowy jest niesamowity. Przestaje nad sobą panować. W głowie mu tylko jedno, czyli natychmiastowe spółkowanie, i zrobi to, jeżeli mu się nie przeszkodzi siłą. A czy wie pan, co powoduje tak ogromny pociąg płciowy u psów?

— Zapach — odparłem.

— Otóż właśnie, panie Cornelius. Do nozdrzy psa wpadają wonne cząsteczki o specjalnej budowie i pobudzają zakończenia jego nerwów zapachowych. To zaś powoduje przesłanie silnych sygnałów do opuszki nerwu węchowego, a stamtąd do wyższych ośrodków mózgu. Wszystko to sprawia zapach. Gdyby usunął pan psu nerw powonienia, przestałby interesować się sukami. Reguła ta dotyczy wielu innych ssaków, ale nie człowieka. Zapach nie ma nic wspólnego z seksualnymi ciągotami ludzkiego samca. Podniet dostarczają mu w tej mierze wzrok, dotyk i żywość jego wyobraźni. Nigdy zapach.

— A co z perfumami? — zagadnąłem.

— Bujda na resorach — odparł. — Wszystkie te kosztowne aromaty w małych buteleczkach, te, które wytwarzam, w najmniejszym stopniu nie podniecają mężczyzny! Nie było to nigdy przeznaczeniem perfum. Dawnymi czasy kobiety używały ich, aby ukryć fakt, że cuchną. Dzisiaj, kiedy już nie cuchną, używają perfum z czysto narcystycznych powodów. Uwielbiają się nimi zlewać i przyjemnie pachnieć. Mężczyźni ledwie to zauważają. Przysięgam panu.

— Ja zauważam — zaproponowałem.

— Ale czy podnieca to pana fizycznie?

— Fizycznie mnie nie podnieca. Ale estetycznie, tak.

— Podoba się panu zapach? Mnie też. Ale jest mnóstwo innych, które wolę — bukiet dobrego Lafite, woń świeżej gruszki albo zapach powietrza nawianego na wybrzeże Bretanii z morza.

Z nurtu rzeki wyskoczył wysoko pstrąg i w jego łuskach przejrzało się

słońce.

— Niech pan wyrzuci z głowy wszystkie bzdury o piźmie, szarej ambrze i wydzielinie z jąder wiwery. Obecnie wytwarzamy nasze perfumy z chemikaliów. Jeżeli chcę otrzymać zapach piżma, to użyję seba-cynianu etylowego, benzaldehyd dostarczy mi zapachu migdałów, a z kwasu fenoksyoctowego uzyskam cywet. O nie, nie interesuje mnie już mieszanie chemikaliów, żeby wytwarzać przyjemne wonie!

Od kilku minut ciekło mu lekko z nosa, przez co miał mokre czarne włosy rosnące w jego dziurkach. Zreflektował się, wyjął chusteczkę i wytarł nos.

— Ja dążę do wyprodukowania woni, która wpływałaby na mężczyznę tak elektryzująco, jak zapach goniącej się suki działa na psa! Jeden niuch i gotowe! Mężczyzna całkiem przestaje nad sobą panować. Ściąga z siebie spodnie i natychmiast gwałci kobietę.

— Mielibyśmy niezłą zabawę — powiedziałem.

— Władalibyśmy światem! — wykrzyknął.

— Tak, ale przecież przed chwilą oświadczył mi pan, że zapach nie ma nic wspólnego z seksualną żądzą ludzkiego samca.

— Nie ma — potwierdził. — Ale kiedyś miał. Posiadam dowód, że w okresie osadów polodowcowych, kiedy prymitywny człowiek był znacznie bliższym krewniakiem małpy niż obecnie, zachowywał nadal charakterystyczną dla niej cechę rzucania się na każdą napotkaną, odpowiednio pachnącą samicę. A później, w okresach paleolitu i neolitu, w dalszym ciągu, ale coraz słabiej, podniecały go seksualne zapachy. Do czasu pojawienia się przed około dziesięcioma tysiącami lat przed naszą erą wyższych form cywilizacyjnych w

Egipcie i Chinach, ewolucja już spełniła swoją rolę, całkowicie tłumiąc w człowieku zdolność do pobudzenia seksualnego przez zapach. Nudzę pana?

— Bynajmniej. Ale proszę mi powiedzieć, czy to znaczy, że w aparacie węchowym człowieka zaszła jakaś istotna fizyczna zmiana?

— Ależ skąd — odrzekł — gdyż wówczas nic by się nie dało zrobić. Malutki mechanizm, pozwalający naszym przodkom czuć te ledwo uchwytnie wonie, wcale nie zaniknął. Tak się składa, że to wiem. Proszę posłuchać: czy widział pan, jak niektórzy z nas potrafią nieznacznie poruszać uszami?

— Sam to umiem - odparłem, demonstrując mu.

— A widzi pan! Bo mięsień poruszający uszy nie zaniknął. To pozostałość z czasów, kiedy człowiek był w stanie nastawiać uszy w przód, żeby lepiej słyszeć, tak jak pies. Utracił tę zdolność ponad sto tysięcy lat temu, ale mięsień pozostał. I to samo dotyczy naszego aparatu węchowego. Mechanizm pozwalający czuć te tajemne wonie nam pozostał, ale utraciliśmy zdolność posługiwania się nim.

— Skąd jest pan taki pewien, że wciąż go mamy? — spytałem.

— Czy pan wie, jak działa nasz system węchowy?

— Niezupełnie.

— Więc panu objaśnię, bo inaczej nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie. Proszę słuchać uważnie. Powietrze jest wciągane przez nozdrza i przechodzi przez trzy małżowiny nosowe, czyli przegrody znajdujące się w górnej części nosa.

Tutaj zostaje ogrzane i przefiltrowane. Ocieplone powietrze płynie dalej w górę, przechodząc przez dwie szczeliny, gdzie mieszczą się organy węchu.

Te organy to płaty żółtawej tkanki, oba wielkości około półtora centymetra kwadratowego. W tkance tej osadzone są włókna nerwowe i zakończenia nerwu węchowego. Każda końcówka nerwu węchowego składa się z komórki węchowej zaopatrzonej w wiązkę malutkich mikroskopijnych włókienek. Włókienka te zachowują się jak odbiorniki. Lepsze określenie to „receptory”. Kiedy receptory te są łaskotane bądź pobudzone przez cząsteczki zapachowe, wówczas przesyłają sygnały do mózgu. Jeśli schodząc w dół każdego ranka, wciągnie pan w nos cząsteczki zapachu smażonego bekonu, to pobudzą one pańskie receptory, receptory błyskawicznie prześlą sygnał nerwem” węchowym do mózgu, a mózg zinterpretuje je w kategoriach rodzaju i natężenia zapachu. I właśnie wtedy wykrzyknie pan „Aha, na śniadanie jest bekon!”

— Na śniadanie nigdy nie jadam bekonu! — powiedziałem.

Puścił to mimo uszu.

— To właśnie receptory, te mikroskopijne włókienka nas interesują — ciągnął. — A teraz zapyta mnie pan, jak, u licha, potrafią one odróżnić jedną cząsteczkę zapachu od drugiej, powiedzmy, miętę od kamfory.

— W jaki sposób? — spytałem, bo byłem ciekaw.

— Proszę słuchać uważnie jak nigdy — ostrzegł. — Na końcu każdego receptora znajduje się wgłębienie. Taki kubek, tylko że nie okrągły. Jest to „pole receptora”. Proszę sobie wyobrazić tysiące tych maleńkich mikroskopijnych włókien z malutkimi kubeczkami na koniuszkach, wszystkie falujące jak czułki morskich ukwiałów i czyhające, żeby pochwycić do swoich kubeczków wszystkie przelatujące cząsteczki zapachu.

Oto co się, proszę pana, dzieje. Kiedy wciągnie pan do nosa jakąś woń, to cząsteczki zapachowe substancji, która wytworzyła ową woń, mkną po pańskich nozdrzach, a tam chwytają je kubki — pola receptorów. Ważne jest zapamiętać sobie jedno. Że wpadające do nosa cząsteczki mają różne kształty i rozmiary. Tak samo małe kubki — pola receptorów — których kształty są również rozmaite. Dlatego też cząsteczki zapachowe trafiają na odpowiadające im kształtem pola recepcyjne. Cząsteczki zapachu miętowego trafiają wyłącznie do specjalnych miętowych pól recepcyjnych. Cząsteczki kamfory, które mają całkiem inny kształt, zmieszczą się jedynie w specjalnych kamforowych kubkach receptorowych, i tak dalej. Przypomina to bardzo owe dziecięce zabawki, gdzie kawałki o różnych kształtach trzeba dopasować do właściwych otworów.

— Chciałbym się przekonać, czy dobrze pana rozumiem — powiedziałem.

— Powiada pan, że mój mózg rozpoznaje zapach miętowy po prostu dlatego, że odpowiednia cząsteczka trafiła na miętowe pole recepcyjne?

— Właśnie tak.

— Ale z pewnością nie twierdzi pan, że dla wszystkich zapachów na świecie istnieją rozmaitych kształtów pola recepcyjne?

— Nie — odparł. — W rzeczywistości człowiek ma tylko siedem takich pól o różnych kształtach.

— Dlaczego tylko siedem?

— Ponieważ nasz zmysł węchu rozpoznaje tylko siedem „czystych zapachów pierwotnych”. Cała reszta to „zapachy złożone”, utworzone przez zmieszanie pierwotnych.

— Jest pan tego pewien?

— Absolutnie. Nasz zmysł smaku ma ich jeszcze mniej. Rozpoznamy jedynie cztery smaki pierwotne — słodki, kwaśny, słony i gorzki! Wszystkie inne smaki są ich mieszanką.

— A jaka jest ta siódemka czystych zapachów pierwotnych? — spytałem.

— Ich nazwy nie są dla nas istotne — odparł. — Po co komplikować zagadnienie.

— Chciałbym usłyszeć te nazwy.

— Dobrze — zgodził się. — Są to zapachy: kamforowy, ostry, piżmowy, eteryczny, kwiatowy, miętowy i zgniły. Niech pan nie robi, proszę, takiej powątpiewającej miny. To nie jest moje odkrycie. Wielcy uczeni pracowali nad nim całe lata. A ich wnioski są całkiem słuszne, z jednym wyjątkiem!

— Jakim?

— Tym, że jest ósmy czysty zapach pierwotny, o którym nie wiedzą, i ósme pole recepcyjne do przyjmowania jego cząsteczek o niezwyklej kształcie!!!

— O-ho-ho! — zawołałem. — Rozumiem, do czego pan zmierza.

— Tak, tak — ciągnął — ten ósmy czysty zapach pierwotny jest seksualnym środkiem podniecającym, który przed tysiącami lat sprawiał, że człowiek prymitywny reagował jak pies. Ma on bardzo ciekawą budowę cząsteczkową.

— A zatem wie pan, co to jest?

— Naturalnie, że wiem, co to jest.

— I twierdzi pan, że nadal mamy pola recepcyjne, do których pasują te osobliwe cząsteczki?

— Jak najbardziej.

— Czy współcześnie ten tajemniczy zapach w ogóle dociera do naszych nosów?

— Często.

— Czujemy go? To znaczy, czy zdajemy sobie z niego sprawę?

— Nie.

— A więc jego cząsteczki nie trafiają do pól recepcyjnych?

— Trafiają, drogi panie, trafiają. Ale nic się nie dzieje. Do mózgu nie zostaje przesłany żaden sygnał. Linia telefoniczna jest nieczynna. Tak jak ten mięsień uszny. Mechanizm nie zaniknął, ale my utraciliśmy zdolność właściwego wykorzystania go.

— I co pan chce począć z tym fantem?

— Na powrót go uaktywnić — odparł. — Mamy tu do czynienia z nerwami, a nie z mięśniami. Nerwy te zaś nie są martwe ani uszkodzone, tylko po prostu najzwyczajniej w świecie drzemą. Prawdopodobnie wzmocnię natężenie tego zapachu tysiącrotnie i dodam katalizator.

— Proszę mówić — zachęciłem go.

— Wystarczy.

— Chciałbym usłyszeć więcej.

— Wybacz pan, monsieur Cornelius, ale wątpię, czy zna się pan wystarczająco dobrze na organoleptyce, żeby zrozumieć coś więcej. Wykład skończony.

Zadowolony z siebie i milczący Henri Biotte usiadł na ławce nad rzeką, postukując w wierzch dłoni palcami drugiej. Kępki wiosów sterczących mu z dziurek w nosie upodobały go do chochlika, ale był to kamuflaż. Ja

widziałem w nim bardziej niebezpieczne, niepozorne stworzenie, takie, które czai się za kamieniami, ma bystry wzrok, żądło w odwłoku i czeka na samotnego wędrowca. Ukradkiem przyjrzałem się jego twarzy. Zaciekały mnie jego usta. Wargi miały karminowy odcień, prawdopodobnie z powodu niedomogi serca. Dolna przypominała indyjskie korale i dyndała. Pośrodku była wybrzuszona jak portmonetka i śmiało mogłaby służyć za schowek na drobne. Skóra na niej wyglądała na mocno nadętą, jakby napompowano ją powietrzem, i była stale wilgotna, ale nie z powodu oblizywania, lecz nadmiaru śliny w jego ustach.

Siedział więc przede mną ów monsieur Henri Biotte, uśmiechając się leciutko i łajdacko, i czekał cierpliwie, co zrobię. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest całkowicie amoralny, ale w końcu ja też byłem taki. Poza tym był szubrawcem i chociaż nie powiem z ręką na sercu, że szubrawstwo to jedna z moich cnót, jednakże nie potrafię się oprzeć jej u innych. Niegodziwiec ma dla mnie swoisty powab. A ponadto było coś diabło wspaniałego w tym osobniku marzącym o cofnięciu erotycznych zwyczajów człowieka o pół miliona lat.

Przyznaję, że złapał mnie na przynętę. I właśnie tam, siedząc nad rzeką w ogrodzie owej pani z Prowansji, złożyłem Henriemu propozycję. Podsunąłem mu myśl, żeby z miejsca rzucił swą obecną posadę i urządził sobie małe laboratorium. Zobowiązywałem się pokryć wszystkie wydatki związane z tym małym przedsięwzięciem, a także dobrze mu płacić. Kontrakt miał być pięcioletni, a dochody ze wszystkich rezultatów jego badań dzielone między nas po połowie.

Henri był wniebowzięty.

— Pan to mówi poważnie?! — wykrzyknął. — Nie żartuje pan?

Wyciągnąłem do niego dłoń. Chwycił ją oburącz i żywo uściskał.

Przypominało to wymianę uścisków z bawołem.

— Zawładniemy ludzkością! — zawołał. — Staniemy się bogami tej ziemi!

Zarzucił mi ręce na szyję i ucałował z dubeltówki. Ach, ten wstrętny francuski zwyczaj całowania. Zetknięcie się jego wargi z moją skórą odczułem jak dotyk wilgotnego podbrzusza ropuchy.

— Świętowanie odłożmy na później — powiedziałem, wycierając twarz lnianą chusteczką.

Henri Biotte przeprosił i wytłumaczył się gospodyni, po czym jeszcze tego samego wieczoru pomknął z powrotem do Paryża. Nie minął tydzień, a porzucił pracę i wynajął trzy pokoje na laboratorium. Mieściły się one na trzecim piętrze domu na lewym brzegu Sekwany, przy Rue de Cassette, nieopodal Boulevard Raspaille. Wydał mnóstwo moich pieniędzy na wyposażenie laboratorium w skomplikowaną aparaturę, a nawet zainstalował tam dużą metalową klatkę, w której umieścił dwie małpy, samca i samicę. Zatrudnił też asystentkę, mądrą, średnio urodziwą młodą panią imieniem Jeanette. a mając to wszystko, przystąpił do dzieła.

Powinniście zrozumieć, że nie przywiązywałem wagi do tego małego przedsięwzięcia. Miałem mnóstwo innych rozrywek. Wpadałem do Henriego może ze dwa razy w miesiącu, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale poza tym pozostawiałem go samemu sobie. Nie zaprzątałem sobie głowy jego pracą. Nie miałem cierpliwości do podobnych badań. A kiedy zabrakło

szybkich wyników, począłem tracić zainteresowanie. Nawet para rozerotyzowanych małp przestała mnie po jakimś czasie bawić.

Tylko raz wizyta w laboratorium sprawiła mi jaką taką przyjemność. Poznaliście mnie już na tyle dobrze, aby wiedzieć, że rzadko kiedy potrafię się oprzeć nawet średnio urodziwej kobiecie. Tak więc któregoś deszczowego popołudnia, kiedy Henri w jednym pokoju aplikował żabie dwie elektrody, podłączając je do jej organów węchowych, w drugim pokoju ja aplikowałem coś nieskończenie bardziej przyjemnego Jeanette. Naturalnie nie spodziewałem się niczego nadzwyczajnego po tych małych figlach. Robiłem to bardziej z przyzwyczajenia, niż z innych powodów. Za to jakaż, mój Boże, spotkała mnie niespodzianka. Okazało się, że pod białym fartuchem tej poniekąd skromnej chemiczki kryje się krzepkie, gibkie, niesłychanie zwinne ciało. Zademonstrowane mi przez nią doświadczenia najpierw z generatorem drgań, a potem z wysokoobrotową wirówką, zupełnie mnie oszołomiły. Prawdę mówiąc, od spotkania w Ankarze z turecką linoskoczka (patrz t. XXI) nie przeżyłem niczego podobnego. A wszystko to dowodzi po raz tysięczny, że kobiety są niezbadane jak ocean. Nigdy nie wiadomo, co człowiek ma pod kilem, głębię czy mieliznę, dopóki nie spuści ołowianki.'

Po tym nie zawracałem już sobie głowy odwiedzaniem laboratorium. Znać moją zasadę. Nigdy nie zajmuję się tą samą kobietą drugi raz.

Tak czy owak, w moim przypadku panie nieodmiennie dają z siebie wszystko podczas pierwszego zbliżenia i dlatego drugie może już być jedynie tą samą melodią graną na tych samych starych skrzypcach. Co komu po tym? Mnie

nic. Dlatego też, kiedy nagle tego ranka przy śniadaniu usłyszałem głos Henriego dzwoniącego w pilnej sprawie, już prawie nie pamiętałem, że ktoś taki istnieje.

Pojechałem diabło ruchliwymi ulicami Paryża na Rue de Cassette. Zaparkowałem wóz i maleńką windą wjechałem na trzecie piętro. Drzwi laboratorium otworzył mi Henri.

— Stać! — krzyknął. — Proszę się nie ruszać! Odbiegł i powrócił po kilku sekundach z małą tacką, na której leżały dwa śliskawe przedmioty z czerwonej gumy.

— Zatyczki do nosa! — wyjaśnił. — Proszę je włożyć. Tak jak ja. Żeby nie wciągnąć w nos tych cząsteczek. No, niech pan je wepchnie mocno. Będzie pan musiał oddychać przez usta, ale co tam.

Przy każdej zatyczce wisiała krótka niebieska tasiemka, przyczepiona do jej dolnego obłego końca i zapewne służąca do wyciągania jej z dziurki. Spostrzegłem, że dwa takie kawałki niebieskiej tasiemki zwisają z nosa Henriemu. Wepchnąłem sobie zatyczki. Henri sprawdził je. Docisnął je kciukiem. A potem tanecznym krokiem wrócił do laboratorium, machając owłosionymi rękami i krzyząc:

— Proszę wejść, drogi Oswaldzie! Do środka, do środka! Przepraszam za to podniecenie, ale to mój wielki dzień!

Z powodu zatyczek mówił takim głosem, jakby był mocno przeziębiony. Podskoczył do szafki i sięgnął do środka. Wyjął stamtąd jedną z tych małych kanciastych buteleczek zrobionych z bardzo grubego szkła, w których mieści się około uncji perfum. Przyniósł ją do mnie, trzymając w zamkniętych

dłoniach, niby małego ptaszka.

— Proszę spojrzeć! Oto jest! Najdrogocenniejszy płyn na świecie!

Ogromnie nie znoszę tak bzdurnej przesady.

— A więc myśli pan, że tego dokonał? — spytałem.

— Wiem, że tak, Oswaldzie! Jestem tego pewien.

— Niech pan powie, co się wydarzyło.

— To nie takie proste do opowiedzenia — odparł. — Ale spróbuję.

Ostrożnie odstawił buteleczkę na stół laboratoryjny.

— Zostawiłem tę niezwykłą mieszkankę numer tysiąc siedemdziesiąt sześć na noc do destylacji — ciągnął. — A to dlatego, że jedna kropla destylatu ścieka co pół godziny. Żeby zapobiec zaparowaniu, puściłem krople do uszczelnionej zlewki. Wszystkie te płyny są szalenie lotne. Tak więc wkrótce po przyjściu, o wpół do dziesiątej rano, poszedłem do numeru tysiąc siedemdziesiąt sześć i zdjąłem uszczelkę ze zlewki. Powąchałem. Był to jeden leciutki

niuch. A potem znów założyłem uszczelkę na zlewkę.

— I co?

— O, mój Boże, Oswaldzie, to było fantastyczne! Zupełnie przestałem nad sobą panować. Robiłem rzeczy, które nie przyśniłyby mi się przez sto lat.

— Na przykład, jakie?

— Drogi panie, przyjacielu, kompletnie się rozbestwiłem! Zamieniłem się w dziką bestię, zwierzę! Przestałem być człowiekiem! Wpływy licznych wieków cywilizacji po prostu opadły ze mnie. Cofnąłem się do neolitu!

— I co pan zrobił?

— Nie pamiętam zbyt wyraźnie następnych chwil. Wszystko działo się tak prędko i gwałtownie. Ale zdjęła mnie żądza tak straszliwa, jak tylko można sobie wyobrazić. Wszystko inne zniknęło z mojej świadomości. Chciałem wyłącznie kobiety. Czułem, że jeżeli natychmiast nie dopadnę jakiejś, wytrysnę!

— Szczęśliwa Jeanette — powiedziałem, spoglądając w stronę sąsiedniego pokoju. — Jak się po tym czuje?

— Jeanette odeszła ode mnie ponad rok temu — odparł. — Zastąpiłem ją świetną chemiczką, Simone Gautier.

— W takim razie, szczęśliwa Simone.

— Nie, nie! — krzyknął Henri. — To właśnie było okropne. Ona nie przyjechała. Że też właśnie dzisiaj musiała się spóźnić do pracy! Zacząłem odchodzić od zmysłów. Puściłem się pędem po schodach. Byłem jak niebezpieczne zwierzę. Polowałem na kobietę, jakąkolwiek kobietę, którą, gdybym ją znalazł, Bóg powinien mieć w opiece.

— I kogo pan znalazł?

— Nikogo, dzięki Bogu. Ponieważ nagle oprzytomniałem. Efekt działania zapachu minął. Stało się to bardzo prędko, a ja znajdowałem się w tym momencie na podeście drugiego piętra. Było mi zimno. Jednak natychmiast dokładnie pojąłem, co zaszło. Wbiegłem z powrotem na górę i wpadłem do pokoju, mocno ściskając palcami nos. Skierowałem się prosto do szuflady, gdzie trzymam zatyczki. Od samego początku mojej pracy nad tym projektem trzymałem w pogotowiu na taką właśnie okazję zapas zatyczek. Wepchnąłem je sobie do nosa. Z nimi byłem bezpieczny.

— A czy te cząsteczki nie mogą się dostać do nosa przez usta? — spytałem go.

— Nie dotrą do pól recepcyjnych — odparł. — Dlatego właśnie nie może pan wąchać ustami. Poszedłem więc do aparatury i zgasilem ogrzewanie. Potem przelałem małą ilość drogiego płynu ze zlewki do bardzo mocnej hermetycznej butelki, którą pan tu widzi. Jest w niej dokładnie jedenaście centymetrów sześciennych płynu numer tysiąc siedemdziesiąt sześć.

— I wówczas zatelefonował pan do mnie.

— Nie, nie od razu. Bo w tym momencie zjawiała się Simone. Wystarczył jej jeden rzut oka na mnie, żeby z krzykiem uciekła do sąsiedniego pokoju.

— Dlaczego to zrobiła?

— Mój Boże, Oswaldzie, stałem tam nagusieńki jak mnie Pan Bóg stworzył i nie miałem o tym pojęcia. Musiałem w szale zedrzeć z siebie ubranie.

— I co dalej?

— Ubrałem się. A potem poszedłem do Simone i opowiedziałem jej dokładnie, co zaszło. Kiedy dowiedziała się prawdy, podnieciła się tak jak ja. Proszę nie zapominać, że pracujemy nad tym razem już od ponad roku.

— Nadal tu jest.

— Tak. Obok, w drugim laboratorium. Opowiedziana mi przez Henriego historia była niezwykła. Wziąłem małą kanciastą buteleczkę i spojrzałem na nią pod światło. Przez grube szkło widziałem około pół cala płynu, bladego i różowo-szarego, jak sok z dojrzałej pigwy.

— Niech pan nie upuści — przestrzegł mnie Henri. — Następny krok —

ciągnął — to przeprowadzenie odpowiedniej próby w warunkach laboratoryjnych. W tym celu muszę rozpylić odmierzoną ilość płynu na kobietę, a potem dopuścić do niej mężczyznę. Muszę koniecznie obserwować ten proces z bliska.

— Jest pan starym świntuchem — powiedziałem.

— Jestem olfaktochemikiem — odparł z afektacją.

— A może to ja wyszedłbym na ulicę z zatyczkami w nosie i opsiukał tym płynem pierwszą z brzegu kobietę? — zaproponowałem. — Pan mógłby wszystko obserwować z okna. Powinno to być bardzo zabawne.

— Na pewno byłoby zabawne — odparł Henri. — Ale nie za bardzo naukowe. Próby muszę przeprowadzić tutaj, pod kontrolą.

— Ja zagram rolę samca — oznajmiłem.

— Nie, Oswaldzie.

— Co znaczy: nie? Ja nalegam.

— Proszę posłuchać — oświadczył Henri. — Jeszcze nie wiemy, co stanie się w obecności kobiety. To bardzo silny środek, tego jestem pewien. A pan, drogi panie, nie jest już pierwszej młodości. Eksperyment może być bardzo niebezpieczny. Mógłby go pan nie wytrzymać.

Uraził mnie tą uwagą.

— Jestem bezgranicznie wytrzymały.

— Bzdury — odparł. — Ani myślę ryzykować. Dlatego właśnie wynająłem najzdrowszego i najsilniejszego młodzieńca, jakiego mogłem znaleźć.

— Mam przez to rozumieć, że już pan to zrobił?

— Naturalnie — odparł Henri. — Palę się z niecierpliwości. Nie chcę z tym

zwlekać. Chłopak będzie tu lada chwila.

— Kto to jest?

— Zawodowy bokser.

— Wielki Boże!

— Nazywa się Pierre Lacaille. Płacę mu za to tysiąc franków.

— Jak pan go znalazł?

— Znam o wiele więcej osób niż pan myśli, Oswaldzie, nie jestem odludkiem.

— A czy ten człowiek wie, w co się pakuje?

— Powiedziałem mu, że weźmie udział w doświadczeniu naukowym z dziedziny psychologii seksu. Im mniej na ten temat będzie wiedział, tym lepiej.

— A kobieta? Kogo pan użyje?

— Oczywiście Simone — odrzekł Henri. — Sama jest przecież naukowcem. Będzie mogła obserwować reakcje tego mężczyzny nawet dokładniej niż ja.

— Niewątpliwie — przyznałem. — A czy zdaje sobie sprawę, na co się naraża?

— Jak najbardziej. Potwornie się namęczyłem, żeby ją namówić. Musiałem jej wykazać, że weźmie udział w przeprowadzeniu dowodu, który przejdzie do historii. Będzie się o nim mówić za setki lat.

— Bzdury — powiedziałem.

— Mój drogi panie, w różnych wiekach zdarzają się takie wielkie chwile odkryć naukowych, chwile godne epopei, o których pamięć nie zaginie. Jak ta, kiedy doktorowi Horacemu Wellsowi z Hartford w stanie Connecticut

został wyrwany w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku zęb.

— A co jest w tym takiego historycznego?’

— Doktor Wells był dentystą, który eksperymentował z podtlenkiem azotu, gazem rozweselającym. Któregoś dnia strasznie rozboleł go zęb.

Ponieważ zdawał sobie sprawę, że zęb trzeba usunąć, sprowadził w tym celu innego dentystę. Przedtem jednak namówił kolegę po fachu, żeby nałożył mu na twarz maskę i puścił podtlenek azotu. Stracił przytomność, zęb został wyrwany, on zaś przebudził się zdrów jak rydz. A był to, drogi Oswaldzie, pierwszy na świecie zabieg wykonany pod ogólnym znieczuleniem. W ten sposób zrodził się wielki przełom w medycynie. I my zrobimy to samo.

W tym momencie zadzwoniono do drzwi. Henri chwycił parę zatyczek i poszedł z nimi do wejścia. W progu stał Pierre, bokser. Ale Henri pozwolił mu wejść dopiero wówczas, kiedy już mocno upchnął mu zatyczki w dziurkach nosa. Podejrzewam, że młodzieniec ów przyszedł tam w przekonaniu, iż zagra w jakimś pornograficznym filmie, ale manipulacje z zatyczkami na pewno prędko pozbawiły go złudzeń. Pierre Lacaille, niski, muskularny, żylasty, niezbyt rozgarnięty dwudziesto-dwulatek wagi koguciej twarz miał płaską, a nos wykrzywiony.

Henri przedstawił mnie bokserowi, po czym zaprowadził nas prosto do przyległego laboratorium, gdzie pracowała Simone. Stała właśnie w białym fartuchu przy stole laboratoryjnym i zapisywała coś w brulionie. Kiedy weszliśmy, spojrzała na nas przez grube szkła okularów w białej plastikowej oprawce.

— Simone, to jest Pierre Lacaille — powiedział Henri.

Simone spojrzała na boksera, ale nie odezwała się. Przedstawieniem jej mnie Henri nie zwracał sobie głowy.

Była szczupłą kobietą po trzydziestce, twarz miała miłą i jaśniejącą czystością, a włosy szesane do tyłu, zaplecione i upięte w kok. One to pospołu z białymi oprawkami okularów, białym fartuchem i bladą cerą tworzyły wrażenie jej niesłychanej sterylności. Wyglądała tak, jakby odkażano ją przez pół godziny w autoklawie i powinno się jej dotykać w gumowych rękawicach. Wpatrywała się w boksera dużymi ciemnymi oczami.

— Zaczynajmy — powiedział Henri. — Jest pan gotów?

— Nie wiem, co się tutaj stanie, ale jestem gotów — odparł Pierre Lacaille i zatańczył przez chwilę na palcach.

Henri też był gotów. Bez wątpienia obmyślił wszystko przed moim przyjazdem.

— Simone usiądzie na krzesło — rzekł, wskazując zwykłe drewniane krzesło pośrodku laboratorium. — A pan, Pierre, stanie z zatyczkami w nosie w punkcie oznaczającym sześć metrów.

Na podłodze wyrysowane były kredą linie oznaczające różne odległości od krzesła — od pół metra do sześciu.

— Zacznę od rozpylenia małej ilości płynu na szyi tej pani — ciągnął Henri, zwracając się do boksera. — A wtedy wyciągnie pan zatyczki i ruszy wolno w jej stronę. — Do mnie zaś powiedział:

— Najpierw chciałbym przede wszystkim ustalić zasięg działania woni, dokładną odległość od pachnącej osoby do Pierre'a w chwili dotarcia

cząsteczek zapachu.

— Zacznie w ubraniu? — spytałem.

— Tak jak teraz.

— A czy po pani oczekuje się współuczestnictwa czy oporu?

— Ani tego, ani tego. Musi pozostać całkowicie biernym narzędziem w jego rękach.

Simone nadal wpatrywała się w boksera. Ujrzałem, że końcem języka przesuwają po wargach.

— Czy te perfumy działają w jakikolwiek sposób na kobietę? — spytałem Henriego.

— Ani trochę — odparł. — Dlatego właśnie wysłałem Simone, żeby przygotowała płyn do rozpylenia.

Dziewczyna weszła do głównego laboratorium i zamknęła za sobą drzwi.

— Więc rozpyła pan coś na tej dziewczynie, a ja do niej podchodzę — odezwał się bokser. — I co wtedy?

— Musimy poczekać i przekonać się — odparł Henri. — Chyba się pan nie boi, co?

— Czy się boję, ja?! — zaprotestował Pierre. — Kobiety?

— Doskonale — rzekł Henri. Był coraz bardziej rozgorączkowany. W podskokach przebył cały pokój, sprawdzając wielokrotnie, czy krzesło stoi na kredowej linii, i przenosząc wszystkie łatwo tłukące się przedmioty, takie jak szklane zlewki, butelki i probówki, ze stołu laboratoryjnego na wysoką półkę. — Nie jest to najlepsze pomieszczenie na przeprowadzanie doświadczeń, ale trzeba je wykorzystać jak najlepiej — oświadczył. Dolną

połowę twarzy obwiązał maską chirurgiczną, drugą zaś maskę wręczył mnie.

— Nie ufa pan zatyczkom? — zapytałem.

— To dodatkowe zabezpieczenie — odparł. — Proszę ją założyć.

Dziewczyna wróciła z małym pistoleczkiem natryskowym z nierdzewnej stali. Podała go Henriemu. Henri wyjął z kieszeni stoper.

— Proszę się przygotować — zapowiedział. — Pan Pierre stanie tam, na linii sześciu metrów.

Pierre wykonał jego polecenie. Dziewczyna usadowiła się na krześle. Nie miało ono poręczy. Siedziała bardzo sztywno i prosto w swoim nieskazitelnym białym fartuchu, z rękami splecionymi na podołku i ze złączonymi kolanami. Henri stanął za jej plecami.

— Jesteśmy gotowi? — zawołał.

— Chwileczkę — powiedziała Simone. Było to pierwsze wypowiedziane przez nią słowo. Wstała, zdjęła okulary, położyła je na górnej półce, po czym wróciła do krzesła, wygładziła biały fartuch na biodrach, splotła dłonie i złożyła je na podołku.

— Teraz jesteśmy gotowi? — ponowił pytanie Henri.

— Niechże pan ją spryska — powiedziałem. — Psiuknij pan.

Henri wycelował pistoleczek natryskowy na kawałek odsłoniętej skóry tuż za uchem Simone. Nacisnął spust. Pistoleczek zasyczał cichutko i z jego lufy wytrysnęła delikatna wodna mgiełka.

— Niech pan wyciągnie zatyczki! — zawołał Henri do boksera, odskakując szybko od dziewczyny i stając przy mnie.

Bokser chwycił zwisające mu z dziurek nosa tasiemki i pociągnął.

Nawazelinowane zatyczki wysunęły się z łatwością.

— Nuże, nuże! — ponaglił go Henri. — Niech pan rusza! Upuści zatyczki na podłogę i powoli idzie przed siebie! — Bokser zrobił krok. — Nie tak szybko! — krzyknął Henri. — Wolniej! Już lepiej! Niech pan idzie! Naprzód! Nie zatrzymuje się!

Szalał z podniecenia, a i ja, trzeba przyznać, byłem poruszony. Spojrzałem na dziewczynę. Siedziała wciśnięta w krzesło, zaledwie kilka metrów od boksera, napięta, nieruchoma, śledząc każdy jego ruch, co przywiodło mi na myśl samicę białego szczura, którą widziałem kiedyś zamkniętą w klatce z olbrzymim pytonem. Pyton miał połknąć szczurzycę, ona zaś wiedząc o tym, przycupnęła bardzo nisko, nieruchoma, zahipnotyzowana, sparaliżowana, bez reszty urzeczona powolnymi ruchami zbliżającego się węża.

Bokser posunął się naprzód.

Kiedy minął piąty metr, dziewczyna rozwarła dłonie. Położyła je palcami w dół na udach. Potem zmieniła zamiar i wsunęła je z grubsza biorąc w pośladki, ściskając siedzenie krzesła z obu stron i mobilizując się, można rzec, na zbliżającą się rzeź niewiniątek.

Bokser minął właśnie linię dwóch metrów, kiedy zapach go dopadł. Stanął jak wryty. Spojrzenie zrobiło mu się szkliste i zakołysał się na nogach, jakby trzaśnięto go w głowę młotkiem. Myślałem, że się przewróci, ale nie. Stał, chwiejąc się łagodnie na boki, jak pijany. Nagle zaczął wydawać przez nozdrza dźwięki — dziwne krótkie parsknięcia i chrząknięcia, przypominające mi odgłosy świni węszącej w korycie. I wówczas bez najmniejszej zapowiedzi rzucił się na dziewczynę. Zdarł z niej biały fartuch,

sukienkę i bieliznę. No a potem rozpętało się piekło.

Nie ma wielkiego sensu opisywać dokładnie, co się działo przez następne minuty. I tak większość z was może to sobie dośpiewać. Przyznam jednak, że Henri najpewniej miał rację, iż wybrał do tego zadania wyjątkowo sprawnego, zdrowego mężczyznę. Przykro mi to wyznać, lecz wątpię, czy moje będące w średnim wieku ciało zniosłoby tę niewiarygodnie gwałtowną gimnastykę, którą zademonstrował nam bokser. Nie jestem podglądaczem. Nie cierpię takich rzeczy. Jednakże w tym przypadku kompletnie osłupiałem. Naga zwierzęca gwałtowność tego człowieka była przerażająca.

Przypominał dziką bestię. I nagle w trakcie tego wszystkiego Henri zrobił ciekawą rzecz. Wyjął rewolwer, podbiegł do boksera i wrzasnął:

— Zostaw tę dziewczynę, Pierre! Zabiję cię, jeżeli nie przestaniesz!

Bokser nawet na niego nie spojrział.

— Niesłychane! Wspaniałe! Niewiarygodne! Działa! Działa! — piał Henri skacząc po pokoju. — Udało się nam, drogi Oswaldzie! Udało się nam!

Wszystko skończyło się tak nagle, jak zaczęło. Bokser raptem wypuścił dziewczynę, wstał, kilka razy zamrugał oczami i powiedział:

— Gdzie ja jestem', u diabła? Co się stało? Simone, która najwyraźniej wyszła z tego bez jednej złamanej kości, podskoczyła, schwyciła ubranie i wybiegła do pokoju obok.

— Dziękuję, mademoiselle — powiedział Henri, kiedy mijala go w pędzie.

Ciekawe, że ten otumaniony bokser nie miał zielonego pojęcia, co robił. Stał nagi i spocony od stóp do głów, rozglądając się po pokoju i próbując zrozumieć, jak, u licha, znalazł się w takim stanie.

— Co ja zrobiłem? — spytał. — Gdzie jest ta dziewczyna?

— Był pan znakomity! — krzyknął Henri, rzucając mu ręcznik. — Proszę, się o nic nie martwić! Tysiąc franków należy do pana!

Właśnie wtedy drzwi otwarły się na oścież i do laboratorium wbiegła wciąż jeszcze naga Simone.

— Niech pan mnie jeszcze opsiuka! — zawołała.

— Och, monsieur Henri, proszę mnie opsiukać jeszcze tylko ten jeden jedyny raz!

Twarz jej płonęła, a oczy błyszczały jak diamenty.

— Doświadczenie skończone — oświadczył Henri. — Proszę wyjść i ubrać się.

Chwyił ją mocno za ramiona i wepchnął w drugie drzwi, a potem zamknął je na mały klucz.

W pół godziny potem Henri i ja siedzieliśmy w małej kafejce przy tej samej ulicy, świętując nasz sukces. Piliśmy kawę i koniak.

— Ile *to* trwało? — zapytałem.

— Sześć minut trzydzieści dwie sekundy — odparł Henri.

Popijałem koniak i przyglądałem się ludziom idącym chodnikiem.

— I co teraz?

— Najpierw muszę wszystko zapisać — rzekł Henri. — A potem porozmawiamy o przyszłości.

— Czy ktoś oprócz pana zna wzór chemiczny tego płynu?

— Nikt.

— A Simone?

— Nie zna go.

— Zapisał go pan na papierze?

— Zapisałem, ale nie tak, żeby ktokolwiek poza mną mógł go odczytać. Zrobię to jutro.

— Niech pan to zrobi najpierw — powiedziałem. — Chcę otrzymać kopię. Jak nazwiemy ten środek? Musi mieć jakąś nazwę.

— Co pan proponuje?

— „Suka” — odparłem. — Nazwijmy go „Suka”. — Henri uśmiechnął się i wolno skinął głową. Zamówiłem następny koniak. — Byłby to wspaniały środek na rozpędzanie demonstracji — powiedziałem. — Znacznie lepszy od gazu łzawiącego. Wyobraża pan sobie scenę, jaka nastąpiłaby, gdyby spryskał pan „Suką” gniewny tłum?

— Ładna nazwa — przyznał Henri. — Bardzo ładna.

— Możemy zrobić poza tym jeszcze jedno — sprzedawać ten zapach bardzo grubym, bardzo bogatym kobietom po bająnskich cenach.

— Możemy — zgodził się Henri.

— Myśli pan, że wyleczyłby on mężczyzn z utraty męskości? — spytałem.

— Jasne — odrzekł. — Impotencja poszłaby na śmietnik.

— A co z osiemdziesięciolatkami?

— Ich też by uleczył, chociaż jednocześnie zabił.

— A rozbite małżeństwa?

— Drogi panie, możliwości jest legion.

W tej właśnie chwili z wolna poczęło kiełkować mi w głowie ziarenko pomysłu. Jak wiecie, moją namiętnością jest polityka. A już największą

namiętnością, mimo że jestem Anglikiem, polityka Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zawsze uważałem, że właśnie tam, w tym potężnym mieszanym narodzie, leży z całą pewnością przyszłość ludzkości. Ale obecnie urząd sprawował w nich prezydent, którego nie cierpiałem. Był złym człowiekiem, prowadzącym złą politykę. Mało tego, był ponadto osobą niesympatyczną i pozbawioną poczucia humoru. Dlaczego więc ja, Oswald Cornelius, nie miałbym go usunąć ze stanowiska?

Spodobał mi się ten pomysł.

— Ile „Suki” ma pan w tej chwili w laboratorium? — spytałem.

— Dokładnie dziesięć centymetrów sześciennych — odparł.

— A ile wynosi jedna porcja?

— Do naszej próby zużyliśmy centymetr sześcienny.

— Tyle mi właśnie potrzeba — oznajmiłem. — Jeden centymetr sześcienny.

Zabiorę go dziś z sobą do domu. I komplet zatyczek.

— Nie — sprzeciwił się Henri. — Nie igrajmy z „Suką” w tej fazie doświadczeń. To zbyt niebezpieczne.

— Zapach jest moją własnością — przypomniałem mu. — Połowa należy do mnie. Proszę pamiętać o naszej umowie.

W końcu ustąpił. Ale zrobił to bardzo niechętnie. Wróciliśmy do laboratorium, włożyliśmy do nosów zatyczki i Henri precyzyjnie odmierzył centymetr sześcienny „Suki” do małej buteleczki na zapachy. Zapieczętował korek woskiem i wręczył mi ją.

— Błagam pana o dyskrecję — rzekł. — Jest to najprawdopodobniej największe odkrycie naukowe stulecia i nie wolno go traktować jak żart.

Od Henriego pojechałem prosto do warsztatu mojego starego znajomego, Marcela Brossolleta. Marcel był wynalazcą i wytwórcą małych precyzyjnych aparacików. Dużo pracował dla chirurgów, wymyślając nowe typy zastawek i rozruszników serca oraz tych małych jednokierunkowych zaworów, które zmniejszają wewnętrzne ciśnienie u chorych na wodogłowie.

— Chciałbym, żeby zrobił mi pan kapsułkę, w której mieści się dokładnie centymetr sześcienny płynu — powiedziałem. — Z kapsułką tą musi być połączone urządzenie zegarowe, które rozetnie ją i uwolni zawarty w niej płyn w ściśle określonym momencie. Całość nie może być dłuższa ani grubsza niż pół cala. Im mniejsza, tym lepsza. Da pan radę?

— Z łatwością — zapewnił mnie Marcel. — Cienka plastikowa kapsułka, kawałek ostrza żyłki do jej przecięcia i zwyczajny mechanizm budzikowy z bardzo małego damskiego zegarka. Czy ta kapsułka ma być napełniana?

— Tak. Proszę to zrobić w ten sposób, żebym sam mógł ją napełnić i uszczelnić. Mogę ją mieć za tydzień?

— Czemu nie — odparł Marcel. — To prościutka robota.

Następny rano przyniósł hiobowe wieści. Ta mała rozpustnica Simone oczywiście spryskała się całym zapasem „Suki” — ponad dziewięćdziesiąt centymetrami sześciennymi płynu — natychmiast po przyjeździe do laboratorium! Potem zakradła się za plecy Henriemu, który właśnie sadził się przy biurku, żeby sporządzić notatki.

Nie muszę wam mówić, co było dalej. A najgorsze ze wszystkiego, że ta idiotka zapomniała o jego poważnych dolegliwościach sercowych. Do diaska, przecież jemu nie wolno było nawet wchodzić po schodach. Kiedy

więc dosięgły go cząsteczki zapachu, biedak nie miał żadnej szansy. Umarł w niespełną minutę, padając na placu boju, jak to mówią, i *to* był koniec wszystkiego.

Piekielna baba mogła przynajmniej zaczekać, aż zapisze chemiczny wzór płynu. A tak Henri nie pozostawił po sobie najmniejszej notatki. Kiedy już zabrano stamtąd jego zwłoki, przeszukałem laboratorium, ale nic nie znalazłem. Dlatego też tym bardziej byłem zdecydowany dobrze wykorzystać jedyny na świecie centymetr sześcienny „Suki”, jaki mi pozostał.

W tydzień potem odebrałem od Marcela Brossolleta śliczne małe urządzenie. Mechanizm zegarowy składał się z najmniejszego zegarka, jaki w życiu widziałem, który wraz z kapsułką i resztą części był schowany w malutkim aluminiowym pancerzyku o powierzchni centymetra kwadratowego. Marcel pokazał mi, jak napęlić i zapieczętować kapsułkę i jak nastawić mechanizm zegarowy. Podziękowałem mu i uregulowałem rachunek.

Jak mogłem najszybciej, pojechałem do Nowego Jorku. Na Manhattanie zatrzymałem się w hotelu Plaza. Zjawiłem się tam około trzeciej po południu. Po kąpieli i ogoleniu się poprosiłem obsługę o przysłanie mi na górę butelki Glenliveta z lodem. Czując się czysto i wygodnie w moim szlafroku, przyrządziłem sobie dużą szklankę tej mocnej pysznej słodowej whisky, a potem rozsiadłem się w głębokim fotelu z porannym wydaniem „New York Timesa”. Okna mojego apartamentu wychodziły na Central Park i dochodził mnie przez nie szum ruchu ulicznego i głośne trąbienie klaksonów taksówek na Central Park South. Nagle mój wzrok przyciągnął jeden z mniejszych tytułów na pierwszej stronie gazety. Obwieszczał on, że PREZYDENT DZIŚ

WIECZOREM W TELEWIZJI. Zacząłem czytać.

„Oczekuje się, że dziś wieczorem, podczas kolacji wydanej na cześć Cór Amerykańskiej Rewolucji w sali balowej hotelu Waldorf Astoria, w trakcie swojego przemówienia prezydent z ważne oświadczenie na temat polityki zagranicznej...”

Mój Boże, ależ miałem szczęście!

Spodziewałem się raczej, że na tę okazję przyjdzie mi czekać w Nowym Jorku wiele tygodni. Prezydent Stanów Zjednoczonych nieczęsto pojawia się w telewizji w otoczeniu zgrai bab. A właśnie w takiej sytuacji musiałem go upolować. Był nadzwyczaj wykrętnym, śliskim typem. Wpadł w życie do wielu szamb i zawsze wychodził z nich brzydko pachnąc. A jednak za każdym razem udawało mu się przekonać naród, że śmierdzi nie on, lecz kto inny. Rozumowałem więc następująco. Kомуś, kto gwałci kobietę na oczach dwudziestu milionów widzów w całym kraju, bardzo trudno będzie zaprzeczyć, że tego nie zrobił.

Wróciłem do lektury.

„Będzie przemawiał około dwudziestu minut, począwszy od godziny dziewiątej, a jego wystąpienie transmitować będą wszystkie większe stacje telewizyjne. Zaanonsuje go pani Elwira Ponsonby, przewodnicząca Związku Cór Amerykańskiej Rewolucji. Zagadnięta w swoim apartamencie w Waldorf Towers pani Ponsonby powiedziała...”

Idealnie! — pomyślałem. Pani Ponsonby usiądzie po jego prawej ręce. Dokładnie dziesięć po dziewiątej, kiedy prezydent znajdzie się w środku przemówienia, a połowa ludności Stanów Zjednoczonych przed

telewizorami, mała kapsułka spoczywająca potajemnie na biuście Córy Amerykańskiej Rewolucji zostanie przekłuta i pół centymetra „Suki” wycieknie na jej suknię balową ze złotej lamy. Prezydent podniesie głowę, zacznie wachać, wachać, wachać, wytrzeszczy oczy, nozdrza zaczną mu chodzić i rozparska się niczym ogier. Nagle obróci się i chwyci panią Ponsonby. Ona padnie jak długa na stół, prezydent skoczy na nią, a na wszystkie strony pofruną zapiekanki i kruche ciastka z truskawkami.

Rozwaliłem się jak basza w fotelu i zamknąłem oczy, delektując się tą pyszną sceną. Ujrzałem tytuły w jutrzejszych porannych gazetach:

NAJLEPSZY WYSTĘP PREZYDENTA!

PREZYDENCKIE TAJEMNICE UJAWNIONE NARODOWI!

PREZYDENT INAUGURUJE TELEWIZJĘ PORNO

i tak dalej.

Nazajutrz on miał stanąć pod pręgierzem, ja zaś wymknąć się cichaczem z Nowego Jorku i udać do Paryża. Na dobrą sprawę, jutro wyjeżdżałem!

Sprawdziłem godzinę. Dochodziła czwarta. Ubrałem się bez pośpiechu. Zjechałem windą do głównego hallu i poszedłem spacerkiem Madison Avenue, gdzie w pobliżu Sześćdziesiątej Szóstej ulicy znalazłem dobrą kwiaciarnię. Kupiłem w niej bukiet kwiatów do przypięcia na gorsie, składający się z trzech dużych, spiętych razem orchidei. Były to trattleje, białe storczyki nakrapiane fioleto-woróżowymi cętkami. Nadzwyczaj ordynarne kwiaty. Tak jak bez wątpienia pani Elwira Ponsonby. Kazałem w kwiaciarni zapakować je w ozdobne pudełko obwiązane złotą wstążką. Potem wróciłem z pudełkiem w ręku do hotelu Plaza i wjechałem do swojego

apartamentu.

Chcąc się zabezpieczyć przed pokojówką, która mogła tu zajść, żeby pościelić mi łóżko, pozamykałem wszystkie drzwi na korytarz. Wydobyłem zatyczki do nosa i starannie natłuściłem je wazeliną. Wepchnąłem je sobie do dziurek, mocno je dociskając. Dolną połowę twarzy osłoniłem maską chirurgiczną, żeby się dodatkowo ubezpieczyć, tak jak Henri. Byłem gotów do następnego posunięcia.

Zwykłym zakraplaczem do nosa przeniosłem drogocenny centymetr sześcienny „Suki” z buteleczki na zapachy do malutkiej kapsułki. W trakcie tego trzęsła mi się ręka, w której trzymałem pipetkę, ale wszystko poszło dobrze. Zapieczętowałem kapsułkę. Teraz nakręciłem maleńki zegarek i nastawiłem go na właściwą godzinę. Było trzy po piątej. Wreszcie nastawiłem mechanizm zegarowy na uruchomienie i przecięcie kapsułki dziesięć minut po dziewiątej.

Łodygi trzech wielkich orchidei kwiaciarka związała białą szeroką wstążką, więc nie miałem kłopotów ze zdjęciem jej i przyczepieniem do łodyg białą nitką kapsułki z mechanizmem zegarowym. Kiedy się z tym uporałem, z powrotem obwiązałem wstążką łodygi i moje urządzenie. A potem zawiązałem jeszcze raz kokardę. Była to dobra robota.

Z kolei zadzwoniłem do hotelu Waldorf i dowiedziałem się, że kolacja rozpoczyna się o ósmej, ale że goście muszą się zebrać o wpół do ósmej, przed przybyciem prezydenta.

Za dziesięć siódma zapłaciłem za przejazd taksówkarzowi przed wejściem do hotelu i wkroczyłem do budynku Waldorf Towers. Przeszedłem przez mały

hali i położyłem pudełko z orchideami na kontuarze w recepcji. Nachyliłem się przez kontuar, żeby znaleźć się jak najbliżej recepcjonisty.

— Muszę dostarczyć tę paczuszkę pani Elwirze Ponsonby — szepnąłem z lekko amerykańskim akcentem. — To prezent od prezydenta.

Recepcjonista spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Pani Ponsonby anonsuje prezydenta przed jego dzisiejszym przemówieniem w sali balowej — dodałem. — Prezydent życzy sobie, żeby natychmiast otrzymała ten bukiet.

— Proszę zostawić go mnie, a ja prześlę go do jej apartamentu — powiedział recepcjonista.

— O nie, proszę pana — odparłem. — Polecono mi dostarczyć go osobiście. Jaki jest numer jej pokoju?

Słowa te zrobiły na nim wrażenie.

— Pani Ponsonby zajmuje apartament pięćset jeden — powiedział.

Podziękowałem mu i wsiadłem do windy. Kiedy wysiadłem na piątym piętrze i szedłem korytarzem, windziarz nie odjechał i przyglądał mi się. Zadzwoiłem do drzwi apartamentu pięćset jeden.

Otworzyło mi je najpotężniejsze babsko, jakie spotkałem w życiu. Widziałem olbrzymki w cyrkach. Widziałem zapaśniczki i kobiety podnoszące ciężary. Widziałem strzeliste Masajki na równinach pod Kilimandżaro. Ale nigdy nie widziałem niewiasty tak wysokiej, szerokiej i grubej jak ta. Ani tak skończenie szpetnej. Była uczesana i ubrana na największe wydarzenie w swoim życiu, a w ciągu dwóch sekund, jakie upłynęły od chwili, kiedy jedno z nas przemówiło, zdołałem spostrzec większość szczegółów jej wyglądu —

metaliczne srebrnoszare włosy, od których nie odstawał najmniejszy kosmyk, małe, głęboko i blisko siebie osadzone świńskie oczka, długi ostry nos, wężący kłopoty, wywinięte wargi, końską szczękę, puder, tusz do rzęs, szkarłatną szminkę i najbardziej druzgocące ze wszystkiego w jej postaci potężne, wypchnięte w górę i podparte piersi, które sterczały przed nią niczym balkon. Wystawały tak daleko przed resztę jej ciała, że chyba tylko cudem nie upadła na nos, przeważona ich ciężarem. Stała więc oto przede mną, ta pneumatyczna olbrzymka, spowita od kostek nóg po szyję w gwiazdy i pasy amerykańskiego sztandaru.

— Pani Elwira Ponsonby? — wymamrotałem.

— Tak, pani Ponsonby! — huknęła. — Czego pan chce? Jestem niezwykle zajęta.

— Pani Ponsonby — powiedziałem. — Prezydent polecił mi dostarczyć to pani osobiście.

Natychmiast zmiękła.

— Kochany człowiek! — wykrzyknęła. — Jest absolutnie cudowny.

Dwa potężne łapska wyciągnęły się, żeby pochwycić pudełko. Nie robiłem jej żadnych przeszkód.

— Polecono mi upewnić się, że otworzy je pani przed pójściem na bankiet — dodałem.

— Jasne, że otworzę — odparła. — Mam to zrobić na pana oczach?

— Jeśli pani tak uprzejma.

— Dobra. Właż pan. Ale nie mam dużo czasu. Podążyłem za nią do salonu w apartamencie.

— Mam pani powtórzyć, że do tego prezentu dołączone są najlepsze życzenia od głowy państwa dla głowy pań.

— Ha! — ryknęła. — A to dobre. Kochany człowiek! — Rozwiązała złotą wstążkę na pudełku i podniosła wieko. — Wiedziałam! — wykrzyknęła.

— Storczyki! Cudownie! Są znacznie wytworniejsze niż ta sierota, którą noszę!

Byłem tak oślepiiony gwiazdną galaktyką biegnącą przez jej piersi, że nie zauważyłem pojedynczej orchidei przypiętej z lewej strony sukni.

— Natychmiast ją wymienię — powiedziała.

— Prezydent będzie oczekiwał, że *założę* jego podarunek.

— Na pewno — potaknałem.

A żebyście mieli pojęcie, jak daleko wystawał jej biust, powiem, że kiedy sięgnęła, aby odpiąć kwiat, ledwo mogła do niego dostać wyciągniętą na całą długość ręką. Przez dłuższą chwilę nie zdołała rozpiąć agrafki.

— Boję się, że rozerwę tę wspaniałą suknię — powiedziała. — Proszę, niechże pan to zrobi. — Obróciła się, dźgając mnie swoim gigantycznym biustem w twarz. Zawahałem się. — Prędeż! — huknęła. — Nie mam całego wieczoru!

Przystąpiłem do dzieła i w końcu udało mi się odpiąć agrafkę od sukni.

— A teraz przypnij pan te drugie! — rozkazała. Odłożyłem pojedynczą orchideę i ostrożnie wziąłem z pudełka swoje kwiaty.

— Czy jest przy nich agrafka? — zapytała.

— Wątpię — odparłem. O agrafce zapomniałem.

— Nie szkodzi — powiedziała. — Użyjemy starej. Odpięła agrafkę od

pierwszej orchidei, a potem, nim zdążyłem ją powstrzymać, wyrwała mi trzy orchidee i wbiła szpikulec agrafki w białą wstążkę zakrywającą łodygi. Wbiła ją niemal dokładnie w to miejsce, gdzie spoczywała ukryta moja mała kapsułka z „Suką”. Szpikulec trafił na coś twardego i nie przeszedł na wylot. Kolnęła jeszcze raz. Znów uderzył w metal.

— Co tam jest, do diaska? — parsknęła.

— Pozwoli pani, że ja to zrobię! — zawołałem, ale za późno, ponieważ po białej wstążce już rozlała się mokra plama „Suki” z przekłutej kapsuлки i w setną część sekundy potem uderzył we mnie jej zapach. Chlastnął mnie pod nos — na dobrą sprawę nie był to wcale zapach, bo zapach dla człowieka nie jest materialny. Nie można wyczuć go dotykiem. Ten środek zaś był namacalny. Miałem wrażenie, jakby w dziurki nosa wstrzyknięto mi pod wysokim ciśnieniem jakiś gorący płyn. Było to niewymownie przykre. Czułem, jak ów płyn pcha się coraz wyżej i wyżej, dostaje się znacznie dalej niż sięgają kanały mojego nosa, przeciska się w górę pod czołem i dociera do mózgu. Nagle gwiazdy i pasy na sukni pani Ponsonby zaczęły chybotać i podrygiwać, a potem rozhuśtał się cały salon i usłyszałem, jak w głowie wali mi serce. Czułem się tak, jakby mnie usypiano przed operacją.

W tym momencie z pewnością — jeśli nawet tylko na kilka sekund — całkowicie straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, stałem nagi w jakimś różowym pokoju, a w lędźwiach czułem coś dziwnego. Spuściłem wzrok i ujrzałem, że mój najulubiejszy organ ma trzy stopy długości i jest gruby jak maczuga. Nadal się powiększał. Wydłużał się i nabrzmiwał w zawrotnym tempie. A jednocześnie moje ciało

kurczyło się. Kurczyło się coraz bardziej i bardziej, mój zdumiewający organ wciąż ogromniał i Bóg świadkiem, że nie przestał rosnać, dopóki nie spowił i nie wchłonął w siebie mnie całego. Zamieniłem się w gigantyczny, strzelisty penis precudnej urody, mierzący siedem stóp.

Puściłem się w płas po salonie, chcąc uczcić mój nowy wspaniały stan. Po drodze napotkałem dziewczę w pasiasto-gwiazdzistej sukni. Była wielka, jak to dziewczę. Wyprężyłem się jak struna i wydeklowałem gromko:

Letni kwiat dla mej letniej miłości

Kwitnie mimo letniej gorącości.

Czyś widniała, powiedz szczerze, luba ma,

Taką wielką fujarę jak ja?

Dziewoja skoczyła i obłapiła mnie, ze wszech sił starając się zamknąć w swych objęciach. A potem wykrzyknęła:

Mam porównać ciebie letnim dniem?

Mam... o Boże, nie wiem, co powiedzieć chcę!

Lecz przez całe życie oszczędzałam cześć

Dla junaka, co potrafi tak się wynieść.

W chwilę potem znaleźliśmy się w kosmosie o miliony mil wyżej, lecąc przez wszechświat w deszczu samych złotych i czerwonych meteorów. Dosiadłem jej na oklep, wychylony w przód, ściskając ją mocno między kolanami.

— Szybciej! — krzychałem, dźgając długimi ostrogami jej boki. — Szybciej! Leciła coraz prędzej i prędzej, przyśpieszając, szpulując i wirując po obręczy niebios, jej grzywa ociekała słońcem, a śnieg falował włosy.

Ogarnęło mnie przemożne uczucie potęgi. Byłem niepokonany, byłem wszechwładny. Byłem Panem wszechświata, roztrącającym planety, chwytającym w dłoń gwiazdy i odrzucającym je, jakby były piłeczkami do ping-ponga.

O ekstazo, o zachwycie! O Jerycho, Tyrze, Sydonie! Mury waliły się i rozpadał firmament, a z dymu i ognia po eksplozji wyłonił się z wolna, jak deszczowy dzień, salon w Waldorf Towers. Był zdemolowany. Tornado wyrządziłoby mniejsze szkody. Moje ubranie leżało na podłodze. Zacząłem się bardzo szybko ubierać. Zrobiłem to w równe pół minuty. A kiedy biegłem do drzwi, usłyszałem głos, który docierał skądś od stołu przewróconego w drugim kącie salonu:

— Nie znam pana, młody człowieku — zahuczał. — Ale fakt, żeś mi pan wygodził jak się patrzy.